

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 151.



BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POSWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1878.

SERYA V.

Wrzesień.

TOM III. — ZESZYT IX.

WARSZAWA.

Skład i Eksp. Główn. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

— 1878 —

Ukończono druk dnia 4 września 1878 roku.

T R E Ś Ć.

	stron.
I. Lucyan Siemieński. Przez Adama Bełcikowskiego.	349
II. Najnowsze objawy filozofii pesymistycznej w Niemczech. Filozofia wyzwolenia. Napisał Seweryn Smolikowski. (Część Trzecia).	369
III. Syn marnotrawny. Opowiadanie z końca XVIII-go wieku. Przez J. I. Kraszewskiego. Tom II.	385
IV. Wspomnienie o Wolterze z powodu stuletniej rocznicy jego śmierci. II.	411
V. Z Wystawy Paryzkiej.	434
VI. Kronika poznańska.	458
VII. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.	
Filozofia i jej zadanie przez ks. Maryana Morawskiego T. J. (Lwów 1877). Przez A. Tyszyńskiego.	465
Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału historyczno-filozoficznego Akademii Umiejętności w Krakowie. (Tom IV—VI, 1875—1878 r.). Przez J—d.	483
VIII. Konkurs Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.	493
IX. Wiadomości bieżące, literackie, naukowe i artystyczne.	494



De. II. 1.

LUCYAN SIEMIĘŃSKI.

PRZEZ

Adama Bełcikowskiego.

I.

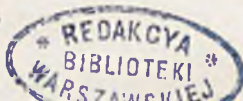
Pół wieku temu właśnie, jak poezya u nas święciła najpiękniejsze dni swojej młodości. Odżywszy na nowo, jak Feniks z popiołów, pod tchnieniem świeżych idei, które wionęło po całej naszej części świata, czuła w sobie krążenie młodzieńczych soków, upajała się szaleństwem i nadzieją, z dumą potrząsała laurem zdobytym świeżo na murach rozsypującej się w gruzy konwencyonalności i przeżytego pseudoklasycyzmu, z ufnością w przyszłość i w swoje siły szybowała w najwyższe sfery natchnienia, w nowe krainy piękna dla jej zuchwałych skrzydeł stojące otworem. Mickiewicz, Zaleski, Goszczyński byli wtenczas w najpiękniejszej epoce swojego życia, w całej pełni sił duchowych; Słowacki i Krasiński, jeszcze nieznanzi światu, rozwijali się jak pączki pod liściem, aby niedługo zadziwić przepysznym kwiatem swych uczuć i myśli. Wprawdzie niejedno z największych dzieł naszej poezyi powstało nieco później, ale wtedy właśnie, w tych kilku płodnych latach zrodziły się: *Marya* (o! czemuż jej autor dłużej nie tworzył!), *Wiesław*, *Dziady*, *Rusalki*, *Zamek Kaniowski*, *Grażyna* i *Walenrod*.

A świat, naród, te tłumy, dla których poeci śpiewają i bez których jak echo bez odbijającej ścianyby nie istnieli? Podobno także były inne niż dzisiaj. Gorączkowały się nowością i ścieraniem się zdań, miały serce pragnące wyższych uczuć i wzruszeń, pielegnowały w sobie niezachwianą wiarę, do życia nie wystarczał im tylko chleb powszedni, ale im było potrzeba i ideału.

Jednym słowem, w owej epoce, poezya była w powietrzu i czynni twórcy i bierni słuchacze, wszyscy nią oddychali.

W takich czasach każdy młodzieniec, który poczuje jakieś żywsze drgnienie w sercu, w którego wyobraźni zaczną się roić te niepochwytne, nieokreślone widziadła, podobne do mgły porannej, nadziejami witające nas na progu życia, odosobnia się od ludzi, zasiada między czterema szcypłami ścianami i pisze wiersze, wylewa ze siebie potok niejasnych myśli i wybujałych marzeń.

Tak też uczynił i Lucyan Siemięński, który w owej chwili miał lat ośmnaście (urodzony w Magierowie, w Bełżkiem 13 listopada 1809 roku) i skończył właśnie nauki w gimnazyum Pijarskiem w Lublinie. Ze szkoły wyniósł on znajomość elementarną starożytnych klasyków



i cześć dla francuzkiego klasycyzmu, którego naturalnie romantyczność nie mogła tak prędko wypędzić z murów prowincjonalnego szkolnego zakładu, jak jęj się to już wtenczas udało na przestronniejszym świecie literackim. Ale też zaledwie młody Lucyan pierwszy raz na ten świat wyjrzał i na nim dokonała się odrazu stanowcza metamorfoza. Nowy prąd, któremu nawet zakorzenione klasyczne powagi oprzecz się nie mogły, porwał go całą siłą i poniósł na burzliwe romantyczne fale.

Teraz to zapewne, po spokoju lat szkolnych, nastąpiły w jego duszy te chwile urojonych bólów, przywidzianej mizantropii i to gonienie za fałszywemi ideałami poezyi, do jakich doprowadzała młode umysły romantyczność w pierwszych czasach swojego pojawienia się. Bez rozpaczy i apatyj Byrońskięj, bez nieszczęśliwych rycerzy i nieszczęśliwych dziewic, bez blasku księżycy, padającego na trumny lub rozwaliny starożytności, nie było wówczas poezyi dla umysłów młodocianych albo też nie obdarzonych większą siłą twórczości, któraby im prawdziwe postacie i sytuacje poetyczne stwarzała.

Niejaki ślad podobnego nastroju w młodym Siemieńskim znajdujemy w jego wierszach pisanych i drukowanych między r. 1828 a 1830; wtedy to tłumaczy on balladę Szyllera: *Hero i Leander*, Byrona: *Rozstanie się z żoną* i pisze oryginalnie z melancholiczną alegoryą życia p. t.: *Podróżny* i sentymentalno-okropną balladę: *Janusz i Mitona*. Erotyczny wiersz (r. 1830) *Łza* jest już od nich lepszy a zwłaszcza naturalniejszy.

Te chwile romantycznego rozmarzenia, prędko jednak u niego minęły. Cała poezya nasza, dodać tu należy, w skutek najwięcej wypadków politycznych, doznała wówczas wielkiego wstrząśnienia, które ściągnęło ją bliżej ziemi i w rzeczywistości nagięło i najbliższej odkryło dla niej nowe źródło natchnienia.

Też same wypadki polityczne oderwały i Siemieńskiego na czas niejaki od literatury. W r. 1831 dostaje się do niewoli i jako jeniec wojenny przebywa to w Żytomierzu, to w Kijowie, to w Odessie. Po roku tęg tułaczki, za staraniem krewnych, powraca do Galicyi. Tutaj we Lwowie znajduje grono pokrewnej sobie duchem i dążnościami młodzieży, jak Seweryn Goszczyński, Wincenty Pol, Magnuszewski, Bielowski August, Józef i Leszek Borkowscy, Nabelak i t. d. Przybyciem swoim powiększa liczbę tych pracowników literatury, ale teraz występuje już w innęj barwie i pod innym sztandarem poetyckim.

„Teraz jeszcze chcielibyście wiedzieć (pisze w jednéj ze swych powiastek: *Romantyk*, zaczerpniętęj z osobistych wspomnień) czy ze mnie taki jak dawniej zagorzały romantyk? Anibyście poznali. Cały ów świat zamków, rycerzy, minstrelów, ideałów, rozbiła jedna piosneczka ukraińskięj baby, wyegzorczyznowała jedna kartka staręj kroniki, wypłoszyła rzeczywistość poetyczniejsza, bo prawdziwsza niż wszystkie ballady w almanachach zawarte.”

Otóż mamy najwiarogodniejsze wytłómaczenie zagadki, w jaki sposób ta duchowa metamorfoza u niego się odbyła. Nic wiadomo, czy

należy to brać dosłownie, że jakaś piosneczka zasłyszana pod cerkwią lub na kurhanie w czasie jego niedawnego pobytu na Ukrainie, stała się dla niego takim objawieniem poetycznym, ale to pewna, że pieśń gminna, że tradycja i przeszłość narodowa miała być odtąd dla niego nową gwiazdą, wiodącą go do krain poezji drogą lepszą i prostszą niż dawniejsze ideały z zagranicznej romantyki zapożyczone. Oprócz Siemieńskiego całe prawie grono tych młodych lwowskich pisarzy weszło na też same tory, wskazane niegdyś przez twórcę epoki, ową sławną i pyszną apostrofą:

O! wieści gminna, ty arko przymierza!

Była to tak nazwana później przez historyków literatury szkoła czerwono-ruska. Szczególnie starosłowiańska pieśń wielki miała mir u tej szkoły. Niedawne to były czasy, jak zaczęto odkrywać, zbierać i ogłaszać światu starożytne zabytki gminnej poezji serbskiej, ruskiej i czeskiej, będące oryginalnym płodem słowiańskim, a przypominające pod niejednym względem klasyczną Homerowską poezję. Z podobnych rapsodów i klechd ludowych powstały niegdyś wspaniałe epepe greckie, a z nich cała tak piękna i skończona literatura i sztuka helleniska; cóż więc dziwnego, że u tego młodego pokolenia literatów, które przyszło do posiadania takich skarbów po przeszłości, powstawały wnioski i pomysły, że jeśli nasza literatura ma się rozwijać oryginalnie i organicznie, jak niegdyś grecka, to na podobieństwo tamtej potrzeba ją osadzić na najpewniejszych i niezachwianych fundamentach pieśni gminnej, a wtedy, któż to wie? może z czasem rozrość się i rozkwitnąć równie wspaniale i potężnie, jak jej starożytna poprzedniczka.

U Siemieńskiego też ta dążność dochodzenia w poezji do rodzinnych pokładów i opierania się o grunt ludowy, pozostała stałym znamieniem w jego całym zawodzie. Zkądinąd, w późniejszych mianowicie czasach, arystokratycznych wyobrażeń, nadto arystokrata duchowy, uznający tylko najwyższe powagi w hierarchii literackiej, tam gdzie chodzi o koloryt poetyczny, o zasilenie języka, lubi się schylać do ma-luczki i od nich pożyczać się nie wstydzi. Jak zobaczymy, ta skłonność do ludowej, słowiańskiej pieśni sprowadza u niego bardzo błogie następstwa, bo prostą drogą wiedzie go do Homerowej *Odysei*.

Przedewszystkiem jednak musiało tym młodym pisarzom chodzić o to, ażeby te zabytki słowiańskie uczynić własnością narodową i przyswoić je językowi polskiemu. Tłómaczą więc pieśni serbskie, w r. 1833 Bielowski wydaje swój przekład *Igora*, a równocześnie Siemieński ma już gotowe, jeszcze w r. 1832 tłómaczenie „Królodworskiego rękopismu.” W r. 1834 Bielowski w wydanym przez siebie noworoczniku *Ziewonia*, umieszcza kilka ustępów z tego tłómaczenia pod tytułem: *Dumy Czeskie*. Całkowity przekład ukazuje się dopiero w dwa lata później, w roku 1836 w Krakowie.

Tłómaczenie „Królodworskiego rękopismu” było pierwszą większą pracą Siemieńskiego. Ono otworzyło mu wstęp na arenę literacką

i odrazu imię jego uczyniło głośnem. Dowiódł on w nióm wielkiej siły i mistrzostwa w władaniu językiem i pojmujemy bardzo dobrze, jak wielkie musiał obudzić w owe czasy zdziwienie, ten wiersz tak jędrny, plastyczny i tak sztucznie a pięknie ubarwiony kwiatami zrywanemi zarówno na niwie starosłowiańskiej jak i nowożytnej ludowej mowy. Język ten, mieszczący w sobie taką szczęśliwą kombinacją rozmaitych żywiołów i pomimo archaistycznej często pleśni, tak zrozumiały, pełen życia i artystyczny efekt wywołujący, pozostał odtąd własnością i właściwością Siemieńskiego. Umiał on przezeń przysporzyć skarbów ojczystej mowie, wzbogacić ją, odświeżyć i dodać jej siły, przybierając do niej wszystko co było można i gdzie było można, a kierowany zawsze w tym wyborze delikatnym smakiem i instynktem nader szczęśliwym.

II.

Te błogie chwile poświęcone Muzom i młodzieńczym marzeniom, niedługo znowu skończyły się dla Siemieńskiego. Podzielając w owe czasy wszystkie uczucia i przedsięwzięcia gorętszych duchów, zaczął być przez policją austryacką podglądany a potem i ścigany. Jakiś czas przewożąc się z miejsca na miejsce po różnych stronach Galicyi, zdołał uniknąć grożącego mu niebezpieczeństwa, aż w r. 1837 został uwięziony we Lwowie. I znowu półtora roku przebył w ciężkiem więzieniu, z którego przez ułatwienie ucieczki wydobył go nakoniec jego przyjaciel Franciszek Morawski. W kraju pobyt dla niego był odtąd niemożliwy; uchodzi przeto zagranicę i szczęśliwie dostaje się do Francyi. Przebywa najprzód w Paryżu, a potem na dłuższy czas przenosi się do Strasburga.

Przez tę przymuszoną wędrowkę zagranicę, umysł jego odniósł jednak niemałe korzyści. W stolicy Francyi zbliża on się do koryfejów naszej poezyi, poznaje wszystko co literatura miała najwyższego i najwspanialszego, z wielkim Mickiewiczem na czele, czas zaś przebyty w Strasburgu obraca po największej części na uzupełnienie swojego wykształcenia, które jak wiemy, dotąd jedynie na szkole lubelskiej się ograniczało. W bliższe stosunki towarzyskie i literackie wchodzi na emigracyi ze stronnictwem demokratycznym, a chwilowo z najskrajniejszym nawet jego odłamem; należy do redakcyi satyrycznego pisma: *Pszonka*, wydawanego przez Zienkowicza, tudzież do redakcyi *Noworocznika Demokratycznego*, w którym w r. 1842 drukuje opis ostatnich chwil S. Konarskiego i powiastkę na tle historycznym: *Panna Antonina* czyli *Wejście Austryaków do Lwowa r. 1809*.

Od chwili wydalenia się ze Lwowa, aż do stałego osiedlenia się później w Krakowie, upłynęło całych jedenaście lat życia Siemieńskiego. Przez ten czas ożenił on się w r. 1841 z Ludwiką hrabianką Potocką (z linii prywasowskiej), przybył do Wielkopolski w r. 1843 w zamiarze porzucenia emigracyjnego życia, został tutaj po raz trzeci uwię-

ziony, wkrótce za staraniem Seweryna Mielżyńskiego odzyskał swobodę, przez trzy lata razem z rodziną przebył w gościnnym jego domu i znów r. 1846 powrócić musiał na tułaczkę, tym razem szukając schronienia w Brukselli.

Pomimo tego ustawicznego przerzucania się z miejsca na miejsce, była to jednakże u niego epoka bardzo płodna i obfita i w działalności jego literackiej posiadająca odrębny charakter. W tym czasie występuje on najwięcej jako oryginalny poeta zarówno w mowie wiązanej jako też i w prozie, w powieściach.

Wskazałem już powyżej co było dla niego źródłem twórczości poetycznej, mianowicie ludowa pieśń słowiańska tak nowsza jak i starożytna. Siemieński nie był samodzielnym i do tego stopnia twórczym duchem, ażeby z własnego wnętrza mógł być wysnuć sobie i stworzyć odrębny świat poetyczny. Potrzebował on koniecznie jakiegoś danego punktu oparcia, a będąc w tém położeniu uczynił jak można było najlepiej i zamiast iść za przykładem wielu innych obdarzonych wprawdzie dość wysokim talentem, ale nie geniuszem poetów, którzy naprzód szamotali i silili, aby wydobyć z swęj piersi to, czego tam nie było i wydali tym sposobem na świat niejeden płód poroniony, poprzestał na roli skromniejszej, nie pozował na wieszczą i kierownika narodu, nie stwarzał bałamutnych najczęściej systematów poetycznych, ale daru słowa jaki miał od natury użył na skreślenie kilku życiem tryskających dumek i kilku większego rozmiaru poemacików, które chociaż nie pod każdym względem, posiadają wiele zalet artystycznych.

Dawniejszemi czasy bardzo był popularnym i wysoko stawiany jego rapsod historyczny: *Trąby w Dnieprze*. Dzisiaj nie podzielamy już tego entuzjazmu do tej pieśni, a mniej jeszcze od niej szczęśliwą wydaje nam się: *Potrzeba Warneńska*. Oba te rapsody wypłynęły bezpośrednio z *Wyprawy Igora* i „Krółodworskiego rękopismu.” Ten sam w nich ton, taż barwa, co ważniejsza ten sam sposób kompozycji. Otóż to wierne, niewolnicze prawie przelewanie dzisiejszych pomysłów w starożytne formy, pokazało się nie bardzo praktycznym i nie zyskało w literaturze stałego prawa obywatelstwa. Pojmujemy bardzo dobrze, że owocześni pisarze mogli się rozentuzyazmować do tych odwiecznych zabytków, ale znaczenie ich dla rozwoju literatury nie całkiem prawdziwie pojęli. Wartość ich leży zapewne w tém, że mogą i powinny służyć za podwaliny, na których układają się dalsze i coraz wyższe, a naturalnie i ozdobniejsze warstwy budynku, ale z takich samych kamieni, jakie się do fundamentów używają, zostawiając je przymtem przy całej ich naturalnej prostocie; chcieć cały gmach wyprowadzić, jest bezwątpienia także błędem, który wcześniej czy później wychodzi na jaw i mści się na tych co go popełnili. Prawda, że te rapsody pisane są jędrnym, energicznym i plastycznym językiem, że koloryt ich barwny i jaskrawy uderza nas w oczy; lecz cóż? kiedy cały obraz, jak gdyby kto dziś śmiał wskrzesić przed-Rafaelowy sposób malowania, nie odpowiada naszemu smakowi, a co więcej burzy nam wszelką illuzją, bo mi-

mo całej sztuki włożonej w niego do zatarcia tego wrażenia, aż nadto dobrze czujemy, że ten, który go utworzył, nie wysnuł go z własnych pojęć, ale skopiował według wzoru. Poezya nie napróżno nazywa się sztuką wolną; najpierwszym jej warunkiem jest jak największa swoboda tworzącego ducha; w jej regionach musi on się czuć samoistnym i niekrepowanym, inaczej traci się wywoływania wrażeń stałych i nie na pewien tylko czas działających.

Ta archaiczna pleśń, te kontury serbskich, czeskich i t. p. rapsodów, o które poeta niegdyś się ubiegał, sprawiają właśnie to, że dziś w obec jego utworu pozostajemy zimni i nieczuli. Możemy uznawać w nim zalety sztuki, ale niknie w nim dla nas poezya.

W ogóle widzieć to można na wszystkich większych utworach poetycznych Siemieńskiego, że ich wykończenie, ta zewnętrzna forma, którą stanowi język i styl, przewyższa o wiele inwencją i kompozycją, które, jak wiadomo, prawdziwą dopiero wartość dziełu nadają. Jego wiersz jest wszędzie tak doskonały, tak wytoczony i wyrzeźbiony mistrzowsko, niema ani słowa źle użytego lub zbyt celnego, każda myśl zosobna wzięta jest i rozumna i poetyczna, przez szczęśliwy obraz lub trafne porównanie wyrażona; czuć, jednem słowem, że to pisał artysta, który odczuwał i znał wszystkie tajniki sztuki. Lecz kiedy oderwiemy się od tych szczegółów, kiedy spojrzymy na całe płótno, to wrażenie artystyczne ginie; nie możemy dojrzec w całości poezyi i robią nam się widoczne rozmaite błędy w pomyśle i przeprowadzeniu. Niema w tych utworach jakiegóż zasadniczej, rdzennnej idei, która dziełu poezyi nadaje prawo bytu, niema w nich tego ognia uczucia, który z utworu sztuki przenosi życie w nasze serce i podobne w niem ciepło rozlewa: niema natchnienia, mówiąc krótko.

Od tej reguły nie stanowi nawet wyjątku (przynajmniej dla naszego sposobu widzenia) najwięcej chwalony jego poemat „Świtezianka.” Na pierwszy rzut oka każdy pozna, że jestto parafraza jednej ze sławniejszych ballad Mickiewicza. Co wielki poeta oddał w duchu i w toku prostej piosenki gminnej, to Siemieński obiół w poważniejszą i więcej wymagającą formę dramatyczną. Rzecz jednakże na tej przemianie nic nie zyskała, owszem straciła. W balladzie Mickiewicza tragiczna historia płochego młodzieńca uderza w nas z całą siłą, jak grom, w fantazyi Siemieńskiego przewleka się ona tak długo, tak długo stoi nieruchomo w miejscu, że prawie traci cały interes. Autor, będący pod innym względem znakomitym artystą, w kompozycyi utworu nie pokazał się nim zupełnie. Jeżeli balladę chciał przerobić na dramat (mniejsza o to czy szczuplejszych czy szerszych rozmiarów), powinien był nadać treści formę dramatyczną, stworzyć napięcie, postęp akcji i ruch. Tymczasem co się dzieje? Po pożegnaniu się młodego księcia z dziewczyną, w której on, podobnie jak u Mickiewicza, nie domyśla się Świtezianki, i po uroczystej przysiędze złożonej przez niego, następuje owa długa, przewlekła i monotonna scena na balu, w trzy lata później po powrocie młodego Donżuana się odgrywająca. Że on nie dotrzymał przysięgi, że złamał wiarę kochance, o tém dowiadujemy się zaraz na

początku sceny, gdzie dziewczyna zapytuje go o dany mu niegdyś bukiet niezapominajek. Poeta czuł jednak potrzebę przedstawienia nam tej niewiary na oczy. Bardzo dobrze, nie można nic przeciw temu powiedzieć; Mickiewicz tak samo uprzytomnił nam tę chwilę każąc Świteziance już w swojej właściwej postaci kusić młodzieńca. Ale to kuszenie należy właśnie, wbrew naszym wymaganiom, do najślabszych miejsc poemaciku. Zjawia się przed młodym księciem (i to z wrazeniem jakie na nas robi *Deus ex machina*) jedna, druga, trzecia, czwarta i piąta kobieta, słyszymy pokusy i umizgi rozmaitych temperamentów, zalotnic sentymentalnych, namiętnych, płochych i t. p.; przemawiają one ładnie, wdzięcznie, czasem z ogniem, czasem finezyją, lecz niestety, mówią zadługo, sprawiają w utworze nieznośną pauzę, w czasie której wszystko spoczywa. Zapytałby można poety, poco ich tyle sprowadził, gdy nawet jedna wystarczyła, ażeby nam dać wyobrażenie o charakterze młodego księcia, albo jeśli ich sprowadził pięć, dlaczego nie dziewięć, nie dwadzieścia i tak dalej w nieskończoność. O ileż piękniejszą, pod względem estetycznego wrażenia, pokusą jest ta jedna, gładka pierś Świtezianki wynurzająca się z pod jeziora, w balladzie Mickiewicza, od tych wszystkich duserów i tyrad wygłaszanych przez te kusielki Siemieńskiego, zmieniające się przed naszymi oczami jak maryonetki!

Co za nieszczęśliwy pomysł miał dalej autor fantazyi, gdy ostatniemu przeobrażeniu Świtezianki, w postaci królowy Palmiry, kazał po niego przyjechać okrętem. Okręt na wodach jeziora Świtezia, przypływający tam ze Wschodu, już w samym młodym księciu budzi ironiczne i dla autora bardzo niebezpieczne zdziwienie. Nienaturalność przechodzi tutaj, szczególnie że się pojawia w formie dramatycznej i w sytuacji zresztą całkiem realnie skreślonej, wszelkie granice możliwości, i należy do tego rodzaju efektów teatralnych, które razić muszą nawet najwięcej naiwnego widza i czytelnika. Mimo całej cudowności, że jeszcze do Mickiewicza powrócić jesteśmy zmuszeni, w jakże prosty i naturalny sposób ten akt zatopienia w jego balladzie się odbywa. Świtezianka ściąga młodzieńca do siebie, fale jeziora się rozszerzają, a jego z drugiej strony popycha ku niej pociąg rozkoszy, i cóż naturalniejszego, że zaślepiony wchodzi na zwierciadło wody i tonie w jej głębiach. Całą tę cudowność można psychologicznie wytłómaczyć, okręt zaś Palmiry mógłby w najgorszej biedzie ująć chyba za jakąś allegoryą i to grubego kalibru.

Nie wiem, czy w lepszym czy w gorszym guście jest także ta teatralna powódź, która zjawia się niespodzianie wśród bankietu, przeraża godowników do tego stopnia, że niejedemu gotów już robić testament, a wszyscy żegnają się z życiem, a potem nagle opada bez żadnej dla nikogo szkody. Prawda, że tylko winowajca powinien być zostać skarany, ale jeśli inni byli niewinni, za co ich było tak straszyć, stawiać na progu śmierci? Sytuacja tak nakazywała, i to prawda, lecz poco autor stworzył taką sytuacją?

Charakter bohatera fantazyi, młodego księcia, ma także na sobie liczne skazy i błędy. Z natury rzeczy wypływało, że miał być Donżuanem i wietrznikiem, niepotrzebnie jednak dodał mu do tego autor kilka rysów, które go do szczytu gubią w naszej opinii. A najprzód ten młody książę popełnia tak gruby nierozsądek, że sam mu się dziwi (podobnie jak okrętowi Palmiry), gdy aż pięciu naraz kobietom przyrzeka, że jeszcze tegoż samego wieczora z niemi się ożeni. Jeżeli namiętność nim władała (a co innego przypuszczać tu nie można), to nie mógł myśleć o żarcie, a jeśli to nie był żart, to był chyba idyotyzm, bo przecież to mógł być przewidzieć, coby się było stało, gdyby wszystkie pięć na oznaczoną godzinę się stawiły. Podobnym rysem nierozsądku, sprawiającym w tragiczném położeniu komiczne niemal wrażenie, jest i ta okoliczność, że młody książę porwany już na okręt przez królowę Palmirę zżyma się i grozi jój „nożem czy pistoletem.” Jeśli jój groził, przypuszcza się, że poznał już swoje położenie i w czyich jest rękach, a w takim razie jakże ta groźba jest niedorzeczną, jak można na taką boginkę, istotę duchową, stworzenie „z mgły i galarety” podnosić nóż czy pistolet? Czy uwodziciel spodziewał się, że zabije Świteziankę?

Wreszcie owa nieludzkość, dochodząca do najbrudniejszej nikiemności, jaką pokazuje ratując sam siebie, a odpychając innych od okrętu. Okropna powódź zalewa już pałac, godownicy w rozpacz błagają go o litość, błaga go o nią jego własny ojciec, starzec z swemi włosami, przeklina go za tę nieczułość, a on żegna ich ironicznym konceptem:

Ja sam na cudzym wózku — acz uprzejmie
Chciałbym zaprosić, okręt nie obejmie,

wskakuje na pokład i zostawia ich na pastwę srożącego się żywiołu. Dlaczego miał być tak okrutnym, tak wyzutym z wszelkiego uczucia i nikiemnym? Niewiarę w miłość miało w nim ukarać niebo, ale nie takie zbrodnie o pomstę do nieba wołające... Lecz dosyć, musimy się zatrzymać w środku tej tyrady i pohamować oburzenie. Wszakże sytuacja znów tego wymagała, żeby on sam poszedł na okręt i sam ginął, a szkoda tylko, że nie autor nad nią panował, ale ona nad autorem.

III.

„Trzy wieszczby” poemat dwa lata wcześniej od Świtezianki wydany (1841), pochodzi z czasu, kiedy Siemieński został pod wpływem messyanizmu i powstającej właśnie nauki Towiańskiego, z którego jednakże, jak nawet nastrój poprzedzającej fantazyi dowodzi, nastrój przeważnie ironiczny, bardzo prosto się otrząsnął. Przykład Mickiewicza i innych wielkich poetów sięgających śmiało wieszczym wzrokiem w przyszłość, powiódł go bezwątpienia w tę dziedzinę poezyi, zresztą dla natury jego zupełnie nie odpowiedniej. Czuł to zapewne sam Sic-

mieński, i nie śmiejąc własnej źrenicy nateżać do zbadania tych nieznanych, dla zwykłych oczu ludzkich niedostępnych krajów, jak później nieco w Świteziance w balladzie Mickiewicza, tak w tym poemacie w tradycjach pozostałych po przeszłości szukał gruntu dla swego natchnienia. W dawnych kronikach i podaniach znalazł trzy przepowiednie: opata jędrzejowskiego w wieku XVI, a O. Marka i ukraińskiego znahora w ubiegłym stuleciu. Skargi przeto, boleść i nadzieje swojej własnej duszy zjednoczył z temi głosami przeszłości, albo też w tém co przeszłość pozostawiła, uznał wyraz stosowny i dobitny do wypowiedzenia własnych uczuć.

„Trzy wieszczby” zatem nie należą do tego rodzaju wieszczej poezji co widzenie O. Piotra w Dziadach, albo niektóre hymny Krasińskiego; sfera poezji w duszy Siemieńskiego nie sięgała tak wysoko, jego intuicya poetyczna nie była tak natchnioną, i wielka jest różnica między temi przepowiedniami spełnionemi już w przeszłości lub wypowiedzianemi już dawniej przez kogo innego, a owemi, że je tak nazwę, filozoficzno-poetycznemi programami, które jako wskazówkę na dalszą drogę narodu wysnuwali ze siebie wielcy nasi poeci. „Trzy wieszczby” do tego skromniejszego znaczenia sprowadzone, są trzema historycznemi obrazkami, które z obecności przejęły tylko w siebie toż samo uczucie smutku, cierpienia i nienawiści, które niegdys ich treść zrodziły.

Ponieważ poeta nie przemawia tutaj własnemi usty, należało mu najprzód wprowadzić postacie, które odzywać się miały, i wytworzyć dla nich jakąś sytuacją, bo naturalnie i téj tak dobrze przygotowanej jak np. O. Piotr, przez wszystko co się przed jego wystąpieniem w Dziadach działo, znaleźć nie mogły. Cała sztuka, całe powodzenie „Trzech wieszczb” zależało od tego, czy to wprowadzenie i przygotowanie tak aktorów jak i sceny dobrze się uda. Genialny jakiś poeta byłby znalazł na to sposób, kilku mistrzowskiemi pociągami byłby nakreślił jedne i drugie, i wkroczył jak najprędzej *in medias res*, przystąpił do tego co w założeniu było główną rzeczą. Autor „Trzech wieszczb” nie był tak szczęśliwy. Celem do którego miał zdążać, były dla niego owe trzy prorocstwa, ale jakże powoli zbliża się do tego, i czytelnikowi już z góry zapowiedzianego a przeto pożądanego celu, jak dla rzeczy podrzędnej, dla akcesoryów, dla szczegółów dobrych gdzieindziej, lecz zbytecznych i niekoniecznych tutaj, schodzi z prostej drogi, i robi uboczne wycieczki.

W pierwszej zaraz części do odczytania przepowiedni opata jędrzejowskiego przygotowuje nas przez przyniesienie konającemu Zygmuntovi Augustowi wizerunków Barbary, choć nie wiem czy można to nazwać przygotowaniem, bo nie mogę dopatrzeć się związku w jakim jedno z drugim ma zostawać. Historycznie nic spólnego między przepowiednią a wizerunkami nie było, a jeśli te drugie miały się przyczynić do większego roztkliwienia duszy królewskiej, to zdaje mi się, że były zupełnie niepotrzebne. Ciężka niemoc, zbliżająca się godzina śmierci, obawa o przyszłość państwa, które miał wstawić los dziedzica,

a wreszcie i trochę zgryzot sumienia, aż nadto mogły nastroić króla smutnie i boleśnie do słuchania smutniejszego jeszcze proroctwa. Są to więc dwa fakta zeszyte ze sobą, lecz nie połączone żadną wewnętrzną relacją.

Zdawałoby się napozór że w drugiej wieszczbie „Kazanie” niema tego błędu; zaraz na samym początku spotykamy się z postacią O. Marka, który w tym ustępie dramatycznym ma główną odgrywać rolę. Ależ znowu jak wiele miejsca zabiera charakterystyka téj figury! To co O. Marek w długim, czterokartkowym dyalogu mówi, jest bardzo ładne, bardzo rozumne; kreśli on się doskonale w téj swojej przemowie, jest naprawdę takim jakim go tradycya przekazała i jakim go sobie wyobrażamy, nawpół jowialnym mnichem i nawpół natchnionym prorokiem. W żadnym jednak choćby najdłuższym pięcioaktowym dramacie, w żadnej opoei na szerokie rozmiary, nie poświęciłby poeta tyle miejsca dla scharakteryzowania jednej postaci; zresztą tam charakteryzowałaby się ona przy różnych sposobnościach, przez swoje czyny i postęпки, w ciągu akcji; tutaj to wszystko za jedném tchnieniem jest wypowiedziane. Do tego co jeszcze ma nastąpić, do téj jednej sceny w kościele, w której usłyszymy jego proroctwo, jest tutaj zrobiony zamach zbyt wielki, bez uwzględnienia téj proporcji i perspektywy estetycznej, która tak często o powodzeniu utworu sztuki rozstrzyga.

Taż sama niewymierność razi także w trzeciej części: *Dumka Ukrańca*. Opis młynu na Rusi, drogi jaką starosta i watażka odbywają do Wernyhory, opis jego bańdurzysty karła, są to wszystko rzeczy zbyt drobiazgowo wykonane, a co gorsza wszystkie te szczegóły do niczego prawie nie służą i do głównej rzeczy nie należą. Mickiewicz w swojej epoei, spokojném korytem płynącej, nie opisuje tak szeroko owéj sławnej karczmy Jankiela, jak jest opisany ten młyn zakłęty w tym drobnym, i dlatego całej energii pióra wymagającym obrazku. Prawda, że dla autora nastęrczała się kusząca sposobność; do tego młyna przywiązana była cudowna klechda o biesach i pięknej młynarce; więc jakże podobną zręczność ominąć i nie wetknąć kilka jaskrawych rubinów w tę miniaturową płaskorzeźbę? Rubiuy te błyszczą pięknie, tylko szkoda, że są zupełnie zbyteczne.

W tym układzie całości, i w téj proporcji chybionéj pojedynczych części do siebie, znalazłem jedynie przyczynę, dlaczego te poemata nie robią należytego wrażenia estetycznego, dlaczego nie chwytają naszej wyobraźni i serca z tą siłą, z jaką zwykła to czynić dobra poezya. Bo zresztą jest w nich wszystko, a mianowicie jest cała doskonała technika poetyczna; są one tak napisane, że dziwić się potrzeba, dlaczego te wiersze nie stanęły na wysokości najlepszych naszych utworów, dlaczego się niedobiły podobnej do nich popularności i sympatyj narodu. Czytając wiersz po wierszu, zdanie po zdaniu, widzi się, że każde pojedynczo wzięte powinno by je do tego uprawniać, a po przeczytaniu całości, przekonywa się, że tak nie jest i chłodnie się w powziętym dla nich zapale. Przyczyna więc téj mniejszój ich wartości musi tkwić

gdzieś w ich wewnętrznej słabości, w jakimś organicznym błędzie, z którym one już na ten świat przyszły. Zdaje mi się że tym pierwotnym grzechem był sam pomysł, jak się pokazało w skutkach nie bardzo szczęśliwy, ażeby te wielkie, poważne tradycje oprować w ramki historycznego obrazka. On to wprowadził poetę w trudności, z których nie miał siły wyjść zwycięzko. Może lepiej byłoby podobnych rzeczy nie tykać, albo też przeprowadzić je w wielkiej, natchnionej kompozycji, odpowiadającej ich grozie i znaczeniu, a na to rzadko kto może się pokusić.

Z drobniejszych jego poezyj jest wiele wzorowo napisanych, a są to albo dumki, na ton ludowej pieśni, albo liryki duchem swoim do niej się zbliżające, a więc najczęściej przedmiotowe. Z osobistych uczuć Siemieński nie rad się spowiadał; czasami tylko uderzał w erotyczną strunę, albo też wypowiadał swoją tęsknotę za krajem i przyjaciółmi młodości, jak np. w pięknym wierszu na zgon Józefa Borkowskiego. Z obcych języków tłómaczy w tym okresie, podobnie jak przed wyjściem zagranicę, również pieśni ludowe. Jak niegdyś Herder w swoich *Stimmen der Völker* tak i on, zrobiwszy początek od najbliższych nam i pokrewnych narodów, miał zamiar ułożyć w języku polskim całą wiązaną z tych polnych kwiatów wyrosłych na różnych ziemiach i zamknąć ją rozprawą o duchu poezji gminnej w powszechności. Zamiar ten nie został jednak w całości spełniony; w r. 1842 wydał I zeszyt *Piosennika Ludów*, obejmujący pieśni bretońskie, w następnym II z przekładem pieśni skandynawskich, lecz dalsze czy to ze zmiany usposobienia w autorze, czy z innych jakich przyczyn, nigdy się nie pokazały.

Pomimo to widzimy, że Siemieński nie przestał dalej zajmować się poezją ludową, tylko poszukiwania swoje zwrócił na pole najbliższe nas obchodzące. W roku 1845 wydał w Poznaniu *Podania i legendy polskie, ruskie i litewskie*, książkę, która w tak ścisłym zostaje związku z poprzedniami publikacyami i z całym kierunkiem, jaki sam obrał w swym zawodzie i jaki poezyi w ogóle nadać pragnął. Nigdzie może wyraźniej jak tutaj nie wypowiedział on swego przekonania o wartości i znaczeniu w literaturze poezji gminnej i podań ludowych. Według jego własnych słów „poezya w znaczeniu prostém i pierwotném tego wyrazu, nie istnieje dziś prawie, tylko między gminem, który sam jeden jest panem potrzebnych do niej warunków.” Zbierać zatem te okruchy fantazyi ludowej, wykopywać te skarby leżące w ukryciu, znaczyło u niego tyle, co przymnażać literaturze prawdziwej poezji i twórczość narodową podsycać najposilniejszymi i najzdrowszemi sokami. Lecz oprócz tego widział on jeszcze coś więcej w tym samorodnym wytworze ludowego ducha, niedotkniętego tym blichtrzem powierzchownym, który go nie kształci i nie podnosi, ale fałszuje i wypacza, tym blichtrzem który on „pół-cywilizacyą” nazywa, bo widział w nim „niezmierne materyały, z których dłoń twórczego geniuszu może wznieść budowę społeczną, o wiele wspanialszą nad wszystkie mrzonki nowoczesnych

socyalistów." Czyli mówiąc innemi słowy, to co lud ze siebie własnymi siłami wysnuł, uważał także za jedynie stósowny i twardy grunt „za przyszły żywioł, za tkanę wysokich przeznaczeń” na których budowę przyszłej cywilizacji tego ludu i porządek jego społeczny oprzeć się da i będzie można, rozumie się, jeżeli ta cywilizacja nie ma zostać połowiczną albo zupełnie fałszywą. Podania zawarte w tym zbiorze obejmują tylko pewien dział utworów gminu, mianowicie tradycje odnoszące się do pewnych miejsc, do osób historycznych, do wyobrażeń i dziś istniejących o nadzwyczajnych istotach, czarownicach, wilkołakach i t. p., a zebrane zostały bądź z gotowych już podobnych zbiorów, o ile w nich co zamiarowi autora odpowiadało, bądź z dawnych kronik, legend i żywotów świętych, a w znacznej części także z ustnego opowiadania.

IV.

Nic biograficzna, po której dotychczas snułem rozmaite prace Siemieńskiego, kazałaby mi przejść teraz do innego przedmiotu. Ale przypominam sobie, że pozostają jeszcze dwa jego oryginalne poemata z późniejszych czasów, o których mówić może potem nie zdarzyłaby mi się tak dobra sposobność, jak obecnie, kiedy się jego poezjami już nieco dłużej zajmowaliśmy. Ośmielam się przeto zrobić pewien przeskok chronologiczny, aby tę materję już w zupełności wyczerpnąć.

A najprzód *Mimosa* powieść sentymentalna datuje się z czasów (r. 1858), w których duchowy nastrój poety wiele się różnił od tego, w jakim go dotychczas poznaliśmy. Młodzieńczy zapał ostygł, idealne pragnienia i porywy zniżyły swój lot, a miejsce ułudy i tęsknych marzeń zajęło doświadczenie i znajomość świata. Zwykła to kolej śmiertelników, wyjąwszy chyba wybranych... W tym stanie ducha można poigrać z tém co się dawniej wielbiło i można roześmiać się na to, cośmy za najwyższe szczęście uważali. *Mimosa* też jest przedewszystkiem powieścią niesentymentalną, jak ją autorowi podobało się nazwać, ale ironiczną. Sentymentu pełni są jęj oboje bohaterowie, ale autor nie bierze go bynajmniej na seryo; obraca go niemal w żart, a my z całej duszy mu w tém przyklaskujemy widząc, jak ta młoda sentymentalna para ponieważ sama swoje najdroższe uczucia, jak mała w niej krwi, energii i młodości, kiedy tylko nie ma siły bronić swego szczęścia i miłości przeciw światu, ale nawet tego nie próbuje.

Co robi nasza piękność po owym wieczorze?

Co może.—A co księżę?—On również co może.

A zatem nie nie robią oboje.

Młody księżę i piękna szlachcianka pokochali się na balu przy pierwszym walcu. I cóż robią? Widują się zdaleka, cierpią, tęsknią; potem księcia odwołują telegrafem na dwór, a pannę równocześnie wzywa chory ojciec na wieś— a potem jeszcze

z obojgiem co chciano zrobiono:

On został cudzym mężem, ona cudzą żoną.

I koniec historii! Nie, jeszcze nie koniec. W rocznicę poznania, bohaterka, już wtedy uszczęśliwiająca swą osobą poczciwego jakiegoś szlachcica, dostaje niespodzianie list od księcia, w którym ten donosi jej że umiera i odsyła gałązkę konwalii, od niej niegdyś otrzymaną. Naturalnie, umiera nieszczęśliwy, nie mogąc przeżyć swęj miłości, umiera z cierpienia, a nie miał tyle odwagi i... rozumu, aby pisać, gdy było trzeba, choć jedno słówko protestacyi. A kochanka? Ta żyje dalej, „na świecie jeszcze, ale nie dla świata;” bywa w towarzystwach, jeździ do wód zagranicę i wszędzie umie się otoczyć jakąś sferą samotności, która jej pozwala oddawać się cierpieniu i wspomnieniom.

Błada to, bardzo błada powieść nie tylko ze względu na charakter, ale na treść i akcyę, które są nadzwyczaj ubogie. Z kilku wzmianek w tęg powieści wnosić na pewne można, że rzeczywiste wydarzenie dało do niej osnowę; nie przypuszczam jednak, aby to z woli autora wyniknęło, że w rzeczywistych faktach nic nie zmienił i nic nie dodał, czyli, że danego materyału w poetyczny sposób nie przerobił, i domyślam się, że to stało się na żądanie kogoś drugiego. Zapewne tego kogoś uderzyło niezwykle usposobienie aktorów tego wydarzenia i cały ich niewytłómaczony, osobliwszy sposób postępowania, kiedy żywiąc w sercach prawdziwą miłość, której dowiedli jedno przez zawczesną śmierć a drugie przez dożywotnią boleść, z drugiej strony tak słabymi, tak nijakimi pokazali się, kiedy szło o to, ażeby zrobić jeden krok stanowczy. Może temu, komuś, chodziło o to, ażeby pokazać światu na oczy, że w życiu nie zawsze tak się dzieje, jak w poezyi i romansach, gdzie podobnego rodzaju zawikłania prowadzą do walki, do rozpaczey i rozmaitego rodzaju katastrof. Bohatérowie rzeczywiście uniknęli tego wszystkiego i pogrzebali to wszystko w rezygnacyi; tym razem jednak nierozsądnęj i bez celu. Dość że ten ktoś nasunął poecie ten przedmiot i zobowiązał go zarazem, aby w nim nic nie odmienił i podał go w całej nagięj prawdzie.

Jeżeli ten mój domysł jest prawdziwy, jeżeli poecie nic nie pozostawało i nic nie było wolno tylko to proste, nic nadzwyczajnego, nic z pierwiastków fantazyi, niemające w sobie wydarzenie, odziać w poetyczną sukienkę, natenczas należy mu przyznać, że świetnie swoje zadanie wypełnił. Ten bład obraz ukoloryzował on żywo, tę zwyczajną osnowę przetkał tyłu arabeskami i lekkiej ironii i tyle napinał w nią kwiatów stylu i poetyckiego języka, że chociaż ciało zostało bez krwi i bez plastycznych kształtów, bo tak je utworzyła natura, rozwieszona na nię szata, jakby na manekinie, może wywołać zadowolenie i poklask krytyki, która już dawniej o tęg powieści się odzywała ¹⁾, że Don Żuan Byrona służył Siemieńskiemu za wzór do utkania tęg szaty.

1) Krytyka K. Kaszewskiego w Bibl. Warsz. r. 1858.

W czternaście lat później (1872 r.) ukazał się ostatni z jego większych poematów: *W Giulistanie*, fantazyja majowa do Maurycego Manna. Utwory w tak dalekich odstępach czasu pisane, muszą mieć na sobie odmienną zupełnie fizyognomią. To też i na tym znać wpływ wieku poety i wpływ czasu, owiewającego świat i ludzi innym już duchem. Ta fantazyja majowa jest przedewszystkiem refleksyą człowieka, co przebiegłszy już drogę żywota niemal do końca, przyzwyczajony iść nią pod innym sztandarem i z innymi hasłami, nie może pogodzić się z nowymi ideami, ze wstrętem odsuwa się od nowego świata, w którym one tyle zgiełku i wrzawy czynią i na łonie natury, tej wiecznej i nieodmiennej matki i mistrzyni, odnajduje swoje ideały i młodzieńcze marzenia. Treść bowiem tego utworu jest nader prosta. Poeta w czasie maja bawi na wsi i otrzymuje od przyjaciela list z zapytaniem co tam porabia? Na szczęście był to jeden z tych rzadkich, pięknych majów, które pozwalają używać wszystkich powabów rozkosznej wiosny; odpowiada mu więc, że żyje szczęśliwy i w cudach przyrody szuka zapomnienia tego wszystkiego, czém powietrze miejskie tak do zbytku przesiąknięte: materyalizmu, interesu, a nadewszystko tych nowomodnych teorii naukowych, które człowiekowi wszelką wiarę a nawet i własną duszę odbierają. Że mowa tutaj o teorii Darwina, poeta ani na chwilę nie pozwala nam wątpić. Jakże inaczej on tutaj, na łonie natury przebywając i będąc świadkiem pierwszej młodości wiosny, na świat się zapatruje! On wszędzie i we wszystkiem, w każdym kwiatku i listku, w każdym motylku i słowiku widzi objawiającą się duchowość, widzi duszę przez materią się przedzierającą, gdy terażniejsi naturaliści i filozofowie nawet tak doskonałej istocie jak człowiek, jęj zaprzeczają. Szczególnie nie może poeta darować im tego, że wyrokiem swoim objęli także i piękną połowę naszego rodu:

Darwin mistrz! lecz jam śmiały zapytać się, czyli
Nie bąk to, że kobietę wywiódł od Gorylli?...

więc karci go też bardzo surowo:

Hola, mospanie Anglik! mów co niesie ślina,
Że ród męzki, ród małpi, od małp się poczyna;
Lecz od kobiety — wara!

Bo kobieta dla niego, poety, jest szczególnie rodzicielką piękna na ziemi; od niej się ono wywodzi i z jęj żrenic pada najprzód w serca mistrzów wszelakiej sztuki.

Tak zamarzony o kobiecie i pięknie, upojony śpiewem słowika, który właśnie odegrał mistrzowski koncert na cześć kochanki, staje w pośród bogatego klombu róż, jak gdyby przypadek chciał go jeszcze więcej ich wonią rozmarzyć i upoić. Tymczasem z małej chmurki, której w zadumie swęj nie spostrzegł, lunął kroplisty deszczyk, ów rozkoszny deszczyk majowy.

I powietrze napełnił par ciepły i lekki,
 Który jakąś sennością obciążał powieki
 I wprawiał w tę ekstazę, jaką haszysz sprawia,
 Że się widzi raj pięknic, z nimi się rozmawia,
 Jé, pije lub tańcuje, lub ściska za rączki,
 Stan niby gorączkowy, jednak bez gorączki...

W taką ekstazę i on wpada i naraz widzi się wśród tysiąca prześlicznych główek, przygląda im się z zachwytem po kolei, przypomina sobie, że niejedną z nich niegdyś w życiu już spotkał. A były różne w téj galerii: dumne piękności, płomienne serca, melancholiczne istoty. Jedna z nich szczególnie dłużej zatrzymała jego uwagę:

Płec miała bladawą,
 Lecz jakby przepaloną krwi gorącej lawą;
 Za taką przepadają najwięcej poeci...

Więc i ta musi należeć do rzędu owych poetycznych niebianek?.. Nie omyliło go przeczcucie, to Maryla, która przyszła tutaj, według uczynionego niegdyś przyrzeczenia, odnowić z kochankami smutną scenę pożegnania i słyszeć, jak jéj zaśpiewa znaną piosnkę: „Pocałunek jéj, ach! nektar boski!” Jakoż rozległa się po ogrodzie wkrótce namiętna piosenka, wsłuchiwała się w nią Maryla, wsłuchiwał całą duszą i poeta i nie spostrzegł jak rozrzuwniona nią piękność bladła i omdlewała. Dopiero, gdy padła jak kwiat pod kosą na ziemię, skoczył ją ratować i trzeźwić:

Trzeźwię, trzeźwiąc dotknąłem ustami jéj łona...

I ten żar pocałunku zapewne wrócił mu przytomność. Przeciera oczy i widzi, że w ręku trzyma nie Marylę lecz różę zerwaną, że te inne piękności to także nie co innego tylko róże. Cóż to ma znaczyć, pyta sam siebie, zkąd to złudzenie? Oto przeszło ono z tego jego przymiotu, lub jeśli kto woli, z téj wady:

Że we wszystko chcę duszę włożyć, że ją kładę
 Nawet tam, gdzie wątpliwa.

nie tak zatem, jak nowocześni filozofowie, którzy tam nawet gdzie ona bez wszelkiej wątpliwości się objawia, zabijają ją swojemi systemami.

Choć nie wiele, bo z wyjątkiem tylko owego epizodu o różach, fantastycznego pierwiastku ma w sobie ta fantazyja, pełna ona wszelako jakiegoś wdzięku a czasami i młodzieńczej świeżości. Bez fantazyji, w najprostszéj formie napisana, bez silenia się na wymyślniejszy układ, może dlatego właśnie ma więcej powabu i doskonalszą wyszła z pod pióra poety, który jak widzieliśmy z najdawniejszych utworów do kunsztownéj kompozycji i do bogatszej inwencji niewiele miał szczęścia. Taką przynajmniej mnie się wydaje i postawiłbym ją na czele jego poezyi, oryginalnych obok pięknego, przejętego głębokiém, bo za próg wieczności zagląającym uczuciem ostatniego jego wiersza: *Komu*

w drogę, temu czas. Do tych dwóch utworów dodałbym jeszcze trzeci, zamasyżcie napisaną, pełną humoru gawędę: *Wachmistrz Jaszczołd*. Żołnierska żyłka, która tkwiła w naturze Siemieńskiego i jego osobistości dodawała pewien rys sympatyczny, posłużyła mu tutaj bardzo szczęśliwie do skreślenia junackiej postaci starego wiarusa.

V.

Od samego prawie początku karyery literackiej przez te kilkanaście lat, w których najwięcej jego oryginalnych utworów poetycznych powstawało, pisywał Siemieński także powieści, opowiadania i mniejsze obrazki poetyczne prozą. Umieszczane one były różnemi czasy w *Rozmaitościach lwowskich*, w *Ziewoniu* Bielowskiego, w *Noworoczniku demokratycznym*, w *Przyjacielu ludu* i t. d. Kiedy ich się już sporo nazbierało, zgromadzał je razem i wydawał w osobnych książkach. W ten sposób powstały: *Muzamerit* czyli *Powieści przy świetle księżyca* (3 tomy, Poznań 1845), *Mozajka* (Kraków 1853) i *Wieczornice* (3 tomy, Wilno 1854).

Drobne te utwory do różnych należą kategorii. Są między innymi powieści w kształcie nowel, są opowiadania z obcych ust zasłyszane, są podania ludowe i szlacheckie w guście gawędy, znajdują się także legendy, poetyczne ustępy z doznanych w podróży wrażeń i t. p. Ogólną ich zaletą jest piękny język i styl, co zaś do wewnętrznej wartości, ta bardzo jest niejednaką. Najlepsze z pomiędzy tych powiastek są te, które należą do rzędu opowiadań z tradycyi i gawęd. W tych znajdzie się oprócz stylu także bardzo wiele charakterystyki trafnej, wiele kolorytu pewnych epok, wiele figur zręcznie i wiernie nakreślonych. I tutaj i w powieściach widać toż samo, że Siemieński najszcześliwszym był wtenczas, kiedy się o przeszłość opierał albo sięgał do skarbcza ludowych tradycyi; musiały one być szczególnie przez niego ukochane, dlatego też największą wdzięcznością mu się opłacały. Powieści zato z nowszych i obecnych czasów najslabiej wypadły. Widać że autor nie miał tego zmysłu obserwacyjnego, który niezbędnie potrzebny jest dla powieściopisarza, ażeby świat, leżący przed jego oczami, odbił się wiernie na jego źrenicy i w całej swojej prawdzie w niej powtórzył. Nie ośmieliłbym się także nazwać jego pierwiastek nowellami. Ten rodzaj belletrystyki wymaga warunków, których one nie posiadają. Nowella, jak ją znamy z najlepszych wzorów, należy do utworów najkunsztowniejszych i najtrudniejszych poezyi. Głównym jej znamieniem jest to umiejętne skryształizowanie, to stworzenie pewnego rodzaju mikrokosmu, w którym w szczupłych granicach i rozmiarach musi znaleźć się wszystko co do rzeczy należy i wszystko w ininiaturowych dozach, lecz symetrycznie być ułożone, tak jakto natura w krystalicznych kształtach minerałów czyni. Musi w niej być tak jak w nowellach Boccaccia to zwarte a wszechstronne i do dna wyczerpujące opowiedzenie wydarzenia, tak że z jednej takiej powiastki włoskiego nowellisty możnaby

wysnuć całe tomy, albo téż musi tkwić w niej cały jakiś dramat psychiczny, z interesującym zawikłaniem, jak w nowellach Musseta, których bohaterowie i bohaterki robią nieraz na nas takie wrażenie i takiemi stają się typowemi postaciami, jak gdyby to były postacie z wielkich poematów i dramatów a nie zalotne sylwetki genialną ręką poety nakreślone. Tych właśnie głębszych cech nowelli, tych jęj istotnych artystycznych przymiotów, powiastki Siemieńskiego nie mają. Gładko nieraz, dowcipnie i potoczysie opowiedziane nie mają w sobie ani tego skupienia, ani symetrycznego rozkładu, ani głębszego psychologicznego interesu. Podobnie jak i w poezyjach swoich pokazał się w nich autor artystą w formie zewnętrznej, ale w treść nie umiał tchnąć tego poetycznego ducha, który sam jeden może jęj nadać kształty artystyczne i to tętno życia, będące pierwszym warunkiem istotnie poetycznego dzieła. Dlatego téż *Muzamerit*, *Wieczornice* i t. d. mogą być zbiorem cennych nieraz powiastek, obrazków i gawęd, w których, jak powiedziałem, szczególnie trafnie jest kilka rysów z przeszłości pochwyconych, ale nawet przy ubóstwie naszej literatury w tym rodzaju, nie nazwałbym ich nigdy zbiorem nowelli.

Dodać także muszę, że nie wszystkie z tych powieści są oryginalne. *Sarneczka* jest przerobiona z *Bocaccia*, *Szczęście z biędą w parze idą* z Andersena, *Panna respektowa* zaś lubo przeniesiona na tło polskie jest wierném zresztą tłumaczeniem nowelli Musseta *Margot*, a może, gdyby lepiej poszukać, jeszcze więcjby się takich znalazło.

Koloryt miejscowy, pewne charakterystyczne postacie z naszej przeszłości, co powyżej jako dodatnią stronę, zaletę tych powiastek wskazałem, oddawna zwracały na nie także i cudzoziemców uwagę i z *Muzameritu* szczególnie niejedną rzecz oni na swój język przekładali. Tak Wacław Dunder tłumaczył wiele na czeskie z tego zbioru, powieść: *Ogrody i Poeci* (ze wszystkich podobno najlepsza i najudatniejsza) przełożoną była jeszcze dawniej w niemieckim piśmie: *Magazin für die Literatur des Auslandes*, a świeżo w *Bibliotece Uniwersalnej* Reclama wyszło podobnież w niemieckim przekładzie kilka powiastek Siemieńskiego.

VI.

Poetyczna zatem produkcyja, bo poezyje i powieści, zajmują przedewszystkiém Siemieńskiego w tym pierwszym okresie literackiej czynności, za którego granicą stałe osiedlenie się w Krakowie od r. 1848 możnaby uważać. W tym samym jednakże czasie, kiedy wydawał w Poznaniu zbiór swoich poezyi (1844 r.) i *Muzamerit* (1845 r.) wyszła także z pod jego pióra książka pisana prozą, z natury swojej do prozajicznej literatury należąca, a jednakże pod tak szczęśliwém natchnieniem poczęta, tak na wskroś duchem poetycznym przesiąkła, że bez obawy policzyłbym ją do jego dzieł poetycznych, a nawet powiedziałbym, że to jest najlepszy, najdoskonalszy i najsympatyczniejszy jego

poemat. Mówię tu o *Wieczorach pod Lipą*, wydanych poraz pierwszy w Poznaniu 1845 r., a dotychczas już w dziewięciu innych wydaniach przedrukowanych.

Autor wziął tutaj na siebie nader trudne zadanie, bo napisanie książki w całym tego słowa znaczeniu popularnej, takiej, któraby mogła przejść do rąk ludu i była przez niego zrozumianą a przytém pożyteczną i nauczającą. Książek podobnych niewiele się znajdzie w całej ogólnej literaturze europejskiej, a w naszej tego zaszczytu dostąpiło zaledwie kilka książek treści religijnej. Ale Siemieński wziął się do pracy z całą świadomością trudnego swego zadania i z doświadczeniem i pewnością mistrza, który zna na wylot wszystkie tajemnice i sposoby sztuki. Posłuchajmy co sam w tej materii powiada na wstępie:

„Uczynić historią narodu naszego, przystępną dla ludzi najmniej wykształconych, jest niełatwem do rozwiązania zadaniem. Dwie wielkie trudności pokonywać trzeba: najprzód oderwać się od głębszych zaciekań, od wyższych kombinacji politycznych, wiarę wieku przenieść nad prawdę zdobytą przez krytykę; wrócić, że tak powiem, do pierwszej prostoty pierwszych kronikarzy; z drugiej znowu strony należy wystrzegać się płochości i nakręcań języka i wyrażeń do sposobów mówienia gminnych, niemniej nie poniżać godności i świętości historii przez nadawanie jej barwy trywialnej lub przekręcanie wypadków. Może kto zarzucić, że prosty człowiek nie rozumie, jeżeli wykład nie będzie w tonie rubasznym? Jestto błędne mniemanie. Wszakże *Historya Święta i Żywoty SS.* nie są w tym tonie pisane, a przecież lud je czyta i pojmuje. Potrzeba tu razem i trafić do serca i podnieść go do pewnej wysokości wyobrażeń. Wiemy że między ludem najogólniej są rozszerzone pojęcia religijne i moralne. Nielewdo w nich spoczywa cały skarb ich wiedzy. Historia więc, aby użyteczną stała się nauką, musi najściślej przeprowadzić ideę religijną i moralną; w każdym zdarzeniu wskazując palec Boży, po każdej zbrodni karę, po każdym enotliwym czynie nagrodę. Ten wielki dramat przeszłości o tyle potrafi zająć, o ile umiał żywymi obrazami obudzić uczucia religijne i moralne.”

Autor, jak widzimy, wiedział jaknajdokładniej co i jak należy zrobić. Wiedział, że rozwiązanie zadania polega na szczęśliwem przepłynięciu między Scyllą i Charybdą, t. j. na wynalezieniu tej pośredniej drogi między uczoną powagą historii a trywialną prostotą, od których zarówno, ażeby cel osiągnął, zdala mu się trzymać należało. Wiedział, że żywymi obrazami przemówić powinien do serca i wyobraźni, a trafić do przekonania przez religijny i moralny pogląd, który u ludzi prostych zastąpić musi całą historyozofią i wypadkom dziejowym nadać zdoła w ich oczach głębsze znaczenie, uczynić je tém, czém są rzeczywiście, t. j. wielkim dramatem ludzkości, rozgrywającym się według wyższych, psychicznych i etycznych praw i bez którego to poglądu, jakkolwiek dzieje zejśćby się musiały dla nich do rządu zmyślonych dla zabawy powiastek i gadek. Wiedział wreszcie i o tém, o czém nie wszyscy autorowie dla ludu piszący dosyć paniętają, że aby przez nie-

go być zrozumianym i przypaść mu do serca, niekoniecznie trzeba, a raczej bynajmniej nie trzeba być rubasznym. Należy to do liczby fałszywych naszych wyobrażeń o ludzkiej naturze, że ani obyczajów jego ani mowy inaczej sobie nie wystawiamy, jak tylko pod formą rubasznosci. Tymczasem lud i jego język, dopóki naturalnie nie dotknie ich blichtr powierzchniowy są tylko prostotą i naturą. Rubasznosc jest już jakimś wymysłem, jest zboczeniem z naturalnej drogi i dlatego tam tylko można się z nią spotkać, gdzie jest dobrowolnym produktem wyższej ogłady, albo mimowolną wadą jakiegoś zewnętrznego poloru.

Niedosyć jednak na tém, że wiedział, Siemięński wypełnił w tej książce wszystko co był powinien. Nie ulega wątpliwości, że talent poetyczny, jaki posiadał, uczynił dla niego łatwiejszém to zadanie i zapewne inny pisarz nie mający tego daru, nie byłby się nigdy tak szczęśliwie z niego wywiązał, nie byłby w stanie podobnej książki napisać. Zdolność poetyczna to bowiem sprawiła, że autor mógł się przenieść na stanowisko, w duszę niejako prostych ludzi, a z drugiej strony, że umiał patrzeć się na przeszłość, jako na obraz żywo i barwnie przed wyobraźnią się rozsuwający, że unikał wszelkiej abstrakcyi, rozumowań i poglądów ogólnych, zamiast których poeta woli zawsze widzieć przed sobą istoty z ciałą i krwią; że nakoniec spoglądał na dzieje z naiwnością średniowiecznego kronikarza, który nie sięga głęboko w badanie przyczyn i skutków, bo historia jest dla niego zawsze więcej zwierciadłem życia, w którym wszystko tak jak jest się odbija, niżeli naukowem badaniem tego, co się przed wzrokiem ludzkim zakrywa. Tento także zmysł poetyczny uchronił go od popadnięcia w płaskosc i gminnosc, w całym tego słowa znaczeniu i dał mu pod pióro język prosty i naturalny, podobny do tego, jakim odzywali się niegdyś starzy gęślarze lub rapsodziści, opowiadający dzieciom o minionych czasach, o czynach ich ojców.

Jak wszyscy wiemy, autor zrobił także pewne poetyczne ramy, w które objął swoje opowiadanie. Ramami temi jest mianowicie ta fikcja, że historyi nie opowiada sam autor od siebie, ale przez usta starego Grzegorza z pod Raclawic. Już sama ta postać, ten „staruszek siwy jak gołębek, ale czerstwy i zdrow, choć tylko o jednej nodze,” otoczony wieńcem wnucząt, „które zebrane około niego, posiadawszy mu to na kolana, to uwiesiwszy się u szyi, słuchały, jak im opowiadał różne, przeróżne historye, jedne ciekawsze nad drugie” jest bardzo ładnym poetycznym wymysłem, daleko powabniejszym i więcej swojskim niżeli inni jego poprzednicy w tym rodzaju, niżeli np. więcej kosmopolityczny Pielgrzym z Dobromila. Ten poważny, dobrego serca a przytém także „uczony” Grzegórz, boć przecie przychodzi pod lipę, niosąc pod pachą jakąś wielką i grubą księgę, nadaje ten szczęśliwy, tak we właściwej mierze utrzymany ton całemu opowiadaniu, przez całą książkę bez zmiany się utrzymujący, chociaż stary Grzegórz bardzo prędko znikam z oczu i później zaledwie przez kilka wyrazów tu i owdzie wyrzeczonych o swojej obecności przypomina. To nałożenie ram i podsta-

wienie osoby Grzegorza jest najkunsztowniejszym środkiem, jakiego autor użył w celu nadania życia, prostoty i przystępności swojej książce. Inne środki, jakimi się posługiwał, polegają na tém, że przemawia zawsze językiem związłym i plastycznym, że w ciągu opowiadania podnosi szczególnie to, co miało w sobie więcej żywiołu dramatycznego i co więcej może zaciekawić, a więc jakieś podania, legendy, nawet anegdoty; że nakoniec odzywa się wszędzie z gorącym sercem dla przedmiotu, z miłością dla przeszłości i niezachwianą wiarą w dobroć Opatrzności.

Od pierwszej chwili pojawienia się *Wieczory pod lipą* pozyskały sobie i najchlubniejsze uznanie krytyki i nadzwyczajną wziętość. Nie trafiły one wprawdzie, o ile wiemy, jeszcze dotychczas tam, gdzie iść było ich najpierwszém przeznaczeniem, ale stało się to nie z winy autora, lecz z innych a bardzo ważnych przyczyn i okoliczności. Nie będąc jednak taką książką ludową, jak *Żywoty S.S.* naprzykład, stały się ulubionym pokarmem duchowym i pierwszém źródłem wiedzy dla młodego pokolenia. Jestto także wielki tryumf autora, że książkę tę polubiły dzieci, że ona je bawi i zajmuje. Już druga generacja z niej poznaje poraz pierwszy dzieje przeszłości i niema zapewne nikogo z ludzi cokolwiek wykształconych, któryby wcześniej czy później, choć raz w życiu niemiał jęj w ręku, a u niejednego jakże słodkie obudza ona wspomnienie szczęśliwego dzieciństwa, pierwszych wrażeń na młodociany umysł i pierwszego rozświtania myśli.

W szczęśliwą chwilę była ona poczęta, a domyślam się, że podania ludowe, któremi autor wówczas się zajmował i które w tym samym roku krótko przed *Wieczorami* drukiem ogłosił, podsunęły mu pierwszą myśl do jęj utworzenia. Przepętniony duchem tych ludowych powieści i wierzeń, znalazł w sobie gotowy nastrój do nadania całości dziejów tego charakteru i tęg barwy, jakich właśnie było potrzeba, aby utworzyć dzieło tak pełne ciepła, życia i powabu. Ze wszystkich prac Siemieńskiego jedną tylko położyłbym z jego *Wieczorami* na równi, a tą pracą jego pomnikową, niezwykle mającą znaczenie w naszej literaturze, tłumaczenie *Odyssei*. Pierwsze próby tego przekładu pokazały się także w tych czasach, tak szczęśliwych dla autorskiej czynności Siemieńskiego, mianowicie w r. 1844. Ale o tém powiemy później na swoim miejscu.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

NAJNOWSZE OBJAWY FILOZOFII PESYMISTYCZNEJ
W NIEMCZECH.

FILOZOFIA WYZWOLENIA ¹⁾.

NAPISAŁ

Seweryn Smolikowski.

CZĘŚĆ TRZECIA.

Kreśląc dotąd charakter i ducha jednej z wybitniejszych szkół współczesnej nam filozofii niemieckiej, przedstawiając związek jej i pobratymczość z ogólnym prądem wieku, wykazując przytém przewodnictwo filozofii niemieckiej na drodze do rozwijania i uzasadniania pesymistycznych zapatrywań na życie ludzkie, nie dotknąłem jeszcze głównego założenia obecnej pracy, to jest nie przedstawiłem w całości krytyki wyłożonego przezemnie w pierwszej części tego artykułu, nowego pesymistycznego na świat poglądu, noszącego ponętną nazwę *filozofii wyzwolenia*. Dotychczas bowiem szło mi głównie o wykazanie związku tej nowej filozofii z innymi pokrewnymi jej systematami, o wykazanie mianowicie, o ile ona uwzględniła lub zmieniła takowe.

Otóż z tego ogólnego, z powodu braku miejsca może zbyt ogólnego, zestawienia systematu Schopenhauera, Hartmanna i Mainländera, widzimy, że filozofia tego ostatniego jest konsekwentnym doprowadzeniem do możliwych ostateczności zasadniczych myśli rzuconych przez Schopenhauera, że jestto szczegółowe zastosowanie teoryi do praktyki życia, słowem najwybitniejsze przejawienie się w Niemczech drugiej fazy pesymistycznego prądu. Ztąd też spotykamy u Mainländera takie działy filozofii jak *etyka immanentna* (str. 167) i *religia wyzwolenia* (*die Religion der Erlösung*, str. 222).

Powiedzieliśmy, że dwa były studia w rozwoju pesymizmu germańskiego: *pesymizm teoretyczny* i *praktyczny*, najprzód zaznaczenie nędz życia ludzkiego a następnie dążenie do wyzwolenia się od tego zła, to jest od istnienia w ogóle, a od życia ludzkiego w szczególności. Pierwszy z nich, pesymizm teoretyczny, filozoficznie uzasadnia i rozwija *filozofia nicości* albo *nicestwa*; drugi, to jest pesymizm praktyczny, *filozofia zbawienia* albo *wyzwolenia*. Oba te kierunki łączą się wprawdzie ze sobą i przedstawiciele jednego są zarazem głosicielami dru-

*) Dalszy ciąg — patrz zeszyt za lipiec r. b.

giego, ale najwybitniej druga ta i zdaje się ostatnia faza pesymizmu germańskiego uzewnętrzniała się w Mainländerze.

Sama już nazwa filozofii jego zdradza głównie jej dążenie, cel zasadniczy, *wyzwolenie*. To też nie zadawał się on krążeniem w abstrakcyi, nie ograniczał się niewolniczym snuciem dalej logicznych następstw metafizyki swoich poprzedników, wyłącznie w zakresie myśli oderwaną, ale jął się zastosowania takowych do życia społecznego. W tym zastosowaniu *filozofii nicości* do praktyki życia nie na wszystkie jednak zgadza się on wyniki mistrzów swoich; wzięwszy zaś od nich główną a wszystkim im wspólną podstawę, *wolę do życia*, przeprowadza ją w odmienny nieco niż oni sposób. Słowem do ogólnej skarbnicy filozofii pesymistycznej wnosi Mainländer i własne swoje myśli a mianowicie stara się uzupełnić teorię pesymizmu, dodając do takowej pewne poprawki.

Poprawki te jak również zasadnicze podstawy *filozofii nicości* teraz ocenić zamierzamy. Że zaś owe główne, zasadnicze podstawy *filozofii wyzwolenia* są niemal też same co i u wszystkich wybitniejszych przedstawicieli pesymizmu germańskiego, przeto krytyka takowych da zarazem czytelnikowi miarę wartości całej szkoły, to jest jednego z główniejszych prądów myśli nowoczesnej, owego przeważającego obecnie w filozofii niemieckiej kierunku pesymistycznego, tak przedstawionego przez jego wielbicieli i tylu coraz nowych znajdujących zwolenników.

Eine gefasste Hypothese giebt uns Luchsaugen für alles sie Bestätigende und macht uns blind für alles ihr Widersprechende. (Schopenhauer).

Wykazać błędność, nieracjonalność jakiego systematu filozoficznego, rzecz nie tak trudna, ale taka krytyka nie dowodzi jeszcze, żeby dany systemat był gorszym od tego, jaki na jego miejsce stawiamy.

Krytyka wykrywa zwykle niekonsekwencyę autora, sprzeczności lub przeskokki jego w budowie danego systematu filozoficznego. Jestto oceniać zdolności logiczne samego filozofa, brać na uwagę siłę dyalektyczną i gibkość umysłu jego. Taka krytyka ocenia *subiektywną* stronę myśli filozofa, ale nie daje nam miary wartości samego systematu.

Racjonalna krytyka przeciwnie, wskazuje na te znaki zapytania nierozwiązalne najczęściej, na te luki i ciemne strony myśli ludzkiej w ogóle, które tak często pomijamy przy badaniach filozoficznych; wykazuje, że to, co z istoty swój jest niedostępne umysłowi, co jest ciemnym, autor uważa za rozstrzygnięte przez siebie, za jasne, że to co autor wygłasza jako prawdę bezwzględną, jako pewnik, w rzeczywistości pozostało i nadal podobnie jak i u jego poprzedników hipotezą tylko, słowem, że *swojej prawdy* autor nie dowiódł.

Wykazanie przeto, że ta lub owa myśl nie jest dowiedziona, że ona jest tylko postulatem a nie istic pewną rzeczą, nie prawdą wido-

czną—oto, zdaniem naszym, główny cel krytykowania systematów filozoficznych. Że zaś szczegóły nie są zgodne z całością, że w dalszej swój budowie autor nie jest konsekwentnym, względ ten, choć nie mniej ważny dla oceny danej pracy autora, jest drugorzędnym dla wartości pewnego filozoficznego kierunku myśli.

Najczęściej bowiem nie idzie nam o autora samego ale o myśl jaką on światu wygłasza, o kierunek jaki takowej chce nadać; pomijamy więc to, że szczegóły tej nowej budowy nie wypływają z jej podstaw, że gzymsy i freski innego są stylu i z innej epoki, niż zwój zasadniczy—nam idzie o myśl główną, o to co stanowi rdzeń rzeczy. Bo zresztą gdyby nawet szczegóły były konsekwentnym wynikiem systematu, czyliż one dowodziłyby tém samém prawdy? co najwięcej dostarczyłby tylko mogły pewnego sprawdzianu dla rezultatów samego rozumowania, byłyby wskazówką celu do jakiego myśl pewna prowadzi. Jeśli zaś myśl ta jest w oczach naszych w samą swą zasadzie błędną, na cóż nam krytykować ją jej wynikami, zbijając ją tém co stanowi wprawdzie uwieńczenie systematu, jego wywód ostateczny, ale co téż często tak dalece odbiega od swego źródła, że staje się dla niego rzeczą zupełnie obcą. Wywód taki jest wtedy obojętnym dla krytyki; co najwięcej dostarcza on materiału dla psychologa zaznaczającego skrętnie wszystkie zboczenia myśli, owe niekonsekwencye *autorów* pewnych systematów, wywołane konsekwentném dążeniem ich jako *myślicieli* prawdziwych, jako filozofów rzeczywistych, słowem, dążeniem do prawdy wszechstronnej, nieraz nawet kosztem konsekwencji własnych ich systematów.

Otóż wracając do oceny kierunku filozofii Mainländera, zanim wykażemy w czém mianowicie leży główny błąd takowej, gdzie szukać należy klucza do rozwiązania wszystkich już przeskoków logicznych i zboczeń naukowych, zaznaczmy tu na wstępie, że nowy ten systemat filozoficzny, że cały pogląd Mainländera na świat i zjawiska jego, nie jest dostatecznie uzasadnionym, nie jest przezeń dowiedzionym, że argumentacja jego jest słabą, nie wystarczającą na przekonanie nas o prawdziwości twierdzeń; że przeciwnie nawet dowody, które on na potwierdzenie myśli swoich przywołuje, potrzebowałyby same jeszcze stwierdzenia a często nawet przeczą one zarówno zasadniczej podstawie jego własnego systematu, jak i najpewniejszym wynikiem ostatecznych badań naukowych z dziedziny przyrodoznawstwa.

A w takim razie to co autor snuje ze swój myśli, jest raczej tworem wyobraźni, hipotezą filozoficzną kunsztownie obmyślaną, aniżeli bezpośrednim wynikiem zdobyczy naukowych, za jakie on je podaje, hipotezą zaznaczającą niektóre prawdziwe strony życia ludzkiego i przywołującą na pomoc wiele zjawisk świata filozoficznego; ale tłómaczą je arbitralnie, dogmatycznie, słowem hipotezą nie mającą podstaw niezbitych: ani w *nauce*, ani w *metafizycznych wywodach myśli naszej*, ani wreszcie w *społecznym lub umysłowym rozwoju człowieka*.

I.

I tak, co do *naukowych podstaw* teorii Mainländera o wszechświecie i celu jego.

„Filozofia wyzwolenia” jak widzieliśmy jest, a przynajmniej usiłuje być, *immanentną*, to jest, że twórca jej nie oddziela siły od materii, przejawu ducha od formy jego uzewnętrzniania się; świat cały jest przeto, wedle tego zapatrywania się, w sobie zamkniętą całością, po za widzialną i dotykalmą materją niema sił odrębnych, odrębnych tchnień, odrębnego celu. I być to tóż inaczej niemoże; Bóg, owa jedność pierwotna, rozsypał się we wszechświat, zniknął z widowni istnienia a świat wołą Jego do życia powołany i do ziszczenia zadania swego dążący, oto jedyne istnienie i jedyny tóż przedmiot dostępny dla badań filozofa.

A zatem wszystko co nie da się wytkłomaczyć widzialnym światem, wszystko co przechodzi granice jego, jest albo płodem wyobraźni naszej, albo należy do transcendentalnej doby istnienia, do owego prologu odegranego za kulisami świata przed rozpoczęciem się jego ewolucyj — prologu, który minął już i to bezpowrotnie.

Jeśli więc Mainländer w świecie fizykalnym, w dziejach ludzkości jedynie widzi klucz do rozwiązania zagadki, do odkrycia tajemnicy istnienia, jest w tém, że swego stanowiska przynajmniej, zupełnie usprawiedliwionym i gdyby ze źródeł tych wyczerpał argumenta, w którychby znalazł dowody na poparcie swojej teoryi, dowiodłby tém jej *prawdopodobieństwa*, ale tylko prawdopodobieństwa; bo co do absolutnej prawdy głoszącej metafizyczne osnowy świata, ta dla nas niedostępna a ztąd kreślenie metafizycznych dziejów wszechświata, i to jeszcze z taką dobitnością i pewnością siebie, jakie u Mainländera spotykamy, jest wprawdzie dowodem bujnej wyobraźni autora i przynosi zaszczyt poetycznym popędom jego duszy, ale niema ono żadnego znaczenia *naukowego*, nie daje żadnej pewności, żadnej rękojmi prawdy.

Na dowód tego rozpatrzmy siłę argumentacyi twórcy filozofii wyzwolenia, zobaczymy czy dowody jego przemawiają choćby za prawdopodobieństwem tego nowego systematu kosmicznego, tej nowej biografii wszechświata.

Wszystko co istnieje, dąży do nicości, wszystkie pierwiastki natury, wszystkie jej elementa składowe są jedynie pojedynczemi wołami, dążącemi do pewnego celu, to jest do jakiegoś punktu idealnego poza światem leżącego, jedném słowem do zera czyli do nicości.

Na inném miejscu rozpatrzywszy *metafizyczną doniosłość* tego rozumowania, tu nawiasowo tylko zazuaczymy, że samo już dążenie do punktu idealnego po za sterą świata leżącego, przeczy *immanentyzmowi* filozofii zbawienia, ograniczymy się rozbiorem *naukowej doniosłości* dowodów, jakimi Mainländer teoryę swoją stwierdzić usiłuje.

Dowodami temi są dla niego zjawiska prawa powszechnego ciężenia czyli grawitacyi powszechnéj oraz zjawisko rozprężliwości ciał lotnych czyli gaz. Ale jedno przeczy w systemacie jego drugiemu, gdyż przyjmuje dla ciał stałych i płynnych działanie praw powszechnego ciężenia a uwalnia od tego prawa ciała lotne.

W ogóle wszystkie zjawiska ruchu usiłuje Mainländer wytłómaczyć nową swoją teorią kosmologiczną, która jedynie, zdaniem jego, tłumaczy nam tajemnice przyrody. Jestto teoria a raczej hipoteza dążenia wszystkich elementów świata do pewnego, stałego punktu, zewnątrz nich leżącego. Punktem tym idealnym, będącym zarazem celem całego stworzenia jest punkt zero, punkt w którym wszelkie ciało zamieniłoby się w nicłość, gdyby do niego dotrzeć mogło.

Z tego mianowicie faktu, że ciała stałe dążą do środka ziemi, płynne rozlewają się w kierunku poziomym a gazy na wsze strony rozprężają się (Część pierwsza, maj, str. 267, 268) wnosi on, że wszystkie te ciała dążą do owego punktu idealnego—zera, to jest do nicości. Tymczasem inna rzecz zaznaczyć pewne prawo zjawiskom towarzyszące a inna—wykryć cel ich ostateczny; nauki przyrodnicze bynajmniej też nie roszczą sobie prawa do tego ostatniego a ztąd wskazywanie ostatecznego celu tego z czysto naukowych podstaw, z danych jakoby niewątpliwych, staje się zawsze rzeczą chybioną, gdyż jestto żądanie od przyrody i nauk nią zajmujących się odpowiedzi na to, co przechodzi ich zakres, rozwiązania pytań, które nie są przedmiotem ich badań.

Zresztą jeżelibyśmy nawet prawo powszechnego ciężenia uznali za hipotezę niedowiedzioną dotąd, to w czémże ta druga hipoteza Mainländera, opiewająca dążenie indywidualnych woli do jakiegoś punktu idealnego, miałaby być wyższą od pierwszej, dla czego bardziej od niej prawdopodobną.

Przeciwnie prawo powszechnego ciężenia, które zawdzięczamy Newtonowi, objaśnia najwyborniej wszystkie dostępne nam zjawiska mechaniki niebieskiej i poparte jest dowodami doświadczalnemi na ziemi, gdy tymczasem teoria idealnego punktu Mainländera żadnego zjawiska nie objaśnia *naukowo*, ani też może być udowodnioną *żadnym doświadczeniem*.

„Zjawisko powszechnego ciężenia,” powiada znany w świecie naukowym prof. J. Gavarret ¹⁾, „niema granic; począwszy od ziarenka pyłku unoszącego się na powierzchni ziemi, aż do całych mas ciał niebieskich, zaludniających najgłębsze, najodleglejsze przestwory świata, wszystkie ciała w przyrodzie ulegają powszechnemu ciężeniu, ciężenie to nadaje im *stały* kierunek, *stałe* oznaczoną prędkość oraz *stałą* żywą siłę ich ruchu.”

¹⁾ Patrz piękną acz treściwą pracę tego uczonego fizyka p. t. *Mouvement*, pomieszczoną w *Dictionnaire encyclopédique des sciences médicales*, wydawanym w Paryżu pod przewodnictwem Dr. A. Doehambre, str. 264—293.

Że ciała dążą ustawicznie, że są w ciągłym ruchu, że ruchom tym towarzyszą pewne stałe prawa, o tém nikt wątpić niemoże; ale, że one dążą, jak twierdzi Mainländer do jakiegoś punktu nicości, że usiłują zniknąć bezpowrotnie, na to niéma w nauce żadnego dowodu. Przeciwnie zdanie mędrca starożytnego, zdanie ostatniemi czasy tak podnoszone i słusznie cenione ¹⁾ a nabierające coraz większego znaczenia w obec najnowszych badań i odkryć naukowych:

. Gigni
Ex nihilo nihil, in nihilum nil posse reverti ²⁾.

więcej daleko ma za sobą prawdopodobieństwa, a nawet nietylko prawdopodobieństwa, ale niemal pewności naukowej bezwzględnej, o ile naturalnie umysł ludzki w ogóle osiągnąć takową jest zdolnym. To zaś co poeta-naturalista wygłosił jako własne swoje przekonanie, jako domniemanie wreszcie, nauka po tysiącoletnich dociekaniach i doświadczeniach bezustannie w zakresie przyrody robionych, stwierdza coraz silniej i wygłasza ostatecznie jako najogólniejsze prawo natury, jako kanon i ostatnie słowo przyrodoznawstwa.

Dziś prawo stałości czyli prawo *stateczności* materji i prawo stałości siły, to ostatnie zwane także prawem *niezmienności* albo prawem *zachowania siły*, przez wszystkich przyrodników za pewnik przyjęte zostało i stanowi podstawę nauk przyrodzonych a zarazem i umiejętne ich wyjaśnienie. Na tém *prawie* opiera się téż całkiem zarówno chemia jak i astronomia.

„Sprowadzenie wszystkich sił przejawiających się we wszechświecie do jednego pierwiastku, „zamknięcie w jedną syntezę ogólną wszystkich sił natury” ³⁾, oto zadanie nauki w naszej epoce a wyrazem tego dążenia jest dzieło zmarłego niedawno, znanego w świecie naukowym astronoma-fizyka Angelo Secchi *O jedności sił fizycznych* (1864 r.).

Opierając się na *mechanicznej teorii ciepła*, jednej z najpiękniejszych zdobyczy naukowych naszego stulecia, uczony ten usiłuje powyższą teorię stwierdzić na wszystkich objawach sił fizycznych (ciepła, światła, elektryczności) i zastosować ją nietylko do zjawisk materji

¹⁾ J. Veitch. *Lucretius and Atomic Theory*, London 1875.

André Lefèvre. Lucrèce, De la nature des choses. Traduction complète en vers français, Paris, 1876. Jestto najlepsze ze wszystkich tłumaczeń francuzkich poematu Lukrecjusza o naturze, zarówno wierszem jak i prozą dokonanych.

„Comme philosophe, powiada tłumacz, *Lucrèce est notre contemporain. Comme poète souhaitons qu' il le devienne. Il faut qu' il le soit.*”

²⁾ Z niczego nic zrodzić się nie może, ani téż w nicość cokolwiek się obrócić. Lukrecjusz w poemacie *O Naturze*.

³⁾ A. Secchi: *L'unità delle forze fisiche. Saggio di filosofia naturale.* Roma 1864. Patrz przedmowę.

ważkiej ale i *nieważkiej*, t. j. *eternu*. Wszystkie zjawiska świata dają się sprowadzić wedle najnowszych teorii naukowych do jednego zjawiska a mianowicie *ruchu*. To też siły, zdaniem znakomitego astronoma, „nie są już uważane jako tajemnicze przymioty materji, ale jako bezpośrednie następstwo ruchu.

Dla nowoczesnej fizyki, powiada Secchi, siły są tylko rodzajami (*modus*) ruchu ¹⁾.

„Siły, mówi cytowany już fizyk francuzki, profesor Gavarret, są środkami (*moyens*) oddziaływania pewnych ciał na inne ciała oraz na nasze organa; siły te, wszystkie podległe prawom mechaniki ogólnej, są żywymi siłami ciał w ruchu będących.” „Wzajemne działanie ciał na siebie oraz na nasz organizm sprowadza się do udzielania ruchu albo modyfikowania takowego ²⁾.”

Słowem ruch jako przyczyna wszystkich dostępnych nam zjawisk świata i stateczność materji i siły; oto ostateczna synteza przyrodoznawstwa, oto kwiat nauki i ostatnie jej słowo. Prawo *powszechnego ciężenia* Newtona, prawo *żywych sił ruchu* Leibnitza, prawo *stateczności materji* Lavoisier'a ³⁾, wreszcie prawo *stateczności* albo *zachowania siły* poraz pierwszy sformułowane przez J. Roberta Mayer'a (1842 r.), a udowodnione ostatecznie przez Helmholtza (1847 r.), oto łańcuch odkryć i zdobyczy naukowych, oto stopniowanie w coraz szerszym uogólnianiu praw przyrody, oto potężna karta z dziejów nauki, karta zaznaczona najświetniejszymi odkryciami i przynosząca sławę geniuszom a zasługę i cześć niezmordowanym na polu tém pracownikom.

Otóż, powtarzamy jeszcze raz, prawo stateczności materji i prawo stateczności siły zlane w jedno najogólniejsze, najbardziej powszechne prawo, jest syntezą przyrodoznawstwa, najwyższym prawem natury i dziś już nie wolno o niem wątpić nikomu z przyrodników, ani téż i p. Mainländerowi, témbardziej, że ani zbija on dotychczasowych dowodów tego prawa, ani daje *naukowego* poparcia własnej swojej teorii o jakimś wymarzonem idealnym punkcie nicości.

Zamiast przeto rozszerzać się nad sprzecznościami spotykaniami w tym względzie w *Filozofji Wyzwolenia* oraz nad dogmatyzmem, jaki szczególnie uderza nas w jej autorze przy niby naukowym uzasadnianiu jego teorii, wolimy poświęcić kilka słów jeszcze najnowszym wynikom nauk przyrodniczych a to dla wykazania, jak mało w ogóle pesymiści szkoły germańskiej z wynikami temi są obeznani lub téż jak arbitralnie takowe tłómaczą i do swoich teorii gwałtem niemal nakreca-

¹⁾ A. Secchi: *L'Unité des forces physique, essai de philosophie naturelle*. 2-e éd. publiée sur la traduction italienne du dr. Deleschamps. Paris 1874, str. II, t. XIII.

²⁾ J. Gavarret, *Mouvement*, str. 278.

³⁾ „Dans l'ordre matériel, rien ne se crée, rien ne se perd” (Lavoisier).

ją. Prawda, że materiału przyrodniczego nie usuwają już ze swęj drogi, nie wykluczają ze swęj teorii, jakto czynili filozofowie scholastyczni i cała szkoła spekulatywna; ale zato przerabiają dane przyrodnicze po swojemu, tłómaczą je wedle norm i potrzeb własnych swoich teorii. A wszystko to razi tém bardziej, że dopuszczają się ci właśnie, którzy nie przestają głóścić, że cała ich filozofia opiera się na metodzie indukcyjnej, że odrzucają wszystko cokolwiek nie da się dowieść lub uzasadnić naukowo, słowem, że kodyfikują to tylko, co sama przyroda z łona swego wyłania.

Powiedzieliśmy, że prawo stałości siły rozwinięte z prawa stałości materji jest jedyną hipotezą naukową, mającą najzupełniejsze uzasadnienie i udowodniającą się doświadczeniami w zakresie wszystkich niemal gałęzi przyrodoznawstwa, że ono téż jest naukową ich podstawą i naukowym wytłómaczeniem zjawisk przyrody.

To téż w świecie naukowym prawo to uważane jest za *prawdę nieprzeczną*¹⁾. Od roku 1847 mianowicie, t. j. od czasu jak Helmholtz wystąpił ze swoją rozprawą *O zachowaniu siły*²⁾, przedłożoną Stowarzyszeniu fizyków w Berlinie, datuje powszechne uznanie tego co dotychczas było przeczuwaném tylko, a odtąd coraz silniejsze uzasadnienia fizyczne i chemiczne³⁾ téj teorii, potwierdzają coraz bardziej jej prawdziwość.

Twórca chemii nowoczesnej Lavoisier, zaraz od początku swoich badań naukowych przekonał się, że pomimo możności poddawania ciał najróżnorodniejszym zmianom, to przecież wagi ich zmienić niepodobna; dalej, że wpływy mechaniczne, fizyczne i chemiczne mogą wprowadzić wpływ na zmianę ich stanu skupienia, ich składu wewnętrznego, t. j. spowodować w nich nową kombinacją czyli układ elementów, lub wreszcie skład ten zniweczyć, ale że pomimo tego wszystkiego, przy tak znacznych nawet zmianach ciał, ciężar ich pozostaje *niezmiennym*.

„Dowiódłszy w sposób niezaprzeczalny przez swoje pamiętne doświadczenia, że wszystko w materji jest zmienném prócz jęj wagi, która pozostaje zawsze istotną jęj właściwością, Lavoisier, powiada profe-

¹⁾ Gavarret, *Mouvement*, str. 276. „Nous devons accepter comme vérité incontestable ce que le poëte latin énonçait à titre de simple opinion.”

²⁾ *Ueber die Erhaltung der Kraft, eine physikalische Abhandlung, vortragen in der Sitzung der physikalischen Gesellschaft zu Berlin am 23-sten Juli 1847 von dr. H. Helmholtz.* Berlin 1847. Mała ta książeczka, zaledwie 72 stronnic zawierająca, stanowić będzie epokę w dziejach nauki znakomitego fizyka.

³⁾ Przypuszczenie, że żadna kombinacja materji nie wytworzy z niczego siły stałej, dała możność Clapeyron'owi i Carnot'owi wyprowadzić teoretycznie cały szereg praw odnoszących się do cieplika właściwego i utajonego najróżnorodniejszych ciał w przyrodzie. Porównaj Helmholtz l. c. p. 7.

sor Gavarret, miał prawo wygłosić tę wielką prawdę, że *w świecie materialnym nic się nie tworzy, nic się nie utracą*¹⁾.

„Prawo stałości siły, zauważył nader trafnie dr. Wojciech Urbański, jest również prawem stałości materji, której wielkość czyli raczej masa oznacza się tylko jej ciężarem, zatem t \acute{e} m, co siłą nazywamy, a Lavoisier dowi \acute{o} dzszy z wagą w r \acute{e} ku stałości materji, dowi \acute{o} dzł w istocie stałości siły ci \acute{a} żenia. Tak stykają się ze sobą, dodaje on, wypadki usiłowań wielkich myślicieli”²⁾.

To wielka prawda, czemżeż bowiem inn \acute{e} m jest ciężar, jak nie siła, a tym sposobem stałość materji warunkuje niezmienność siły w przyrodzie.

Jednakże to, co leżało na dnie wygłoszonej przez Lavoisier'a myśli, co ukrywało się w niej jako wniosek, do czego napozór można było dojść prost \acute{e} m rozumowaniem, co teraz wydaje się nam rzeczą tak prostą i tak łatwą, nauka zdobyć musiała sama powolną wprawdzie lecz najpewniejszą drogą, drogą doświadczenia. Uformowanie tego prawa powszechnego czekało naukowych dowodów; otóż dowody te znalazły się, a zasługę w tym względzie przypisać należy g $\acute{ł$ ównie Helmholtzowi.

Dwa były punkta wyjścia tego uczonego: 1, że niemożebn \acute{e} m jest przez wzajemne oddziaływanie na siebie jakichkolwiekbądź kombinacji ci \acute{a} ł przyrody, pozyskać siłę nieograniczoną i 2, że wszelkie oddziaływania na siebie ci \acute{a} ł w przyrodzie istniejących, dadzą się sprowadzić do sił przyciągających i odpychających, których prężliwość a raczej napięcie (*Intensität*) zależy jedynie od odległości działających na siebie punktów³⁾.

Te dwa punkta wyjścia są w zasadzie sw \acute{e} j teź same, identyczne.

Na mocy takiego założenia wyprowadza on nast \acute{e} pnie prawo zachowania siły (*Gesetz von der Erhaltung der Kraft*) albo prawo stałości siły (*Gezetz von der Constanz der Kraft*)⁴⁾, które udowadnia wzorami matematycznymi wyprowadzonymi z danych zjawisk fizycznego i chemicznego świata, formułując je ostatecznie w sposób następujący:

„Suma żywych sił ruchu i zrównoważonych sił prężnych w ci \acute{a} łach, siłami środkow \acute{e} mi o \acute{w} ładnionych, nigdy się nie zmienia, czyli jest ilością stałą”⁵⁾.

1) Gavarret, *Mouvement*, str. 276.

2) *Fizyka umiejętna ze stanowiska najnowszych poglądów i odkryć*, metodycznie wyłożona przez d-ra W. Urbańskiego. Warszawa 1866, t. I, str. 26.

3) Helmholtz l. c. *Einleitung*, str. 1.

4) Helmholtz l. c. p. 20.

5) Niepodobn \acute{e} m jest na t \acute{e} m miejscu przedstawienie całego toku rozumowania Helmholtza, a to dla zbytnej specjalności przedmiotu z t \acute{a} d ko-

„Co do świata organicznego, powiada Helmholtz, pytanie to redukuje się do tego, czy spalanie i przetwarzanie materiału służącego do pożywienia, wytwarza z siebie też samą ilość ciepła, jaką zwierzęta z siebie wydzielają. Otóż w skutek badań i prób Dulonga i Despretza, dodaje on, można choćby przybliżenie, na pytanie to odpowiedzieć twierdząco”¹⁾.

Od tego czasu bezustannie dociekania i liczne doświadczenia, robione w zakresie biologii i fizjologii porównawczej, coraz bardziej przyczyniają się do stwierdzenia śmiałej i genialnej hipotezy o jedności zjawisk w przyrodzie i potwierdzają coraz silniej prawo o stałości i niezmienności siły.

„Przy wszelkich zmianach formy, ilość sił spożytych pozostaje zawsze tą samą, powiada Karol Vogt, a nawet i niezliczone formy świata organicznego nie są czem innem, jak tylko różnymi postaciami niewyczerpującego się nigdy stałego i co do swęj ilości ściśle oznaczonego zasobu materji i siły”²⁾.

Atakim sposobem widzimy, że nauka ostatniemi czasy dopełniła podstawową zasadę swoję a mianowicie stwierdziła zasadnicze prawo świata materji i na świecie sił, t. j. *prawo stałości materji* przeniosła i zastosowała do świata *dynamicznego* a odtąd jestto rzeczą „ustaloną i dowiedzioną, że materja i siła nie ulegają zniszczeniu, że są niespożyte (*indestructibles*) i że istnieją we wszechświecie w ilości niezmiennęj”³⁾.

Po tém wszystkiem, jeżeli przez ostrożność filozoficzną prawo *stałości siły* nazwiemy *teoryą* najbardziej ze wszystkich prawdopodobną, to teoria Mainländera nie zasługuje nawet na miano teoryi, ale raczej *hipotezy* dowolnej, której hypotetyczność podniesioną jest do potęgi bardzo wysokiej.

Nic też dziwnego, że głosicielowi „filozofii wyzwolenia” trudno było udowodnić naukowo ową nową hipotezę kosmiczną, a chcąc koniecznie uzasadnić ją zjawiskami przyrody, oprzeć ją na stałej, naukowej podstawie, co było zresztą koniecznym następstwem uznania filozofii swojęj za *immanentną*, Mainländer zmuszonym był popełnić dwa

niecznęj w czytelnikach znajomości matematyki i fizyki; ciekawszych odsyłamy przeto do wspomnionego już dziełka Helmholtza a głównie do stronic 7 i 8, oraz 17, na której podany jest ostateczny wzór matematyczny, prawo powyższe wyrażający.

1) Helmholtz l. c. p. 70. Obszerniej rzecz tę rozwinął ten uczyony w artykule swym: *Wärme*, umieszczonym w *Encycl. Wörterbuch der medicinischen Wissenschaften*.

2) Carl Vogt: *Discours à l'Institut genevois*, 1869. Rozprawa ta jest właściwie wątkiem do dzieła: *La Descendance de l'homme*.

3) Gavarret: *Mouvement*, str. 276.

kardynalne przeciwko nauce błędy, że pominię miejsca zбочenia i niekonsekwencye logiczne.

Błędy te nie mogły na żaden sposób wyniknąć z badań przyrody, ale widocznie wywołane zostały dążeniem do wynalezienia punktu oparcia dla *filozoficznej hipotezy* nirwany, dla udowodnienia możebności zniknięcia z widowni bytu wszystkiego, co tylko istnieje. Zdawało mu się, że inaczej nikt nie uwierzy jego filozofii a szło mu ni mniej ni więcej jak o *wyzwolenie*, o *zbawienie* (Erlösung) i to nietylko ludzi ale całego wszechstworzenia. Zapomniał jednak Mainländer, że opierając filozofię swoje na domniemaniach niczém nieuzasadnionych, na dowolnościach przechodzących granice logicznej konsekwencyi, nie poprze niczém swego systematę kosmicznego i... że przeto nie zdoła zapewnić światu *zbawienia, wyzwolenia* go od wieczności istnienia.

Błędy o których mówimy to: 1^o uwolnienie gazów od prawa ciężkości, i 2^o przyjęcie wszechświata a priori za sferę ograniczoną, za całość w sobie zamkniętą, poza którą nic nie istnieje.

Pierwsze uczynił Mainländer dla tego, by w rozprężliwości gazów uwidocznić i plastycznie niejako przedstawić znikanie materji, rozpływanie się jęj na wsze strony; drugie by znikanie to wytłómaczyć wydostawaniem się materji poza sferę świata, poza jego peryferyą. Pierwsze i drugie — najdowolniejsze przypuszczenia.

Prawda, że gazy posiadają siłę rozprężliwości nader wielką, że dążą zawsze do rozszerzenia się, ale mimo to posiadają one i ciężkość gatunkową, i one więc poddane są prawu powszechnego ciężenia. Inna bowiem rzecz siła rozprężliwości a inna — ciężkość ciała; posiadanie pierwszej własności choćby w najwyższym stopniu nie uwalnia od ulegania drugiej, a ta druga właśnie dla tego uznana jest za najogólniejsze prawo natury, że podległe mu są wszystkie ciała bez wyjątku.

Przywilej zwolnienia się od ciężenia przyznano ostatniemi czasy jedynie tylko *eterowi*, owemu hypotetycznemu ciału, które téż dla tego nazwano *materją* albo *substancją nieważką* (substance impondérable), a przyjęcie istnienia którego okazało się nieodzowném dla wytłómaczenia zjawisk mechaniki niebieskiej i w ogóle jedności sił świata. Wspomniane już przez nas dzieło znanego uczonego włoskiego *Angelo Secchi*, o *jedności sił fizycznych*, ma właśnie na celu zastosowanie mechanicznej teoryi ciepła i do *działaczy nieważkich* (*les agents impondérables*) w przyrodzie ¹⁾.

„Dla nas, powiada Secchi, eter jest istotą materyalną ale niepodlegającą ciężeniu, gdyż zapewne sam jest przyczyną tego ostatniego zjawiska” ²⁾.

1) Secchi. *L'unité des forces physiques...* 2^e éd. Paris 1874, str. 1 przedmowy z 1864 r. Co do eteru patrz str. II, XIII, XXII, 181, 183, 180.

2) Secchi, l. c. p. XXII, zaznaczamy tu nawiasowo, że zdanie Secchi'ego co do eteru podziela również i prof. Gavorret. *Nauka przyszłości*, powiada on (*Mouvement*, str. 277) *uzna w eterze prawdziwego króla świata fizycznego*.

Pomimo jednakże, że i Newton przyznawał konieczność przyjęcia istnienia czegoś w rodzaju eteru (patrz list jego do Bentley'a), pomimo, że wiele zjawisk za tém przemawia i, że dziś najznakomitsi fizycy istnienie téj materii nieważkiéj przyjmują za rzecz dowiedzioną i pewną ¹⁾; to przecież nie wszyscy fizycy i uczeni zgadzają się na to, i tak np. znany uczony Grove, hipotezę eteru uważa za równie niejasną jak pojęcie siły ²⁾.

Otóż co do eteru wolno jeszcze powątpiewać o prawdziwości téj hipotezy, ale co do własności gazów nikt dotąd nie wątpił o podleganiu takowych powszechnemu prawu ciężenia, prawu, które tyłoma doświadczeniami udowodnione w nauce zostało. Tymczasem Mainländer wygłasza co następuje i sądzi, że wypowiedzeniem téj nowéj teoryi daje trwałą podstawę swojéj filozofii:

„Ciała lotne, powiada on, zdradzają dążenie, ruch, będący wręcz przeciwnym ciężeniu. Podczas gdy ciało stałe dąży jedynie do środka ziemi, albo, mówiąc bardziej ogólnie, do pewnego oznaczonego, zewnątrz niego leżącego punktu idealnego, to ciało lotne usiłuje ciągle na wsze strony się rozszerzać. Ruch ten zowie się prężliwością bezwzględną (*absolute Expansion*) i tworzy, jak się już powiedziało, zjawisko wprost przeciwne prawu ciężkości, a ztąd twierdzenie jakoby gazy podlegały ciężkości, zmuszony jestem stanowczo odeprzeć.” ³⁾

Że gazy mają pewną wagę, to objaśnia Mainländer parciem ich na przeszkody—parciem, zdradzającym jedynie dążenie ich do bezgranicznego rozszerzenia się czyli usiłowanie dojścia do nicości. Ale gdybyśmy nawet przyznali ciałom lotnym to dążenie bezgraniczne, to rozszerzanie się w nieskończoność, nigdy i niczem niewstrzymane, to kiedyż osiągnęłyby one swój cel?

Rozszerzając się ustawicznie w przestworach świata, gdzie nie natkałyby już może przeszkód, gazy zmieniałyby tylko swój stan skupienia, atomy ich zmieniałyby tylko względne położenie swoje w przestrzeniach świata, ale przy najsilniejszym nawet rozrzedzeniu gazów atomy te nie ginęłyby wcale.

Widzimy tu jak trudno objaśnić celowość świata bez metafizyki; czuł to dobrze i Mainländer a uwzględnieniem metafizycznych wymagań myśli ludzkich, usiłował on dopełnić systemat Schopenhauera, poprosić to co u mistrza jego było niedokładnym. Przywołuje więc na pomoc metafizykę a ta daje mu wyjaśniającą odpowiedź, wskazując na dążenie do ziszczenia woli Bożej to jest na dążenie do nicości. Na téj odpowiedzi nie poprzestaje on jednak, ale chce ją stwierdzić drogą indukcji, przypuszczenie swoje chce dowieść naukowo, a porwany tą chęcią *dowiedzenia* tego co *a priori* naznaczył za zadanie całemu istnieniu,

¹⁾ Secchi, l. c. p. 189. Gavarrot, *Mouvement*, p. 264.

²⁾ Grove, *Corrélation des forces physiques*, p. 127.

³⁾ Mainländer, *Die Philosophie der Erlösung*, str. 75. Porównaj także str. 84.

arbitralnie emancypuje gazy od prawa pow. ciężenia, od prawa stałości siły i materji, i puszcza je w pogoń za wymarzoną jakimś punktem idealnym—punktem zero. Ale wyjaśnienie to, pomijając już arbitralność naukową, nie wystarcza jeszcze nawet ze stanowiska teoryi samegoż Mainländera, gdyż gazy mogą wiecznie do punktu tego dążyć i nigdy celu swego nie osiągnąć, to jest do nicości nie dojść nigdy. Otóż wzywa on na pomoc drugie przypuszczenie, przypuszczenie, jak to zaraz zobaczymy, równie nieuzasadnione a bardziej jeszcze od pierwszego dogmatyczne.

I tak zdawało mu się, że przyjąwszy za pewnik, iż świat jakkolwiek nieskończenie wielki, jest przecie sferą sił ograniczoną, stale oznaczoną i stałą peryferją okoloną¹⁾, potrafi objaśnić dotarcie elementów przyrody do zera, utratę ich sił i zniknięcie bezpowrotne; dość bowiem poza sferę tę przedrzeć się, z tego koła zaczarowanego wydostać się, by, zdaniem jego, zniknąć w bezgranicznych przestworach świata, słowem zginać bezpowrotnie.

„Wszeczeńświat, powiada Mainländer, lubo nieskończenie wielki, jest sferą ograniczoną, stale określoną a ztąd wszelka idea, której napięcie (*Intensität*) słabnie, nie może znowu do pierwotnej swęj mocy powrócić bez spowodowania utraty odpowiedniej siły w innej idei. Wzmocnienie napięcia jest więc możliwem, ale jedynie kosztem innej siły; czyli innymi słowy, jeśli w tém ścieraniu się idei nieorganicznych, jedna z nich straci na sile, to tém samém zmniejszą się zawarta we wszeczeńświecie ogólna suma sił i w takim razie niema już żadnej możności wynadgrózenia téj utraty a to z tego właśnie powodu, że świat jest skończony i że przejawiał się w istnieniu z oznaczoną sumą sił”²⁾.

Otóż opierając się na tém przypuszczeniu i zastosowując je do utraty ciepła ziemi naszej, przychodzi on do wniosku, iż żadne ciało nie może odzyskać utraconej przez promieniowanie świata siły inaczej, jak tylko przez zapożyczenie się u drugiego ciała, to jest kosztem innych ciał, a ztąd wyprowadza on nieuniknione następstwo: ciągłe słabnięcie sił świata czyli zbliżanie się tego ostatniego do nicości. W walce bowiem o byt, zastosowanej nietylko do świata organicznego ale i do elementów nieorganicznych, siły zużywają się, wyczerpują się wzajemnie, a zkad wziąć inne siły, gdzie znaleźć nowy ich zasób, jeśli świat jest sferą zamkniętą i zjawiał się na widownią bytu z oznaczoną sumą sił.

Przy rozpatrzeniu metafizycznych podstaw téj nowej teoryi o wszeczeńświecie, wykażemy o ile to dążenie do nicości jest filozoficznie uzasadnionem, tu odpowiemy na kosmologiczne jęj dowody.

1) Co mu potrzebnem było dla udowodnienia zmniejszania się siły przez utratę jęj atomów.

2) Mainländer, *Die Philosophie der Erlösung*, str. 95. Porównaj także str. 96, 100.

I tak głosząc nicosć świata zapomina Mainländer:

1) że jestto dogmatyzmem przyjmowanie świata i to a priori za sferę skończoną. Przy określeniu świata stałą granicą, mimowoli rodzi się téż pytanie, co poza sferą tą istnieje: czy nicosć, czy inne światy, czy przestrzeń, czy próżnia? Chcąc przeto dowieść ograniczoności wszechświata, trzeba na to dać inne dowody, niż przedzierzgnięcie się Boga w materyą, rozsypanie się jedności przedmiotowej w wielość świata, świata dążącego całością skończoną, sumą woli pojedynczych ściśle określoną i stałą powierzchnią zanikniętą.

2) zapomina autor *filozofii wyzwolenia*, że siła niemoże uciekać w próżnię, wyparowywać w nicosć; siła objawia się ruchem tylko a ruch jest działaniem ciała na ciało, działaniem zobopólnem. siła więc nie może *ginąć* w nicosci: zawsze znajdzie swój punkt oparcia.

„Ze materya jest *nieodłączną* (w najogólniejszém słowa tego znaczenia) od pewnej siły, jestto, powiada Secchi, rzeczą niewątpliwą, gdyż samo pojęcie materyalności zawiera już w sobie pojęcia nieprzenikliwości i oporu (inercyi), a własności te nie mogą przejawić się w jakimkolwiek bądź punkcie przestrzeni (który nazywamy wtedy wypełnionym materyą) inaczej, jak tylko gdy punkt ten posiada pewną siłę” ¹⁾.

„Nie pojmujemy, mówi w inném miejscu uczonego astronom, tłumaczenia zjawisk natury pojęciem siły, bez uważania zarazem téj ostatniej za nieodłączną własność (*propriété inhérente*) pewnego jój subjektu, pewnego jój punktu oparcia (Support)” ²⁾.

Ale wróćmy do utraty siły świata, jakie Mainländer zaznacza.

Jak widzieliśmy kładzie on nacisk na to, że ziemia nasza utracą ustawicznie ciepłik swój a to przez promieniowanie.

Prawda, że przez ciągłe promieniowanie ciepła, system nasz słoneczny utracą swą siłę pierwotną, lubo i to nie w takiej zastraszającej mierze, jak to przedstawia Mainländer ³⁾; ale inna rzecz *slabnięcie* sił pewnego *danego* systematu słonecznego, a ciągła *utrata* sił *wszechświata*. Żadna siła nie ginie bezwzględnie, to co stracone dla naszej ziemi, tém samém nie stracone jeszcze dla całego świata, taż sama siła

¹⁾ Secchi. *L'unité des forces physiques... 2e édition*, Paris 1874. *Introduction*, str. XIX. Porównaj także str. 613.

²⁾ Secchi, l. c. p. 188.

³⁾ Na pocieszenie czytelnika dodamy, że wedle obrachunku Laplace'a, rachunku opartego na spostrzeżeniach astronomicznych Hipparcha, dzień astronomiczny (*jour sidéral*) od 2000 lat nie zmienił się nawet o całą setną część sekundy. Spostrzeżenia zaś dokonywane w zakresie geografii roślinnej pozwalają nadto twierdzić, że w ciągu 4000 lat, klimat różnych stref ziemi nie uległ znacznym zmianom i że przeto siła promieniowania słońca nie zmniejszyła się nawet o tyle, by ją można było ściśle oznaczyć. Zresztą po bliższe szczegóły odsyłamy ciekawszych czytelników do wspomnianej wyżej pracy prof. Gavarret (*Mouvement*, str. 291) oraz do artykułu *Atmosphère*, pióra tegoż

utracona dla nas, odgrywa dalszą rolę w przestrzeniach międzyplanetarynych.

„Przez sam fakt skupienia się cząstek (*condensation*), powiada prof. Gavarret, system nasz słoneczny stracił na *energii* swojej czyli na *sile mechanicznej* ilość *równoważną ilości ciepła*, którą przez promieniowanie odstąpił otaczającej przestrzeni.” „Ale, dodaje on, siła ta stracona dla naszego systematu, nie jest straconą dla wszechświata. Opuściwszy drogą promieniowania naszą ojczyznę słoneczną, siła ta promieniuje codziennie w przestrzeniach dróg gwiazdowych”¹⁾.

Trzebaby więc wedle Mainländera przypuścić, że w dobie przedświatowej powstało tyle bogów ile jest systematów słonecznych, bo one tylko tracą swą siłę, ale i wtedy gdzieby podziewała się ta siła?

Łatwo wprawdzie powiedzieć sobie, że jest jakiś punkt zero, punkt nicości, ale co to znaczy punkt zero, gdzie jego siedlisko, zkąd wreszcie ta jego potęga, ta własność unicestwiania? Miałżeby punkt ten być właśnie Bogiem, jakimś *Molochem* metafizycznym pożerającym światy, ale i w takim razie sam przynajmniej ów punkt istniałby *wiecznie* i w Molochu tym odnalazłyby się pierwiastki, które składają się na jego utrzymanie, światy któremi się żywi.

Otóż, powtarzamy jeszcze raz, we wszechświecie zachodzi tylko przemiana, transformacja siły, ciągną jej metamorfoza, ale bynajmniej nie jej utrata. Mainländer był już bliskim prawdy gdy wpadł na myśl przyjęcia świata za sferę skończoną, ale ów *punkt idealny* zdradził go, wyprowadził na pole abstrakcyi i domysłów, na ów „bezbieżny ocean

uczzonego, a znajdującego się w cytowanym już przez nas słowniku nauk lekarskich, wydawanym w Paryżu pod przewodnictwem d-ra Dechambre.

Dla uspokojenia tych, których przypisek ten nie pocieszył w zupełności, dodamy, że istnieją także hipotezy, które lubo są wręcz przeciwne przyjętej powszechnie teorii o formowaniu się naszego systematu słonecznego, działają także bardzo uspokajająco. Najbardziej oryginalną z pomiędzy tych hipotez jest systemat *Boucher de Perthes*, opiewający ciągly wzrost objętości i wagi ziemi. Wedle tej hipotezy ziemia nasza nie tylko nie utraci swęj siły ciepłikowej, ale przeciwnie potęguje ją a przytém masa jej zwiększa się ciągle drogą zapożyczenia z przestworów wszechświata pierwiastków materyalnych a ztąd ciąglém nasłajaniem się jej nową warstwą materyi. Hypoteza ta znajduje coraz więcej zwolenników pomiędzy nowszymi popularnymi dziejopisami kosmologicznej genezy i przemian zyoia naszęj planety. Do tych ostatnich zaliczyć można C. Radenhausen'a, autora słynnych lubo przecenionych dzieł: *Isis. Der Mensch und die Welt*, oraz *Osiris. Weltgesetze in der Erdgeschichte*. Teoryę swoję o ciąglém wzrastaniu ciepłika ziemi, obszernie rozwinięta w dziele *Osiris*, streścił on w broszurze: *Zum neuen Glauben. Einleitung und Übersicht zum Osiris*. Hamburg 1877. (patrz str. 4 i 5).

¹⁾ Gavarret, *Mouvement*, 285.

transcendentalizmu” jak go Kant nazywa, a ztąd tak trudno do portu powrócić, do portu naturalnie nauk ścisłych. A jednak gdyby nasz filozof do portu tego zawitał, możeby też przekonał się, że *nie znikanie ale przemiana sił stanowi podstawę zjawisk przyrodniczych*.

„Uważne badanie zjawisk natury i środków, jakimi człowiek rozporządza a których używa, by ustalić i rozszerzyć swoje panowanie nad światem zewnętrznym, przekonywa nas, powiada Gavarret, że siła co do formy swego przejawiania się podlega ustawicznym zmianom. Wskutek tych zmian napięcie tej lub owjej jednostki dynamicznej może w danym czasie lub w daném miejscu to wzmacniać się to słabnąć, ale ogólna ilość siły dana nam do rozporządzenia i w ruch puszczona, pozostaje zawsze niezmienną. Jesteśmy świadkami, dodaje on, jedynie tylko transformacyi siły, nie widzimy zaś nigdy ani jēj *stwarzania* ani *spożywania* (niszczenia)”¹⁾.

Słowem znikanie sił z naszego systematu słonecznego, utrata ciepła ziemi i słońca, nie objaśnia jeszcze teoryi Mainländera. Przeciwnie nauka uznaje materją i siłę za niespożyte; one bynajmniej nie dążą do zniszczenia, inna bowiem rzecz transformacya a inna znikanie. Zmiana może być organizmu, ciała jakiego, ale nie czynników je składających, to jest ani materji, ani siły w najogólniejszém ich pojęciu. I z tego względu nietylko, że nic nie dąży do nicości, ale przeciwnie to ciągłe niszczenie i tworzenia, śmierć i rodzenie się, rozkład i skład, ta nieskończona metamorfoza kształtów i organizmów, jedném słowem—ta ciągła *transformacya*, dowodzi przeciwnie ciągłego aplikowania siły we wszechświecie będącej, ciągłego jēj przejawu, słowem ciągłego jēj ruchu czyli ciągłego życia świata.

A takim sposobem, widzimy, że lubo Mainländer twierdzi, iż opiera się na naukowych badaniach świata, że daje niezbite, niewątpliwe podstawy swojej *filozofii nicestwa*, to jednak nauka do innych dochodzi rezultatów, inne zupełnie wytwarza teorye, inne głosi prawa.

Zauważyć przytém musimy, że ile razy mówi on o wszechświecie, Weltall, ma jakby na myśli systemat nasz słoneczny (np. str. 95), ten uważa naturalnie za skończony; tymczasem zaś zapomina, że to tylko miliardowy odłam wszechświata, pyłek w obec olbrzymich ciał niebieskich, krążących w przestrzeniach międzyplanetarnych. Zresztą nie odpowiada on na to co z utraconą dzieje się siłą, gdzie ona znika, i w którym punkcie lub w jakim momencie? Jeżeli zaś świat okolony jest stałą peryferją, to dlaczegożby na tej peryferji, czyli na tej linii idealnej, na tej granicy świata, nie miała właśnie koncentrować się też sama siła?, dlaczegożby ta peryferja nie miała być właśnie nowym zasobem sił, owym rozsądnikiem siły, który jest niewyczerpaném źródłem ruchu i życia? Wszystko to są przypuszczenia mające zupełnie równość prawa do uznania jak i teorya Mainländera, a przynajmniej nie mniej

¹⁾ Gavarret, *Mouvement*, 275, 276.

racyonalne, a jednak nie śmiemy narzucać ich czytelnikom a nawet samych siebie nie zdołalibyśmy o prawdziwości ich przekonać.

W ogóle rzecz można, że hipoteza *punktu idealnego* nietylko, iż nie jest przez jęj twórcę uzasadnioną należycie, ani dostatecznie dowiedziona, ale nawet, że ma przeciwko sobie to wszystko, co dotychczas nauka wiekowym mozołem i nieustającym trudem zdobyła.

A w takim razie Bóg Mainländera sam podlega złudzeniu jeśli sądzi, że uda mu się wołę swą przejawić, cel swój osiągnąć. Wbrew bowiem i pomimo swęj woli on żyć musi, musi odbywać ciągłe ewolucye panteistyczne, coraz nowe zakreślać sobą koła, przedzierzgać się bez końca w coraz to inne światy i ciągłym ulegać transformacyom; ani Schopenhauer, ani Hartmann, ani Mainländer wreszcie nie ułatwią mu osiągnięć celu, głoszenie *nicestwa* nic mu nie pomoże, a *filozofia wyzwolenia* wcale go od istnienia nie wyzwoli.

(Dokończenie nastąpi).

SYN MARNOTRAWNY.

OPOWIADANIE Z KOŃCA XVIII-go WIEKU *).

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

TOM II.

IV.

Wojewodzie powoli przychodził do zdrowia, nie groziło mu już niebezpieczeństwo, ale doktorowie długą rekonwalescencyę zapowiadali. Siły były wyczerpane życiem nad miarę nieopatrzny, wyszafowanym z rozrzutnością rozpaczliwą, jakby go się pozbyć chciał Wicek.

*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za sierpień r. b.

Wśród leczenia przypadały rozmaite niespodziane komplikacje, polepszenie zmieniało się w stan groźny niemal, w skutek nieustannych wybryków.

Zaledwie mogąc się poruszać wojewodzie, potrzebował wrócić do tego trybu życia, do którego był nawykłym. Młodzież przychodziła do niego grać, siadywano nocami, szanse gry burzyły go i poruszały do zbytku. Nie mógł się wstrzymać od kieliszka, gdy go widział przed sobą, a nie mógł gości nie poczęstować. Najpilniejsza straż nie pomagała z człowiekiem gwałtownym i samowolnym.

Naostatek to co tu i owdzie słyszał o ojcu, o macosze, o niewoli, w jaką popadł wojewoda, o upokorzeniu jego i zdziecinieniu, o tém co się pod jego dachem działo i pod bokiem, czasem go niemal do wściekłości przyprowadzało.

Unikano z nim rozmowy o tém, lecz że cała Warszawa zajęta była historią młodej wojewodziniej, obijało się coś zawsze o jego uszy.

Miłość też szalona, namiętna dla pięknej Pepi, nie dawała mu jeszcze spoczynku: dziewczę wywierało na nim wrażenie, jakiego w życiu nie doznał. We wszystkich, mnogich swych miłostkach i stosunkach dawał się wieść zmysłom pan wojewodzie, tu zmysły wprawdzie poczęły, ale serce biło i cała dusza drgała wspomnieniem Pepi.

Nie wierzący w poezję i ideały, zepsuty Wicek wierzył w to dziewczę jedno na świecie i miał dlań cześć jakąś.

Panowała nad nim, który był nawykł drugim panować. Tęsknił za nią. Dwa momenty szczególnie tkwiły w jego pamięci: chwila, gdy po dniach kilku niebytności wrócił do dworku Strańskiej, przejęty gniewem wściekłym dziewczęcia, i ta, gdy ją ujrzał w Warszawie u łoża swojego, rzucającą mu się na pierś skrwawioną.

Nawykły wszystko w żart obracać, na te dwie życia godziny oglądał z powagą i smutkiem. Wchodząc sam w siebie, czuł może, iż takiego przywiązania nie był wart i że mu odpowiedzieć sercem nie potrafi. Wspomnienie Pepi miłe dlań było i straszne... Jakie na takich początkach miało się rozwinąć życie? Nie groziłoż ono kajdanami i niewolą?

Wojewodzie, mimo téj obawy, pragnął powrócić do niej. Listy, które pisała, to go niepokoiły, to uspakajały, a utrzymywały w myślach o Pepi.

Stosunek ten cały płochy rozpoczęty, mający być dodniowym, zaczynał zasłaniać całą przyszłość. Zatem szło wyrzeczenie się wszystkiego, do czego nałogiem był przyrósł, począwszy od płochych towarzyszków, gry i kieliszka, do miłostek poczętych i kończących się śmiechem, a gorzyc i wstręt zostawujących po sobie.

W godzinach, gdy samnasam został, wojewodzie dobywał listy Pepi i czytał. Rad był je niemal w śmiech obrócić, a nie mógł; tryskało z nich uczucie namiętne, wyrażające się tak gorąco, że w niém i on gorzał jak w Nessusa szacie. Często nie doczytawszy, zniecier-

pliwiony sam na siebie, listy rzucał do szuflady, wstydząc się poruszenia, którego doznał.

Żadna zmiana w człowieku, który w ogóle mało i z trudnością się zmienia, albo raczej modyfikuje tylko, żadna zmiana łatwo nie przychodzi. W świecie fizycznym zwierzęta, gdy linieją, ptastwo gdy się pierzy, słabnie; człowiek, gdy zrzuca z siebie nawyknięcia stare, pada też pod wysiłkiem, jakiego ta metamorfoza wymaga.

Wojewodzie bolał, chociaż zmiana w nim zapowiadała się dopiero nie będąc dokonaną, zaledwie nazwać się mogąc rozpoczętą.

Niepokój nim owładał.

Wśród nocy zrywał się, myślał, badał, nie poznając sam siebie. Chciał powracać do niej i lękał się.

Drugą troską, piekącą, było położenie ojca, który go odepchnął. Niemiał doń żalu, bo znał, iż to uczynił mimowoli, podbechtany, zmuszony, cierpiąc na tém. Nie szło mu o odzyskanie należnego stanowiska w świecie, bo o to dbał bardzo mało. Kochał ojca i żałował go.

Ten upadek starca, którym dwie nielitościwe niewiasty pomiatały, do wściekłości go przyprowadzał. Pół słowami mówiono o tém przy nim ostrożnie, nie śmiał rozpytywać, aby nie oszaleć.

Jednego wieczora o mroku, gdy sam jeden pozostawszy, na łóżku leżał i dumał, skrzypnęły drzwi i jakaś postać nieznana nieśmiało się wsunęła. Ponieważ pod „Orłem” włożyło się mnóstwo faktorów natrętnych i wszelakię gawiedzi, wojewodzie pokorną jakąś figurkę postrzegłszy we mroku, począł od tego, że jej precz iść kazał.

Rozkaz ten się nie spełnił i ów gość, zamiast posłuchać, krokiem niepewnym począł się do łóżka przybliżać. W pokoju ciemnawo było i wojewodzie dopiero, podniósłszy się, poznał starego Filipa, ze złożonemi jak do modlitwy rękami podchodzącego ku niemu.

Stary sługa ze wzruszenia mówić nie mógł: drżał, płakał. Rzucił się do nóg paniczowi, który go chciał w objęcia pochwycić.

— Filip!—zawołał—możeż to być!

— Cicho! na rany Pańskie! a nuż mnie tu kto pozna i zobaczy... Paniczku, cicho! Ledwie się wyrwałem na kwadransik, a jeżeli śpięgi za mną poszły, to mnie dziś jeszcze precz wyrzucą.

To mówiąc, Filip z trwogą zawrócił się i drzwi zamknął na rygiel.

Wojewodzie stał patrząc nań poruszony.

— Paneczku! a jakże z tobą? na Boga!.. ranny! posiekany! Te monstra kobiety już się cieszyły, że z tego nie wyjdiesz...

— Ano! widzisz! wylizałem się potrosze—odparł udając wesołość wojewodzie. Licho mnie nie weźmie. Pokrzywy, choć je tępią, nie niszczej.

Stary westchnął.

— Co się z ojcem dzieje? mów o ojcu! mów!

— Ano! paneczku, najprzód!—odezwał się szukając zanadru Filip—najprzód jedno: wojewoda u mnie pożyczyl, dał mi skrypt na to,

jak Boga kocham! oto te dwieście czerwonych złotych i kazał, abym ja je paniczowi dał, ale od siebie!

— Daj ty mi pokój!

— A! to nic nie pomoże, musisz wziąć!—odezwał się Filip i rzucił na stół dwa rulony.

— Mówże, co się z ojcem dzieje!—naglił wojewodzie.

Filip się zawahał.

— A coto pomoże boleć i lamentować, już nas nic z téj babilońskiej niewoli nie wyzwoli.

— Tak! z babiěj, z babiěj—powtórzył wojewodzie—lecz, któż wie? kto wie? dziwniejsze się rzeczy dzieją. Mów mi całą prawdę!

— Co ja ciebie mam gryźć, paniczyku mój złoty!—całując go w rękę rzekł Filip.

— Gryź! mówię ci, gryź! Może na to poradzimy!

— Zagryziesz się—odparł sługa.

— Nie żałuj mnie! mów! chcę i potrzebuję wiedzieć. Biedzę się z myślami, może się co da zrobić!

Filipowi oczy się rozśmiały.

— Słuchaj paneczku—zawołał.—Gdybym tego na własne oczy nie widział, na uszy moje nie słyszał, a w sercu nie oboleł, tobym nazwał szelmą, kłamcą tego, coby mi to opowiadał.

Niewola! rzekłem i jest niewola! a jak się z niewolnikiem obchodzą? Gdyby nie litość sług, pierwszych wygodby niemiał. Na pokojach balują i wyprawiają hece, jójmoście się fertyczą z gachami po nocach, a u nas święcy kawałka często braknie i niéma komu w piecu zapalić.

A potrzeba pokazać gościom, że wojewoda szczęśliwy, że jak pączek opływa w pieszczoty, to go ubiorą, to się jójmość rozpada, w czoło całuje, ręce podaje, po głowie głaszczce, opowiada niestworzone rzeczy, jak chorego po nocach dogląda. Wszystko kłamstwo wierutne! Na moje uszy słyszałem, jak go płaczącego i jęczącego zfułała: „milcz, stary grzybie!”

Zabrali mu klucze, pieniądze, wszystko; grosza do dyspozycyi niéma: teraz jeno konszachty i narady, aby resztę majątków na jejmości imię przepisać. A jak się przymizdzy do niego, co zechce to zrobi. Stary za chwilkę, co jój rękę potrzyzyma, niebaby się chyba wyrzekł, tak, z pozwoleniem, oczarowała go. Co chcą robią! co chcą!

Sam słyszałem, jak radziły, że byle zapisy porobił, doktora tak często nie potrzebaj!

Wojewodzie pięście zacisnął.

— Mów! mów!—powtarzał—to zbrodnia! to się musi odmienić! to doszło do kresu...

Filip płakał i chustką łzy ocierając mówił dalej:

— Cóż już nad to powiedzićć więcéj. Włosy na głowie powstają, pomyślawszy o tém. Nikogo do niego nie dupuszczą bez pozwolenia, żadnego mu listu oddać niewolno.

Podsłuchują podedrzwiami, rewidują pod poduszkami.

— A on to znosi?—zapytał wojewodzie.

Filip ręce złożył.

— A! to biedne, pocziwe panisko! Pobożny jest, więc mówi: „za grzechy moje pokarał mnie Bóg.” Ino bywa różnie: czasem go zniecierpliwia do tyła, że się oburzy; wybuchnąć chce, to go albo zakrzyczą lub zagłaszczą, aby był cicho. Staremu sił zabraknie i po wszystkim. Nie śmie pisać.

— Nigdy nie wspomniał o mnie?—zapytał wojewodzie.

— A! niema dnia, żeby, choć imienia wymówić nie śmie, o coś mnie nie zagadnął, co ja wiem, że panicza tyczy.

Ale baby przekłete mu w uszy tkają, że taki, owaki; że to zbroił znowu, że na niego cały świat pluje: że nie wart, aby imię nosił pocziwe!...

Jak niema prawdy, skłamią, co im to kosztuje? Stary się wypłacze, a choćby nie chciał wierzyć, coś zostanie w nim...

— A! na mnie też nietrudno co powiedzieć!—przerwał Wicek z goryczą—ja się za anioła nie sprzedaję. Dyabłem mnie ta kobieta zrobiła, ta! ta! która z moich rąk wprost poszła z ojcem do ołtarza?!

Filip sobie oczy zakrył.

— Ztąd ta nienawiść i prześladowanie—dodał wojewodzie—wié ona że w méj mocy jest, więc zgubić mnie chce.

Przeszedł się po izbie mrużąc.

— Paneczku, mityguj się: dopust Boży tę siłę nieczystą w dom nasz wprowadził, łaska Boża wyzwolić nas może. No! i wyzwoli!—dodał—bo wojewoda niedługo wieczny, a one go dobijają.

— Piękne tam też życie być musi—dodał wojewodzie—bo że go sobie te jejmoście nie żałują, to pewna! ho! ho!

— Sódoma i Gomora!—zawołał Filip stłumionym głosem.—Starościna udaje młodą, a wojewodzina....

Ręką zamachnął.—Co się tam gachów roi i jakich!

Nie dopowiedział Filip. W izbie robiło się ciemno, czas też upływał, powracać musiał. Przyszedł w rękę pocałować panicza i chciał odejść.

— Filipie mój!—zawołał wojewodzie poruszony odprowadzając go do drzwi—śmiało ojcu oczy otwieraj, niech pozna i uczyje z kim ma do czynienia, a, słuchaj! powiedz mu, niech skinie, niech pozwoli, ja go uwolnię! ja!

Uderzył się w piersi.

— Niechaj się mnie nie boi—dodał wojewodzie—pójde potem precz, jeśli mnie nie zechce, ale go oswobodzić potrzeba! Srom dla nas!...

Nie umiał Filip odpowiedzieć na to, zaszlochał, ucałował rękę, ścisnął kolana i wyszedł.

Szczęściem dla wojewodzica, tego wieczora nikt nie nadszedł do niego, mógł więc samnasam wydychać smutek, ukoić rozpacz i oburzenie; myśli nawet o Pepi ustąpiły politowaniu nad ojcem.

Pragnął zdrowia co rychléj, bo w gorącej wyobraźni swéj marzył o wyzwoleniu wojewody.

Część dnia nazajutrz w tych myślach upłynęła. W godzinie, gdy zwykle obiadował, już mu z dołu przyniesiono nakrycie i sięsć miał do samotnego stołu, gdy lokaj przez drzwi napół otwarte, podał mu kartkę drukowaną.

— Pani się pyta, czy może oddać wizytę?

— Jaka pani u licha?—spytał nieubrany i skłopotany wojewodzie.

Spojrzał na bilet, na którym stało: „Stolnikowa...” ówkiem dopisano bez ortografii: „dawna znajoma chce się przypomnieć.”

— Ale ja jestem nieubrany.

— Pani mówi, że od chorego nie wymaga tualety.

Wojewodzie ledwie miał czas narzucić na siebie turecki szlafrok, którym go Kazio obdarzył, gdy już w korytarzu zasześciła suknia, zastukały koreczki i tuż wbiegła maleńka owa laleczka śliczna, którąśmy widzieli u wojewodziny. Wbiegła, stanęła w progu, wyciągnęła rączki obie.

— Poznajesz mnie? niewdzięczniku!—poczęła.—A widzisz, tyś o mnie zapomniał, ja dotąd cię w głębi serca mojego noszę!

— Stolnikowo dobrodziejko!—zaśmiał się rozweselony chory—w głębi serca! zmiłuj się! tyłu już tam musi na mnie spoczywać, że mnie udusza!

— Al jaki złyś się zrobił!—odparła stolnikowa szukając krzesła, które jój podał gospodarz.

Mnie mówili „strasznie ranny,” a chwala Bogu, już nawet trochę jest rumieńca! Nic ci nie będzie.

— Rumieniec to pani z sobą przyniosłaś—rzekł wojewodzie—wykwitł z radości, żeś pani o mnie nie zapomniała, choć pani...

— Bo wacpan jesteś bałamut!—odparła stolnikowa poprawiając tualetę—jak chcesz żeby o tobie pamiętano, kiedy ty o wszystkich zapominasz!..

O! ja wiem wszystko! wszystko! wszyscyuteńko! wiem. Śliczne rzeczy!

I niedokończywszy obejrzała się.

— Ale jakże ty możesz mieszkać w takiéj dziurze! pfe! W jakiejś oberży, na piętrze!

— Stolnikowo dobra—rzekł gospodarz—wedle stawu grobla! Pani to chyba niewiesz nic! Nie jestem wojewodzie, nié mam złamanego szeląga i naprawdę powinienbym pójść do szpitala: Łazarza ze mnie zrobili.

— Kto? chyba wacpan sam!—zawołała Malinka.

— Ja tylko dopomogłem—rozśmiał się wojewodzie.—Głównym sprawcą mojego nieszczęścia, domyślisz się kto jest!

— Nie potrzebuję się domyślać!

Ale, bo pfe! co się to porobiło!—szczebotała piękna jéjmość—pfe! Myślisz, że ja nie wiem o tém oknie... Pfe! i potem, żeby się stary z nią żenił! Jakżeś dopuścił?

— Miałem odwagę heroiczną powiedzieć mu wszystko, dostałem za to w twarz od ojca; zrobiono mnie potwarcą, kłamcą, chciwym majętności. Starościna umiała chodzić około interesu córki i swojego, a takiemu łotrowi jak ja, nikt nie wierzył.

Uśmiechnął się wojewodzie.

— A! to są okropności! okropności!—zaszeptala piękna Malinka.—Chyba lepiej o tém zapomnieć! Mówmy o czém inném...

— Mów pani o sobie?

— To także smutne dzieje—odezwała się wdzięcząc i oczki swe zapuszczając w wejrzenie wojewodzica, który stał wpatrując się w nią pilnie. Ja także jestem okropnie, okropnie nieszczęśliwa: trzech mężów!..

— Pogrzebałaś pan!—wybuchnął wojewodzie—w tak krótkim czasie!

Stolnikowa rozśmiała się serdecznie.

— Ale gdzież zaś! Żyją, zdrowi wszyscy trzej! Dwóch jest w Warszawie i z tymi jaknajlepiej jestem, *apres tout*, wcale dobre ludziska, tylko znów na mężów, to co innego! Trzeci, pewnie w tych dniach dla rozwodu przyjedzie.

— Trzy razy rozwiedziona?—zapytał uśmiechając się wojewodzie—ale to sztuka w tak krótkim czasie.

— I sztuka było przeżyć te wszystkie przejścia!—westchnęła biedna rozwódka.—To też straciłam cerę, świeżość...

Wojewodzie pochwycił ją za rączkę.

— Chcesz pani chyba, abym się unosił nad nią!

— A dlaczegoż nie! unos się!—odezwała się stolnikowa. Niémam nic przeciwko temu! Ja bo się kiedyś w waćpanu kochałam szalenie, gdyś był Dością zajęty. A zazdrośnam była!

Potrząsała główką.

— Ale my już obojeśmy starzy! przeżyliśmy dużo.

— Ja, nawet zawiele!—rzekł wojewodzie.

— A ja? wiesz? dużo, dużo i z tego wszystkiego niéma nic. Ani chwilki szczęścia. Świat mi obrzydł.

— O klasztorze myślisz, stolnikowo kochana—śmiał się gospodarz—to zawcześnie.

— A! ktoby tam o nim myślał. O! nie—prawiła stolnikowa.—Przyjechałam się rozerwać. Dałam sobie słowo, że teraz tak rychło już za mąż nie pójdę! bo to nudna rzecz.

Obejrzała się po pokoiku.

— Pfe! jakbo mieszkaasz!—poczęła po chwilkce.— Tak mi waćpana żal! Ale, *a propos*: byłam u Dosi.

Wojewodzie, który stał pochylony przy niej, odprostował się.

— Winszuję—rzekł zimno.

— Jużciż za złe mi téj ciekawości brać nie można. Byłam ciekawa po prostu! Co się z téj twojój Dosi zrobiło.

— Mojój!—krzyknął wojewodzie ramionami wrzuszając.

— A jużciż! przedemną niema sekretu! Szpiegowałam was, bom była zazdrosna.

— Pozwól pani stolnikowo—przerwał opryskliwie wojewodzie—bym dla jój ciekawości dodał, iż ta moja Dosi, dziś macocha, chciała mnie otruć czekoladą, a parę razy zbójów nasyłała na moje życie!

Krzyk się dał słyszeć i stolnikowa oczy sobie zakryła. Gdy się odważyła spojrzeć na wojewodzica, ujrzała go z uśmiechem ironicznym stojącego przed sobą spokojnie.

— Niestety! takie to bywają te piękne, zachwycające, romansowe Dosie, gdy im idzie o pochwycenie fortuny... Czekolada dostała się pieskowi, ale nie ręczę, żeby, gdy pan wojewoda stanie się zawadą, gdy od niego wszystko wyłudzą, jemu jój nie podano!

Wstrzęsła się piękna pani.

— A! nie mów! dreszcze po mnie przechodzą!—odezwała się cicho.

— Po mnie płomienie chodzą—dodał wojewodzie.

Zamilczeli.

— Stolnikowa myślisz tam bywać?—zapytał gospodarz.

— Ja? myślałam!—szepnęła kobiéta.

— Bywaj pani i owszem!—rzekł wojewodzie—bywaj! możesz mi dopomódz do dobrego uczynku...

— Z duszy-serca, tylko czekolady tam pić nie będę!—zaśpiewała stolnikowa.—A! i wiesz co? ja do intryg żadnych niemam talentu.

— Bo tu nie potrzeba intrygi żadnej—rzekł wojewodzie.—Posądzając was nie będą o nic, możesz czasem zbliżyć się do ojca mojego, możesz mu szepnąć stówko, być pośredniczką między mną a nim.

Stolnikowa zdawała się namyślać trochę, oczy skierowała bardzo czułe na wojewodzica, wyciągnęła rączkę ku niemu i szepnęła:

— Będiesz mną kierował!

— I całe życie wdzięcznym jój będę!—dodał wojewodzie.

Chociaż stolnikowa zarzekała się intrygi, choć się trochę obawiała czekolady, jednak nadzieja wspólnj jakiś roboty, która ją mogła zbliżać do tego niegdyś ukochanego w młodości, wielce się jój uśmiechała!

Nie byłaby się może zgodziła mieć go czwartym mężem, ale jako przyjemne *intermezzo*, przyjacielski, platoniczny stosunek z człowiekiem tak... interesującym, dosyć jój był przyjemnym. A przytém, małeńka rola w dramacie, w téj tragedji domowj, dla niej, niemającej

teraz żadnej passyi i żadnego zajęcia oprócz prozaicznego rozwodu, nie była do odrzucenia.

Zaczęła więc szeptać na ucho coś wojewodzie z żywością wielką. Chciała wiedzieć godziny, w których mogła dla narady się z nim, widywać bez świadków i t. p.

— Ale! kochana stolnikowo!—rzekł w końcu wojewodzie trzymając jej rączkę niewyrywającą mu się wcale—cóż ludzie powiedzą?

— Niech sobie gadają!—odparła piękna pani.—Cóż mnie to szkodzi, jestem tak jak rozwiedziona. Jeżeli po mieście szeptać będą...

— To dójdzie do wojewodziniej—przerwał Wicek—stracisz pani u niej zaufanie i wstęp do jój domu.

— Więc—rzekła smutnie—jakoś to inaczej obmyślić trzeba.

Znowu szeptano długo, naradzano się jeszcze, gdy utrapiony garson z restauracyi wpadł z barszczem na talerzu.

Stolnikowa zerwała się przestraszona. Zdaje się, że pakty jakieś zawarte zostały, bo wojewodzie odprowadził ją do sieni i z wielką wdzięcznością, po kilkakroć rączki ucałował.

Rozjaśniło mu się w oczach i poweselał znacznie.

Po obiedzie, jadący na sesyą do zamku, wpadł ksiązę marszałek. Na dole chłopak mu, uśmiechając się, wydał sekret, że jakaś piękna pani karetą przyjeżdżała z wizytą do chorego.

— Więc już kobiety przyjmujesz!—odezwał się ksiązę w progu.—Któżto był? wojewodzie?

Nie było na rękę przyznawać się wojewodzie, ale z księciem nie potrzebował się taić.

— A! to ta śliczna małpeczka, którą mi już pokazywano!—rzekł ksiązę.—Zniżyjże się, bądź ostrożnym: trzy razy się rozwodziła pono, łapie mężów jak muchy i puszcza ich wyssawszy.

— Ale ze mnie niema co ssać!—rozśmiał się ranny.

— Życie! i to coś warto!—odparł marszałek.

— Moje niewiele.

Rozmowa się zmieniła, ksiązę chcąc wypocząć po sejmowych rozprawach, rad powtarzał plotki. Prawił więc o ostatniej konkiecie ks. ex-podkomorzego, o ślicznej Juźce, o Blanchardzie, o śpiewacze włoskiej, o awanturze w teatrze i o wieczorze w Foksalu.

Po chwili już go niebyło, karetka toczyła się ku zamkowi.

Wieczorem list przyniesiono od Pepi. Wojewodzie wziął go do rąk z jakąś obawą i długo nie mógł otworzyć. Czego się lękał, samby był powiedzieć nie umiał. Przywiązania, które go czyniło niewolnikiem, uczucia, co go miało oderwać od życia, do jakiego nawykł. Listy Włoszki nie były sentymentalne wcale, a jednak gorąco go przemawiały. Opisywała w nich życie swoje, śmiejąc się nadziejami. Wszystko w tej czynnej główce było z góry ułożone. Zajęcia dnia całego, zabawy we dwojgu, przechadzki, miejsce, jakie miał w tém szczęściu wyznaczone, doktor pocziwy.

Liczyła dni, wyrachowywała kiedy prawdopodobnie ślub miał nastąpić; spodziewała się, tęskniła, ale często wymykało się słówko dziecięce, wesołe...

Wojewodziecowi gorzały policzki czytając, biło i razem ścisnęło się serce. Widział przed sobą tę śliczną Pepi, zakładającą mu na szyję, na rękę, ukwiecone kajdany; widział siebie w tej smętnej kamienicy lubelskiej, zamurowanego jak pszczoła w miodzie, zestarzałego, obczwładniatego, zmienionego. To mieszczańskie spokojne szczęście nappełniało go strachem. Co ono z niego zrobić miało?

Czasem nawet jak błyskawica przelatywała myśl wyrzeczenia się Pepi, lecz wnet stawała ona przed nim z wdziękiem dziewczycym, z tą miłością gwałtowną, aż do szału, z poświęceniem bezprzykładnym, i mówiło mu serce, że takiej drugiej nie znajdzie na świecie.

— Ale ja nie jestem do szczęścia stworzonym!—mówił sobie.— Jam stworzenie drapieżne, którego przeznaczenie krew i żyły przelewać, a śmiechem je witać.

Jastrzębie się nie żenią z gołębicami.

Wiedział zarazem, że ta gołębica w rozpacz mogła się stać orlicą; pamiętał jej łajanie, przypominał jej ucieczkę i żyły. Był jak człowiek, co się ma puścić na morze i w chwili gdy się chce rzucić na fale, odchodzi go męztwo.

Walka ta z samym sobą wyczerpywała go, byłby może nie zniósł jej dłużej, gdyby myśl wyswobodzenia ojca nie zajęła go równie silnie, goręcej może i na czas jakiś nie wygnała z głowy natrętnych marzeń o przyszłości...

Do miłości dla ojca, łączyła się, trzeba wyznać, nienawiść i chęć pomśzczenia się na niegodziwej kobiecie. Kilka dni rozmyślań doprowadziły go do nakreślenia jakiegoś planu. Potrzeba było staremu oczy otworzyć, dać mu poznać tę kobietę, dla której miał taką słabość, graniczącą już z upodleniem.

Lecz jak dostąpić do ojca? W obozie nieprzyjacielskim był tylko jeden Filip, uzbrojony wielką miłością i poświęceniem. Na panią stolnikową, pomimo jej dobrej woli i przyrzeczeń niewiele można było rachować. Wojewodziec czuł, choć jej oddawna nie widział, że trzpiotowatości lat młodzieńczych nie straciła, rozwinęła ją jeszcze na swobodzie.

Niechęć ku Dosi mogła ją uczynić gorliwą, ale niezręczną. Lada poęchtanie wywoływało u niej wybuch, a raz otwartych ust już żadna siła zamknąć nie potrafiła. Był to więc pomocnik, z którym jak z obosieczną bronią, bardzo ostrożnie trzeba się było obchodzić.

Gdy wojewodziec tak rozmyślał nad wyzwoleniem ojca, szczęśliwy traf niespodzianie miał mu przyjść w pomoc.

Wojewoda, pomimo zgryzot i utrapień, przy troskliwej kuracji, począł się mieć znacznie lepiej. Obrzęknięcie nóg zchodziło, siły przybywały i Filip z każdym dniem postrzegał w panu oznaki blizkiego uzdrowienia. Z pomocą jego mógł się już przechadzać po pokoju,

a odzyskawszy władze ruchu, swobodniejszą nieco myśl, mimowolnie zaczynał wracać do obyczajów swych dawnych, z tych czasów, gdy opieki nie potrzebował.

Zwolna wprawdzie, ale stary się potrosze emancypował. Powrót ten do zdrowia, któremu obie kobiety przez wielką troskliwość i obawę zaprzeczały, starając się utrzymać wojewodę nieruchomego w krześle, był z jednej strony pożądanym dla nich, z drugiej niewygodnym. Dawał czas do wyrobienia zapisów, ale zrywał pęta, które na starca czasu choroby włożono.

Zaraz w pierwszych dniach, gdy mu się polepszyło i sam zaczął dysponować ludźmi, starościna usiłowała temu zaprzeczyć i protestować; wojewoda zbył ją grzecznie, lecz swoje zrobił. Padł popłoch na obie jójmoście, wpadła wojewodzina, chcąc w imię szacownego zdrowia, wszelkich zajęć interesami i dyspozycyi wzbronąć: wojewoda się nie dał.

— Ależ, droga Dosieczko moja, nie róbcie bo mnie lalką, aby się ludzie nie śmieli. Czuję się lepiej i wiem co mogę. Daj mi łapcię do pocałowania i nie turbuj się. Doktor nietylko że nie broni, ale nakazuje mi dystrakcyą.

— Jegomość zamiast dystrakcyi będziesz miał zmartwienie i nową chorobę napytasz!—odparła jójmość.—Cóż tak pilnego? Przecież i ja i mama wszystkiemu rady damy, a na wiarę zasługujemy, i mama nawykła do interesów. Niech jegomość wypocznie, ozdowieje...

— Ano, proszę cię, złota moja Dosieczko, królowo moja droga, nie sprzeciwiaj mi się!—rzekł wojewoda. Nikt lepiej około własnych interesów nie chodzi, jak sam pan. Nie ujmuję starościnnie wcale, a przecież i bez jój frasunku podołam brzemieniowi. Wy się bawcie, niech mama dobrodziejka dobrego czasu zażywa.

— Jegomość jesteście uparty!—zawołała Dosia gniewnie—a doktor niewiele okazał rozum!..

Przecież ja z troskliwości o jego zdrowie to czynię...

— Nóżcie twoje radbym ucałować, królowko moja! aniołku mój!—wołał wojewoda wyciągając ręce ku niój; na co odpowiedziano wycofaniem się—daj mi się rządzić jako chcę. Będzie z tém wszystkim lepiej!..

Pierwsze te symptomata emancypacyi, wprawdzie musiały uledeć naciskowi obu kumoszek, które starego zakrzyczały, zahukały i kazały odpoczywać, ale zdrowie coraz wracało i wojewoda, choć najniższy żony sługa, już się swobodniej zaczynał obracać.

Dawał sam rozkazy w domu, posyłał Filipa; częstokroć dyspozycya pani wbrew woli pana była przeciwną. Następowaly konflikty, które się w pokoju chorego wrzawą i kłótnią kończyły, jeżeli kłótnią nazwać się mogło łajanie pani, a chwytanie jej rączek i pieszczoty starego, które ona odpychała, nie kryjąc się ze wstrętem dla niego.

Wieczorami, gdy największe życie wrzało w pałacu, gdy pełno było gości, wojewodę, pod pozorem potrzeby wypoczynku, zamykano na klucz w jego samotnym pokoju.

Najściślejszy dozór zaczynał jednak okazywać się niedostatecznym, bo z każdym dniem chory czuł się silniejszym i większych prerogatyw domagał.

Kobiety, które rachowały na to że się z krzesła nie ruszy, były przerażone t \acute{e} m, iż ju \acute{z} mówił o wyjeździe z domu, bytności na zamku i odwiedzaniu znajomych.

Żona naprzemiany grozą i łagodnością starała się go przykuć do domu: zaczęto naradzać się i przemyślać. Dopóki wojewoda był w kurateli wszystko szło gładko, jak skoro się począł wyzwałać, tysiąc niebezpieczeństw zagrażało. Ludzie mogli go buntować, mogli mu gdzie podprowadzić syna, namówić go do zgody, a wówczas wojewodzina czuła się zgubioną.

Niepokój opanował kobiety i Dosia musiała napisać do Daliborskiego, by w pomoc i na radę przybywał. Szło o przyspieszenie zapisów, które, gdyby raz miały moc prawną, z resztą niewiele je co obchodził.

Polepszenie bardzo znaczne wywołało zmianę nagłą w postępowaniu j \acute{e} jmości, która po gniewach i fukaniach, stała się bardzo czułą. Te pieszczoty, któremi starca otaczała przez dni kilka i obsypywała do zbytku, miały ten skutek jednakże, iż wojewoda zapadł znowu.

Symptomaty groźne wracały, doktor przywołany przez Filipa nadbiegł w porę i surowe jego przepisy zapobiegły zapowiadającej się recydywie. Trzy dni na dyecie przebywszy znowu w krześle i zamkniętym pokoju, wojewoda doznał polepszenia, ale posmutniał mocno.

I znowu potrosze rządy chwyciły kobiety, aby mu oszczędzić troski; stary jednak dopytywał niespokojnie i zdawał się zupełnej abdykacyi nie chcieć dopuścić.

Słowem, wojna się przeciągała.

V.

Kilka miesięcy upłynęło. Zima miała się ku końcowi, Warszawa, choć zawsze ludna, mieniała gości, z których jedni odjeżdżali na wieś, drudzy na ich miejsce przybywali, lecz nawet po odroczeniu sejmku nie zmniejszył się napływ do stolicy.

Początek narad, pierwszy akt tego dramatu dziejowego, rozkołysał bardziej jeszcze umysły, rzucił na stół tyle projektów, tyle reform, tyle zuchwałych planów zupełnego przeistoczenia wiekowej Rzplitej, iż cały kraj został niemi wstrząśnięty. Chodziło ju \acute{z} nie o przemianę aliansów i traktatów, ale o całkowite przerobienie tego organizmu zużytego wiekami, a połatanego w ostatnich czasach dosyć niezręcznie. Nie tajono się z t \acute{e} m, że chciano monarchii dziedzicznej, zniesienia *liberum veto*, reorganizacyi sejmów, przyznania praw włościanom, nadania swobód miastom; słowem, rzeczy niebywałych, monstrualnych, na których odgłos, partya republikańska o zgubę swobód wiekami zdobytych, krzyczała. Zcicha mówiono ju \acute{z} nawet o wyprzedzący starostw

i odjęciu ich teraźniejszym posiadaczom, ale tak strasznej groźbie nikt jeszcze nie wierzył.

Szczesny Potocki z powodu aliansu pruskiego, który mu się zgubnym wydawał, cofał się już nadąsany od udziału w obradach; inni jak Branicki i Rzewuski rzymskiej republiki i prerogatyw szlacheckich bronili: obozy przeciwne się zarysowywały. Król stał jeszcze, wahając się między nimi, ale widoczném już było, że się pochylił tam, gdzie więcej znajdzie siły, energii i życia.

Może sobie pochlebiano, że przeciwnicy nawrócić się potrafią, boć Ignacy Potocki, wódz reformatorów, stawał w obozie hetmana, który był przewodzący opozycji, a Stanisław Potocki gonił do Tulczyna za Szczesnym! Tymczasem upojeni otrzymanými zwycięstwami, hugoniści posuwali się śmiało dalej, tak daleko, że nie wszyscy zdążyli za nimi.

Jak ogromną rolę grały wśród tych intryg politycznych kobiety, dziś się to do wiary nie wydaje podobném. W białych sukniach z szarfami ponsowými, zawczasu zapełniały galeryę sejmowej sali, a mówcy wejrzaniem i przyklaskiwaniem zagrzewani, pod ogniem czarnych i niebieskich źrenic, szli do ataku z bohaterskim zapętem. Lecz i poza obrębem sali obrad, salony pań służyły za ogniska, w których się dla konferowania z obojętnymi przeciwnikami spotykano. Na tém terytoryum neutralném, u ks. Dessau, u hetmanowej Ogińskiej, u Czartoryskich, u Mniszchów, dawni znajomi i krewni, choć innych przekonań, schodzili się z nieprzyjaciołmi sejmowými, tu ich nawracano potrosze, a czego nie dokazały argumenta, często uśmiech kobiety i dowcip mógł dokonać. Bawiono się wysmienicie.

Starzy zapijali węgryna pod „Okretem” na Starem-Mieście, młodzież grała na złotych i srebrnych salach Ryocour’a, wyprawiano ucztę w Foksalu, tłoczono się na reduty w Radziwiłłowskim pałacu, a król pomiędzy Łazienkami a zamkiem, umęczony się przejeżdżał, starając napróżno wszystkie żywioły przeciwne pojednać i złączyć. Próżne to było staranie.

Pomiędzy pięknými paniami najszaleńszej, nieustającej zabawie oddanými, latającými bez spoczynku, ukazującými się wszędzie, uśmiechającými wszystkim, otoczonými rojem wielbicieli, stolnikowa była jedną z najwybitniejszych.

Właściwie nikt powiedzieć nie mógł, po której stała stronie, komu posługiwała; była ze wszystkiemi dobrze, potrafiła się dostać na zamek i król wielkie jęj oddawał pochwały; jeździła na wieczory do ambasadora, zapoznata się z panią Oborską i wcisnęła na niedzielne przyjęcia do prymasa, ale zarazem bywała u Potockich, u Czartoryskich i w ogóle gdzie tylko drzwi znalazła otwarte.

Polityczni pracownicy posługiwali się nią tak, jak czasu wojny gołębiem posłańcem; do jęj skrzydełek przywiązywali wiadomość, a ona niosła ją z sobą, sama o jęj ważności nie wiedząc.

Nie zwierzano się jęj tajemnic, lecz gdy trzeba było w świat puścić wieść lub groźbę, szeptano je stolnikowej do ucha.

O niej to opowiadano naówczas, że raz przy wieczerzy, u księżnej generałowej znalazła się razem ze wszystkimi trzema odprawionymi ex-mężami swoimi, z którymi była tak dobrze, tak przyjacielsko, a oni tak ję nadskakiwali, jak gdyby nazad do dawnych więzów powrócić chcieli. Posługiwała się nimi chętnie i na żadnego nic nie mówiła złego. O czwartym nie zdawała się myśleć, bo ję bardzo dobrze było na swobodzie. Pocichu mówiono, że się zajmowała mocno nie-szczęśliwym wojewodzie, ale Wicek nie był partyą dla niej.

Nie zaniedbywała też wojewodzinę, która ją z wielką oględnością i dosyć chłodno przyjmowała, co nieprzeszkadzało stolnikowej natrętnie się tu ze swą przyjaźnią narzucać, wsiskać i przesiadywać, zblizając, gdy było można do pana wojewody.

Podejżliwem okiem spoglądała Dosia, na tę czułość dla ję starego męża, gniewała się, a awantury o to zrobić nie śmiała. Wojewoda po ostatniej chorobie dźwignął się był znacznie; musiał wprowadzić wdziać buty aksamitne, ale chodził w nich dosyć żwawo, ruszał się, wyjeżdżał z domu, widywał ludzi i znacznie wyemancypował; śpiegowano go troskliwie na każdym kroku, a salonowe śpiegi ścięgały go wszędzie gdzie mogły; bywały starcia w domu na cztery oczy, wojewodzina jednak nie śmiała zrażać go obejściem się zbyt surowem, bo nieszczęsne zapisy nie były jeszcze porobione. Przygotowywano starca do podpisania ich i zeznania przed aktami. Daliborski albo przesiadywał w Warszawie, lub przylatywał na wezwanie, nie dokonać nie mogąc. Usiłował sobie pozyskać zaufanie starego, i pierwszy raz w życiu, cała jego zręczność i takt okazały się bezskutecznymi.

Wojewoda miał trochę uporu w charakterze, właściwego naturom słabym, które go biorą za energią. Dawniej powziąwszy wstręt do tego parweniusza, kręcącego się po salonach, wsrubowującego wszędzie, nie dawał się ująć ani pochlebstwy, ani świetną jego wymowę.

Nazywał go pocichu—frantem. Osobliwym też trafem właśnie, admiracya wojewodzinę dla mecenasa, zdawała się od niego odstręczać jegomości. Gdy pani go wychwalała, wojewoda milczał, i po długich nawracaniach, konkludował:

— Złota rybko, jęmościuniu, jestto frant! tak mi Panie Boże dopomóż!

Wojewodzina tém niespokojniejszą była o siebie i zapisy, że wojewodzie przychodził zupełnie do zdrowia; tu i owdze się już z ręką na chustce pokazywał, mogli go ludzie z ojcem sprowadzić. Miał, jak mówiono silne poparcie u osób wysoko stojących, księżę Kazio zwał się przyjacielem jęgo, marszałek Małachowski go zapraszał do siebie, bywał u Potockiego w arsenale...

Zmieniono taktykę i gdy w początkach chciano owo małżeństwo z córką doktora rozerwać, teraz Daliborski był za tém, aby je przyspieszyć, i w ten sposób wojewodzina z Warszawy wyciągnąć. Całe prowadzenie sprawy pani wojewodzinę, przy pomocy matki i Dalibor-

skiego, mimo pozornéj ich przebiegłości, nie odznaczało się zręcznością ani logiką.

W niepokoju o swą przyszłość piękna Dosia zmienia coraz i tryb postępowania i plany i narzędzia. Z wojewodą to była czułą do zbytku, to nieznośną, opryskliwą i nieszczęśliwą mu najprzykrzejszych wyrzutów.

Ogarniały ją trwogi, podejrzywała niewinnych ludzi, a prześlepiała tych co jéj szkodzili. Widmo wojewodzica widziała wszędzie za sobą.

W istocie Wicek pozdrowiawszy znacznie, choć jeszcze dawnych sił i zdrowia nie odzyskał, za namową przyjaciół i stolnikowéj, która go pod bokiem mieć chciała, wyniósł się z pod Orła na Krakowskie-Przedmieście, zbliżył do pałacu ojca, a, złożyło się tak, niby przypadkiem, że w domu drugim tuż, miał stolnikową. Ta go opanowała zupełnie, bawiło ją że go protegowała, bawiło że bałamuciała i, jak mówiła, rozkochiwała...

Wojewodzie nie kochał się wcale, ale bałamucić dawał chętnie. Prawdziwa jego miłość lepsza, pocziwsza dla Pepi, znacznie była ostygła. Pisywał do niéj, obiecywał powrót, zwłóczył, i za przyczynę dawał obowiązki swe względem ojca, którym poprzysiągł zadosyć uczynić. Być bardzo może iż długo nie widząc Pepi, obawiając się tego małżeństwa, które mogło z niego spokojnego i szczęśliwego prozaicznie uczynić człowieka, wojewodzie szukał już środków do potargania węzłów, co go z Włoszką łączyły.

Listy jéj były zawsze gorące i pełne wiary, jego coraz chłodniejsze i krótsze.

Co się działo z Pepi? powiedzieć trudno. Była zajęta swym narzeczonym, rozkochaną w nim, robiła wyprawę, stroiła dom, żyła cała w przyszłości. Wuj tymczasem coraz to kogoś wprowadzał do domu, po większój części młodych ludzi. Miał do tego zawsze jakieś powody, wyszukiwał czemby się usprawiedliwić. Pepi przyjmowała tych gości wesoło, obojętnie, ale z taką dumą odstręczającą, że się żaden bardzo zbliżyć nie ośmielił.

Wszyscy ci miejscy i wiejscy panicze wydawali się jéj zbyt powszedniemi ludźmi, obok tego ideału, jakim był Wicek.

Często snił się jéj jeszcze leżący bez ducha pod latarnią, to blade i ranny, gdy doń z Lublina przyleciała do Warszawy. Jéj przywiązanie dziewicze, oddaleniem rosło. Wymarzony bohater zyskiwał na niém, stroiła go kwiatami własnej wyobraźni. Przytomny byłby ją zraził może, daleki wydawał się jéj tém, czém go sama stworzyła...

Wuj czasem próbował napomykać o lekkomyślności wojewodzica, o jego płochym charakterze, o pogłoskach które chodziły o życiu jego w Warszawie. Pepi brała go w obronę gorąco i niedopuszczała nic powiedzieć przeciw swemu narzeczonemu.

Mellini nie chciał się jéj wbrew sprzeciwiać, znając charakter, lecz swoje zrobił. Z młodzieży zwabionéj umysłnemi jego niedyskre-

cyami, najwięcej mu się podobał młody lekarz Krakowianin, który odbywszy nauki za granicą, przybył do dalekich krewnych w Lublinie. Mellini poznał go wypadkiem, wciągnął do swojego domu i wszelkiemi możliwemi sposobami starał się go zatrzymać. Był to młodzian cichy, skromny, bojaźliwy, mało mówny, uczony i rozumny, ale się nie popisujący ni z nauk, ni z rozumem; przystojny bardzo i do zbytku łagodnego charakteru. To niezawadne, dobre stworzenie, ciche, Pepi przyjmowała równie chłodno jak innych, lecz znośniejszym jój był ów pan Biernacki niż inni.

Miał to za sobą, najprzód że nie okazywał jój takiego zajęcia jak drudzy, nie wzdychał, nie nadszakał. Doktor jako z kolegą młodszym był z nim bez ceremonii, a tak układał rzeczy, że—Biernacki się musiał zakochać. Postawił też na swoim: młody lekarz był z uwielbieniem dla Pepi, szalał, ale wiedząc iż była narzeczona, bo ona sama o tém często umyślnie mówiła, starał się nie dać poznać po sobie, że się zakochał. Grał rolę przesadnie zimną i poważną.

Niema pono na świecie kobiety, nawet najniedoświadczszej, którójby instynkt nie dał odgadnąć tego, który kocha. Udawanie się na nic nie zdało. Pepi z pewnością się domyśliła uczuć młodego gościa, ale że tak przyzwoicie je tłumił w sobie, szacowała go za to, i była mu dosyć przyjaźną; wybrała go nawet sobie potrosze za powiernika i mówiła z nim chętnie o narzeczonym i przyszłości. Biernacki, który sam już nie miał najmniejszej nadziei, znajdował jakąś przyjemność w towarzystwie dziewczęcia, słuchał, patrzył, napawał się jój wdziękiem i to mu starczyło. Doktor Mellini, jak tylko złapał go, natychmiast ważne jakieś wymyślał zatrudnienie i wychodził z pokoju, nie powracając rychło.

Pepi czasem mu wymawiała że jój zostawiał doktora do bawienia.

— Alboż cię on nudzi?

— Nie, ale mnie męczy trochę.

Siedzi milczący, uśmiechający się, jak piesek któremu służyć kazano; mało mówi, a ja muszę ciągle szczebiotać.

— To bardzo przyzwoity człowiek—dodawał doktor.

— Widać, i bardzo stateczny, i rozumny i wszystko co wujaszek chce; ale mi przeszkadza, bo ja wolę być sama.

Gdy wojewodzie przychodzić już zaczął do zdrowia, i piękna Dusia coraz się więcej trwożyła; Daliborski urządził się tak aby raz wróciwszy z Warszawy, oddać wizytę Melliniemu, i zasiąść z nim na rozmowę, obok pokoju, w którym, niby nie wiedział że się Pepi znajdowała.

— Powracam z Warszawy—odezwał się głośno—o! hałasliwo tam i wrzawliwo, życie płynie strumieniem złotym. Aż człowiekowi żal że tam mieszkać nie może.

A po przestanku dodał:

— Zdaleka widywałem pana wojewodzica, choć rękę nosi na chustce i pobladł trochę, ale wydał mi się wcale zdrow. i na prawdę nie rozumiem tego że do narzeczonej nie śpieszy...

Doktor milczał, a mecenas dodał ze śmiechem:

— Zwyczajnie młodość! Chce się użyć świata, póki służy lata. Gdy się ożeni, klamka zapadła, tymczasem się wyhula.

Tu, niby ciszej, dodał:

— Mówią o amatorach licznych, osobiwie ze stolnikową, przy której, bodaj czy nie w jednej kamienicy mieszka, i albo ona u niego lub on u niej, po całych dniach i wieczorach. A to kobięcina całę niebezpieczna! trzech mężów już przez kij przesadziła, nie licząc intermedyów i przekąsek... cha! cha!

Doktor wskazał na drzwi, mecenas usta zatulił kułakiem, robiąc minę skonfundowaną; ale Pepi słyszała wszystko.

Wzięła to za potwarz wprost, o której natychmiast chciała napisać wojewodzicowi, że w nią nie wierzy. Zarumieniła się, pogniwała, ale na plotkarza tylko. Była pewną, że narzeczony jęj zdradzić nie mógł, bo swoje miłość czuła gorąco, i wierzyła iż podobną wzbudzić musiała.

Wzmógł się jęj wstręć do Daliborskiego. Mellini śledząc skutków później, przekonał się że wrażenie było wcale inne niż się spodziewał. Zachwiać sercem jęj nie mogło nic, nawet listy krótkie, żartobliwe, chłodne wojewodzica; mówiła sobie że sprawa ojca była pierwszą, a ona?—czekać mogła. Czekać z nadzieją, jest prawie szczęściem.

W rozmowie z Biernackim tegoż dnia po obiedzie, rozwiódła się szeroko o plotkach, o ludziach co je nosili, i o niegodziwym obyczaju powtarzania ladajakich ulicznych wieści.

Ponieważ dawno bardzo nie widziała Strańskięj, a młody lekarz jęj nie starczył na powiernika, pobiegła do niej skarżyć się na niegodziwość ludzką.

Wdowa, choć się nie sprzeciwiała Pepicie, nie podzielała jęj ufności i spokoju.

— E! już to, powiem ci, kochanie moje, że wojewodzicowi do zbytku wierzyć nie można. Wielu to ja takich znałam! mój Boże! Co to póki im przedmiot na oczach, to zakochane jak koty; a niechno w stronę ujdą, do pierwszej lepszej małpy się mizdrzą.

— Ale on! on takim nie jest!—zawołała Pepi. On mnie kocha nie miłością co jak słomiany ogień płonie i gaśnie, ale stałą i wiekuiącą, jak ja!

— Jak ty! ale ty jesteś kobiętą—przerwała Strańska—my kobiety kochamy zawsze stałe, a ci paskudni mężczyźni...

Pepi się rozśmiała.

— Nie mów! moja droga, nie chcę nic na niego słyszeć. Ja mu wierzę! wierzę! wierzę!

— A jak cię zdradzi?—spytała wdowa.

Pepi długo myślała, brwi się jęj namarszczyły; wyciągnęła rękę drżącą:

— Wiész, wiész co zrobię?—zawołała—zabiję go i... umrę sama! Strańska rzuciła się ją ścisnąć, zatulając jęj usta.

— Nie plećże!

— Mówię i przysięgam że to uczynię!—dodała Pepi.—Nie wiem czy potrafię go zabić, ale że umrzeć będę umiała, bądź pewną.

Wdowa się przelęła gwałtowności, z jaką te słowa wymówiła Pepi.

— Dzięki Bogu, nięmam jeszcze powodu ani rozpaczać, ani myśleć o śmierci! To wszystko niepoczciwe bajki!

Wdowa miała pewne instrukcyę od doktora, który potajemnie jęj polecił działać ostrożnie przeciw wojewodzcicowi; lecz spełniała to polecenie bardzo niezręcznie i niezbyt gorliwie, a ile razy odezwała się z częmś dwuznacznęm, Pepi jęj wyrzucała że własne dzieło burzyć chciała.

Z energicznęm dziewczęciem trudno było co począć. Tegoż wieczora długi list napisała do wojewodzica, opowiedziała mu co przywiózł mecenas i swoję rozmowę ze Strańską. Mówiłam jęj, że gdybyś mnie zdradził, ciebie zabiję i sama umrę, bo takby się stało; ale nie wątpię o tobie.

Wojewodzie otrzymawszy list, podobno cały dzień go nosił w kieszeni, niemając czasu czy ochoty przeczytać; wieczorem dopięro rzucił nań okiem i pogrózki zabójstwa i śmierci uśmiech wywołały mu na usta.

— Dziecko!—rzekł w duchu.—List rzucił do biurka i nie myślał już o nim, a w kilka dni odpisując nań, ani wspomniął o treści.

Przyjaciele starali się, ale napróżno zbliżyć go do ojca. Wojewoda, choć kochał syna, choć słabość miał do niego, z całą namiętnością starca, bezrozumną, przywiązał się do żony. Pewnym był że wojewodzie zawinił, gotów był potajemnie coś dla niego uczynić, ale ani się z nim widzięć, ani jawnie przebaczyć mu nie chciał.

W Dosi widział bóstwo, na któręm skazy nie było; tłumaczył sobie jęj kaprysy, przebaczał fantazyę, obejście się z sobą, uniewinniał i... szalał.

Ile razy go kto ze starych przyjaciół zagadnąć probował o syna, natychmiast przybierał twarz posępną i albo rozmowę zwracał, lub zęgnał się i milczał uparcie. Na nalegania silniejsze odpowiadał wreszcie sucho, jedněm tylko:

— Nięmam syna! nięmam syna!

Dochodziło to uszów wojewodzica.

— W ten sposób nigdy się stary nie da przekonać ani nawrócić ku mnie—powiadał—potrzeba, ażeby wprzódt tę kobietę nieszczęsną, tego szatana poznał częm jest. Dopóki nie zobaczy zdrady jawnej, słowa próżne!

Ona ostrożna, to pewna, ale czasem i traf bywa mądry, a losowi pomagać potrzeba.

I uśmiechał się dwuznacznie. W Filipie starym miał pomocnika, lecz sługa musiał też postępować nadzwyczaj oględnie, bo kilka razy, choć ukochany, miał wytartą kapitułę. Z powrotem do zdrowia, wracały czułości dla kochanej Dosi, które wojewodę śmiesznym czyniły. Jéjność się ich umiała pozbywać nadzwyczaj zręcznie, sadzała go do kart, dawała mu ludzi do bawienia, którzy go trzymali godzinami na rozmowie; udawała chorobę aby odpoczywać, a gdy się nazywało że spoczywała, i stary chodził na palcach, zalecając ciszę, wojewodzina w karetce po mieście biegała, lub swoich poufanych, serdecznych gości przyjmowała w zamkniętym apartamencie.

Stolnikowa bywała tu niemal codzielną, starała się wkraść w łaski starego przymilając mu się, i do pewnego stopnia dosięgła czego pragnęła. Wojewoda się bawił z nią, całował po rączkach, odrędniał przy niej, ale gdy puściła słówko jakieś mogące się do Dosi stosować, natychmiast ostygła i poważniała. Pomimo to udało się Malince zwrócić jego podejrzenia na kilku mężczyzn, z których się wyśmiewała, że się w Dosi kochali napróżno. Stary był zazdrosny niezmierzenie, lecz, jak większa część zazdrośników, podejrzewał zawsze niewinnych, a ślepym był dla winowajców. Z tego zaślepienia poczęści go wprowadzać się starała stolnikowa.

— Mój kochany wojewodo—mówiła mu, oczkami go wabiąc—my kobieciecia biędne nie możemy być bez kochania. Jesteśmy do tego stworzone. Mąż to sobie mąż, tego się szanuje, weneruje i ma w zapasie, ale niepodobna wymagać ażebyśmy się wyrzekły fantazyjek i łapania na wędkę.

— A acani dobrodziejka to praktykujesz?—śmiał się wojewoda.

— Ja? naturalnie; Dosią też i wszystkie wiele nas jest...

— Tylko proszę o wojewodzinie...

— Mój wojewodo—paplała stolnikowa—myśmy się razem wychowywały, ja ją znam lepiej niż siebie. Ho! ho! nic złego nie mówię, broń Boże! ale filucik! filucik...

— Acani dobrodziejka ją w tém przechodzisz—rzekł wojewoda.

— Nic, a! nic! Co do filuteryi ja się z nią mierzyć nie mogę: mistrzyni w tém jest.

Zasepił się wojewoda; po każdój rozmowie ostygła dla stolnikowej, gniewał się na nią, a gdy potem przybyła znowu i przymiliła się do starego, umiała go udobruchać, chwycił ją za rączki, śmiał się, bawił, był jéj rad. W ostatku budziła jego ciekawość, chciał się coś z niej dowiedzieć, rodziły się podejrzenia. A najgorszym znakiem dla wojewodzinéj to było, że o swych rozmowach ze stolnikową nie mówił i wypytywany fałszywą z nich zdawał sprawę.

Podejrzenia rosły w nim. Odpędzał je: powracały. Filip, któremu się nie przyznawał, schwytał go kilka razy na tém, że na palcach chodził śpiegować podedrzwi pokojów żony.

— E! cobo to pan wyrabia!—rzekł mu za drugim razem—tylko się jegomość przeziębi i choroby napyta. Poco? naco? proszę jegomości...

— Milczałbyś—odparł zasepiony stary—i nie odpowiadał kiedy nie pytają. Wścibiać nos, zasię: słyszysz!

— Juści styszę—rzekł Filip—ale ja nosa nie wścibiam, tylko mi o pańskie zdrowie idzie.

Raz jakoś przyszło do awantury, ale ta się tryumfem wojewodzinej skończyła. Stary przypadł około północy do drzwi jej pokoju, postęszął śmiechy i głosy; zaczął bić, stukać: wojewodzina wyszła razem z matką i straszliwe gromy padły na staroego, który na kolanach Dosię przeproszać musiał. Złajany, zagrożony, powrócił do pokoju i chory w łóżko się położył.

Daliborskiego, który podówczas był u pani, wypuszczono tylnymi drzwiami, starościnę naprzeciw mieszkającą przywołano i piękna Dosia przybrała się w szatę męczennicy. Nieszczęśliwy wojewoda rozchorował się na dobre, przez dni dwa żona mu się nie pokazywała. Fukano, dąsano się, ale że zawsze jeszcze szło o zapisy, wrota do zgody były otwarte. Filip, który doskonale wiedział co się w domu działo, nieśmiejąc nie panu mówić, śmiał się.

— Niechbo jegomość i nie probuje już—rzekł gdy wojewoda podzwoniał—na co się to zdało? Gdzie to słychana rzecz, żeby mężczyzna nie dał się oszukać gdy kobieta zechce! Ja tam, uchowaj Boże, na jasną panią nie mówię nic! Ale tylko powiem jegomości jedno, że gdyby tam sześciu gachów było, wszystkichby było gdzie przyprzątnąć, nimby jegomość tam doszedł. Pokoje starościny tuż, szaf jest dosyć, zakamarków i schodki tylne.

Wojewoda tak straszne oczy zrobił, że Filip dodał wnet:

— Proszę jaśnie pana, ja nie wiem najmniejszej rzeczy, ale se gadam aby się gadało. Trzeba jejmości wierzyć i nie frasować się, bo to się już na nic nie zdało! Stary nieodpowiedział ani słowa. W kilka dni złożyło się inaczej a niedobrze dla wojewodzinej. Miała być reduta i maski, wojewoda téj zabawy nie lubił, bo się na balach maskowych trafiały różne historye. Matki traciły córki, a córki nie mogły się czasem, aż pod koniec maskarady matek dopytać. Wojewodzina mówiła że nie lubi maskarady. Dnia tego miała migrenę i poszła spać zawczasie. Nazajutrz też wyglądała blade.

Wieczorem przybyła stolnikowa i w rozmowie głośnej spytała wojewodzine, co się z nią stało po spotkaniu na maskaradzie... (Na chwilę odjęła była maseczkę piękna Dosia, aby odetchnąć i na to nadeszła stolnikowa). Zapytana głośno wojewodzina, zrazu zbladła i zmieszana się, potem coś niewyraźnego odpowiedziała. Stary dostrzegł że się zmieszana, bo ją schwymano na kłamstwie. Po odjeździe stolnikowej przyszło do tłumaczenia bardzo niezgrabnego. Starościna wzięła całą winę na siebie, ona córce kazała towarzyszyć sobie.

Wojewoda znalazł się z taktem, zmilczał, nie dał się, lecz czuć było, że to w nim utkwilo. Piękna Dosią dnia tego czulszą się dlań stała niż dawniej, troskliwą, serdeczną. Pocichu narzekała przed nim na matkę i jej płochość, wyznawała że starościna poniekąd jest dla niej ciężarem, że chciałyby prowadzić życie spokojniejsze i t. d. Czy w ten sposób podejrzenia odwróciła, sama nie była pewną. Daliborski bawił teraz ciągle w Warszawie, zapisy były przygotowane, ale o nich nie wypadało rozpocząć ani interesowanej Dosi, ani prawnikowi. Starościna to wzięła na siebie. Umiała nawet skorzystać z maskarady i spowiedzi córki.

Dobrawszy sobie chwilę właściwą, gdy pewną była że rozmowy nikt nie przerwie, zasiadła z powagą wielką naprzeciw wojewody.

— Mój drogi zięciu—odezwiała się—potrzebuję się z tobą sercem otwartym rozmówić. Dałam ci co miałam najdroższego: perełkę, skarb, klejnot, kobietę jakiej drugiej równej niema. Niemożesz powiedzieć abyś nie był szczęśliwym: wszyscy ci zazdroszczą.

Ja tu z wami dosiadam, choćbym i chciała wyjechać, choćbym ją porzucić samą mogła, nie mam siły. Ona ci poświęciła swą młodość, uczyniła też dla niej co należy: pojedę spokojna.

— Pani starościno dobrodziejko—odparł wojewoda—ale zapisy są porobione!

— Mój wojewodo! czyż to są zapisy jakich ona warta? Cóż z tą twoją fortuną poczniesz? Córka wyposażona, syna niemasz; komuż to zostawisz? na co ci to?

Wojewoda zaczerwienił się mocno i począł bełkotać:

— Ale, proszę, bardzo proszę mnie to samemu zostawić: to do mnie należy!

Był obrażony.

— Ja matką jestem!—dodała starościna,

— A ja mężem, mościa dobrodziejko! i dzięki Bogu, jutro umierać nie myślę.

— Nikt nie wie kiedy umrze!—odparła matka.

— Otóż to jest—rzekł wojewoda—a gdyby się Bogu podobało powołać jejmość przedemną, jabym został bez kawałka chleba.

— Przecież dożywocie...

Wojewoda nie dał dokończyć i powtórzył bardzo gwałtownie:

— Proszę mnie to zostawić!

— Już ciż w tych rzeczach waćpanu nikt gwałtu nie uczyni, —z przekąsem się odezwiała starościna—powiem tylko jedno, że gdybym ją była chciała wydać za starego X., ofiarował się jej wnet oddać wszystko. Uniosłam się szlachetnością i afektem asindzieja dla Dosi.

— Mościa dobrodziejko!—przerwał podnosząc się stary, ale rozgniewana matka już była wyszła.

W kwadrans nadbiegła żona niezmiernie zagniewana na rodzicielkę swą, że bez jej wiedzy, niepotrzebnie niepokoila wojewodę, niewiedzieć jakimi propozycjami. Była temu zupełnie przeciwną, nie-

chciała żadnych zapisów, nie żądała ich nigdy, boby i ludzie jój dobrą sławę szarpali, oskarżali ją o chciwość.

— Jeślim poszła za jegomości — dodała — to przez szacunek i przywiązanie, a o majątki nie dbam. Uchowaj Boże nieszczęścia, nie będą potrzebowała nic, bo pójdę do klasztoru.

Rozpłakała się, wojewoda się rozszlochał, nastąpiła scena niewymownej czułości: Dosia padła w objęcia męża, który w téj chwili byłby jój oddał wszystkie skarby świata. Zapomniał o podejrzeniach, zazdrości, gniewie, o starościnie i... królową swą po nogach w końcu chciał całować, ale tego nie dokazał, bo własnych ugiąć nie mógł.

VI.

Zima w tym roku srogą była, ale płaciła za nią wiosna, bo gdy raz się zjawiła z ciepłym swoim oddechem, wszystko się jakby cudem zaczęło rozwijać w oczach i rośliny zdawały śpieszyć, aby czas powetować stracony. Ogrody w okolicach Warszawy, których naówczas tyle było, stroiły się już w liście i kwiaty. Nigdy może namiętność żadna tak u nas nie opanowała możniejszych, jak naówczas manja zakładania i przyozdabiania ogrodów, dzikich promenad, francuzkich wykwintnych szpalerów i rabatów, oranżeryj i trebhauzów. Należało do dobrego tonu, było dowodem wykwintnego smaku rysować planty parków, zakładać w lasach przechadzki i stroić krajobrazy najdziwaczniej częstokroć. Budowano, jak się dowcipnie wyraził Krasicki, który sam na ogrodomanię chorował, piramidy z chrustu; stawiano gołębniki w kształcie świątyń, wznoszono nowe ruiny, mowano kastele, chińskie domy i chatki wiejskie, w których wnętrzu ściany były zwierciadlane.

Słynęły naówczas opiewane przez poetów ks. Czartoryskiej wiejskiego pozoru, Powązki; sadził się na najdziwaczniejsze koncepta na Szulcu księżę eks-podkomorzy, siedm lat pracując nad sypaniem gór i kopaniem podziemiów; księżna marszałkowa cuda kosztowne robiła w Mokotowie, choć miały pozór dość skromny, a nie licząc już wielkich pań i Szulce i Teppery i Riancour i Cabrit i Liszkiewicz mieli ogrody, miał go Bacciarelli (pod Belwederem), miał kawaler Maisonneuve i nazwał Rozkoszą, tak jak Poniński swoje posiadłość *Sansgène*.

Wysadzano się na fontanny, kaskady, świątynie, grotty, łaźnie i t. p. Właśnie tak zwani państwo hrabiostwo Tomatysowie urządzali się w Królikarni, nie chcąc prawdziwym panom ustąpić w niczym. Tomatys, który dużo wygrywał, a bogacił w oczach, chciał uchodzić za bogatszego niż był, musiał więc mieć w Królikarni wszystko, co miała księżna marszałkowa w Mokotowie i Czartoryscy w Powązkach. Chwalono gust pięknej właścicielki i wytworność, z jaką się Królikarnia stroiła. Między innemi był tam już i zbiór pięknych obrazów, brzozy, popiersia i obicia kosztowne. Zkąd to wszystko pochodziło, wiedział jeden Pan Bóg, a drugi hrabia Tomatys.

Pani stolnikowa, mająca pasyą do wszystkiego co modne, kochała się w ogrodach. Roża już, że kiedyś u siebie (gdy będzie miała wielkie dobra i pałac) cudowny park założy, chciała więc widzieć co było na okół Warszawy i obiegła już nasławniejsze ogrody, tylko jęj Królikarnia Tomatysów została.

Spotkawszy się więc, z zawsze jeszcze piękną, bo umiejącą jedyny swój skarb, wdzięki pielegnować, hrabiną, stolnikowa się tęg zaprosiła do Królikarni na piękne popołudnie dnia wiosennego.

Pani Tomatys właśnie tego samego poobiedzia zaproszoną była do Tepperów, załowała więc mocno, iż służyć nie będzie, ale zapewniła stolnikową, że w ogrodzie i pałacyku gospodarować może i rozpastrywać się jak zechce.

Trochę urażona piękna Malinka tęg, że sobie z nią nie czyniono ceremonii, właśnie dlatego wybrała ten dzień, by okazać, iż jęj wcale niechodziło o widzenie gospodyni. Niejedna już taka owacya spotkała piękną, ruchomą, gadatliwą i zalotną Malinkę. Kobięty się jęj obawiały, bo im mężczyzn bałamuciła straszliwie, ze śmiałością i cynizmem nawet, pod te czasy niesłychanym. Wojewodzina tęg pocichu psuła interesa przyjaciółce, z przekąsem się o nięj odzywając. Trzej odprawieni mężowie świadczyli niekoniecznie pochlebnie o stolnikowej, choć wszyscy byli jęj przyjaciółmi i wdychali do nięj zdaleka.

Stolnikowa dopięro w Warszawie się przekonała, że wypadło zmienić nieco tryb postępowania, aby w towarzystwie, zresztą nadwyzczaj pobłażającym, uzyskać nieco poważniejsze stanowisko.

Postrzegła, że na wieczorach w domach, w których bywała, płocha tylko młodzież dwór jęj i otoczenie stanowiła, a kobiety widocznie od nięj unikały.

Z początku na przebój iść chciała, lecz przekonała się, że się to na nic nie przyda. Przyszły refleksye, pociekły może łzy pocichu, nie wiedziała co z sobą zrobić, pod czyją rzucić się opiekę. Z mnogich wielbicieli nikt na seryo po rękę nie sięgał, choć wszyscy się o łaski dobijali: to ją gniewało.

Chciała naprzekór wszystkim wydać się za mąż. Z przyjaciół żaden się nie dawał zaprowadzić do ołtarza. Tymczasem pierwsza owa dziecinna jeszcze miłość dla wojewodzica, powróciła, rozwinęła się i serce zajęła mocnięj, niż się ono zajmować było zwykło. Z początku urok wspomnień przywiązywał ją do niego, potem jako przesładowany, nieszczęśliwa ofiara, jako znienawidzony przez Dosię, interesował ją mocno; naostatek ujął ją tęg, że był niezupełnie do innych podobny i obchodził się z nią inaczej. Kawalerowie iuni prawili słodczye, palili kadzidła; wojewodzie czasem bywał brutal i niegrzeczny, ale w nim czuć było namiętną naturę. Nie wchodzono ściśle w to, czy serce biło, czy zmysły grały pieśń weselną.

Stolnikowa czuwała nad chorym, donosiła mu co się działo w pałacu ojca, biegła za jego interesami, pośredniczyła, przynosiła plotki, najęła mu mieszkanie w kamienicy sąsiedniej, natrętnie się

narzucała. Wojewodzie ją niemal tak traktował jak dobrego kolegę, ale go i bawiła i potrzebną mu była i nałóg sobie zrobił z codziennego jej towarzystwa.

Stosunek to był osobliwy, zrazu przyjacielski, potem coraz poufalszy, dotąd bez żadnych na przyszłość widoków. Stolnikowa zapóźno się postrzegła, że ona, co się nie kochała nigdy na dłużój jak na dni kilka, zakochała się naprawdę w wojewodzicu. Była pewna że to przejdzie jak migrena, lecz żadne środki nie pomagały, owszem przywiązanie rości i gdy czasem dni kilka nie widziała swojego protegowanego, o całym świecie zapominając, leciała go szukać.

— No! to go wezmę!—powiedziała sobie ze zwykłą lekkomyślnością. Jak zechcę, to się ze mną ożeni, a tę tam jakąś donzellę, doktorównę, porzucić musi. Jemu téż tęskno za mną, a gdy jesteśmy razem, o całym świecie zapominamy. No! to go wezmę.

Właśnie tego dnia, gdy w Królikarni być miała, postanowiła rozmówić się z wojewodzicem. Posłała do niego zawczasu służącego, aby się natychmiast stawił. Wicek z sąsiedniej kamienicy miał dwa kroki do sąsiadki, która na niego czekała niecierpliwie, kręcąc się po pokoju, przeglądając w zwierciadłach, poprawiając włosy i kręcąc na palcach pierścionki. Chociaż wojewodzie natychmiast posłusznym był rozkazowi, niecierpliwa Malinka zaskoczyła go w progu wymówką:

— Ale, jaki bo jesteś ślamazarny! jako można kazać na siebie czekać tak długo! Wiesz, że ja czekać nie lubię!

Wojewodzie się uśmiechnął.

— I jeszcze wymówki!—zawołał—porzuciłem wszystko, śpiesząc na rozkazy mojej bogini!

Dygnęła mu za boginią.

— Zjemy naprędce co w kuchni jest, powóz zadysponowany i jedziemy do Królikarni. Sama nie pojedę; z babami jeździć nie lubię. Pojedziemy sobie we dwójko, *tête à tête*. Dobrze?

Tomatysów niema! Posłuchamy w ogrodzie słowików, pobiegamy i mam z moim panem do pomówienia!

— Wszystko to wybornie uprojektowane, kochana stolnikowo, dobrodziejko moja—rozśmiał się wojewodzie—ale, co ludzie powiedzą, gdy my tak w czułej parze będziemy jeździli? he? Mnie to nie szkodzi! a acani dobrodziejce!

— Mnie to wcale nie frasuje!—przerwała stolnikowa.—Cały świat wie, że ja się żywo zajmuję losem pana wojewodzica. Będą może waćpanu zazdrościć, ale co mi tam! Ja mam nadzieję, że mi się nareszcie kiedyś oświadczysz!

— Niestety! ja się po cztery razy na dzień oświadczam, a stolnikowa zapomina o tém—rzekł wojewodzie—oświadczam się z adoracją, z pasją, z uwielbieniem, z ubóstwieniem!..

— Tratat! ale nie z tém, czego ja chcę! Nie!

— Stolnikowo dobrodziejko!—rzekł wojewodzie otwarcie.—Już ciż mnie za męża chcieć nie możesz. Najprzód, że ze mnie o ile ko-

chanek wyśmienity, o tyle mąż będzie najniegodziwszy; powtóre, goły jestem jak święty turecki, a jéjmość nawykłaś pieniądze wyrzucać przez okno jak ja: naostatek jestem zaręczony!..

— To niech cię kto wyręczy!—rozśmiała się stolnikowa—a czemu mybyśmy się nie mieli pobrać.

— Kochana stolnikowo!—odparł wojewodzie—na co się to nam zdało! Pomiarkuj! Każdy z twoich pierwszych trzech mężów był daleko na męża lepszy, niż ja, a wszystkieś precz poodganiała! Pobralibyśmy się dziś a za tydzień znowu do konsystorza! Z temi trzema, widzisz kochana pani, to było łatwo, bo oni mieli czem zasypać rozwód, a ja?

Spoważniała nagle piękna Malinka, ton się jéj szyderski nie podobał.

— Daj pokój!—przerwała—wiesz, że ja się w waćpanu kocham, chodząc jeszcze w spodeńkach! Miłość ta, zamiast wywietrzeć, urosła. Chcę się dla ciebie zupełnie odmienić, będę robiła pończochę! Słowo daję! a starego wojewodę tak osaczę, tak napadnę, że nam majątek musi dać. Ot, jakie są moje projekty.

Wojewodzie wstał, z przesadzoną grzecznością, szyderską, idąc do pocałowania ręki.

— Kochana stolnikowo! lepiej my o tém nie mówmy! dalipan, toby niemiało sensu!

— Chyba że się kochasz w téj przebrzydłej Włoszce, której ja oczybym wydrapała!—zawołała Malinka.

— A! zem się kochał szalenie i że mi się z tego coś zostało w sercu, nie wypieram się!—rzekł wojewodzie.

Stolnikowa ruszyła ramionami.

— A jednak kochasz i mnie, bo, słowo daję, są chwile! a... są chwile!..

Uderzył w ręce wojewodzie i począł się śmiać.

— Jakże to takięj Malinki nie kochać i nie paść przed nią. Drugięj takięj na świecie niéma! Ale, moja śliczna pani! tyś nigdy za mąż iść nie powinna. Wierzaj mi! Ani ja na męża, ani ty na żonę nie jesteś stworzoną. Małżeństwo przecie, to przykucie do łańcucha, a my oboje niewoli nie znosimy...

— A! takil! ty się ze mną ożenić musisz!—zakończyła tupiąc nóżką stolnikowa.

A teraz do stołu! copredzój przekąsimy i do Królikarni!

— Jestem na rozkazy—podając rękę i prowadząc do jadalnego pokoju zakończył wojewodzie.

No! ale cóż tam słyhać u mojęj mamy dobrodziejki?

Tak szydersko macochę nazywał.

— Wojewoda podobno znowu nie domaga—odezwała się Malinka—o ile się ja mogłam dowiedzieć, zasztło coś między małżeństwem. Siedzi tam ciągle mecenas z Lublina.

— Wiem, ten, który mnie namawiał, abym ojcu proces wytoczył—rzekł wojewodzie.—Przyjemny człek! uczciwy człek! Czekam tylko pierwszjlepszej okazji, aby mu kości połamać!

— Gdyby mogli, dawnoby mi tam dom wypowiedzieli—mówiła dalej stolnikowa—ale ja dla miłości wojewodzica, który się ze mną żenić nie chce, tak lawiruję, tak się czynię słodką, dobrą, że nie sposób mnie wypędzić!

Wojewodzie w rękę pocałował, otrzymał uśmiezek, a stolnikowa ciągnęła:

— To tylko bięda, że ze starym wojewodą samnasam, prawie mi niepodobieństwem jest się rozmówić. Jeśli nie Dosia, stoi starościna na straży. Czasem słówko jakie bryznę, coś mu powiem o przeszłości, ale muszę być niezmiernie ostrożną.

— Ostrzeżze, przy zřeczności wojewodę—dorzucił Wicek—że ów Daliborski amantem jest, a kto wie, czy nie przyszłym nagotowanym mężem, gdy się im biędnęgo mego starego dobić uda!

— Przeciwno amantowi nięmam nic!—rzekła stolnikowa—to rzecz pewna, że albo był, lub jest, lub będzie; co się tyczy projektów marjażu, przeczę! Dosia wyżej patrzy. Zrobi mu nadzieję! a! to pewna, ale że nie dotrzyma, gardło daję!

— Na to się i ja piszę!—rzekł wojewodzie.

Rozmowa się przeciągnęła tak przez obiad cały, konie i powóz stały już przed kamienicą; natychmiast więc, korzystając z pięknej pory zawinęła się stolnikowa, pośpieszając z wyjazdem. Wojewodzie nie dając się prosić, siadł z nią razem. Ruszono do Królikarni.

Nie upłynęło pół godziny po wyjeździe obojga państwa, gdy cała długa, czarna chustką i zasłoną okryta, kobięta zjawiła się przed kamienicą, w której mieszkał wojewodzie. Twarz miała osłoniętą, rysów jęj przez gęstą krepę dostrzedz nie było można, z postawy jednak zdała się młodą, a piękna i kształtna postać, poruszała się żywo bardzo. Zdawała się śpieszyć, popatrzała na numer domu i wbiegła do sieni. Chłopak, który posługiwał wojewodzicowi, stał właśnie pode drzwiami. Było to dziecko miasta, swawolne, służbą u pana swawolnego też do reszty popsute.

Kobięta głosem wzruszonym wielce, spytała go o wojewodzica.

— Toć mój pan, toć ja go znam i wiem. A cóż pani chce od niego?

— Chcę się z nim widzić!—drżącym głosem odezwała się kobięta.

— Ale! to już chyba dziś z tego nic nie będzie!—rzekł chłopak.—Nięma pół godziny, jak siedli do karety z panią stolnikową, w której się mój pan pono kocha albo i żeni. Słyszałem jak dysponowali do Królikarni. To oni tam, po ogrodzie, jak wezmą chodzić, będzie tego do nocy. A jak wrócą, pan będzie jadł kolacyą u swojej, to daj Boże, aby po północy wrócił!

Rozśmiał się, wyszczerzył zęby, ręką usta zakrył i patrząc na zakwefioną kobietę, ciekawy chłopak usiłował rozpoznać jak też wyglądała: z za zasłony dwoje tylko oczów błyskało.

Kobięta stała słupem, skamieniała, lekkie drżenie poruszało jęj ręce. Chłopak przyglądał się, nie pojmując milczenia.

— Pojechali do Królikarni, pewno do ogrodu, bo ta jęjmość naszego pana, ona tu zaraz wedle nas, obok mieszka, dlatego żeby bliżej była wojewodzica; strasznie się w ogrodach kocha: mało nie codzień do jakiegoś ogrodu.

Kobięta nie odpowiadała jeszcze. Wyrwało się jęj z ust wreszcie słabym głosem:

— Królikarnia! Daleko?

— E! na piechotę daleko!—rzekł chłopak. A jeśli pannie, czy tam pani, boja jęj honoru nie wiem, pilno, toć fiaker za talarka zawieziel!

Zwróciła się kobięta, niepewna co ma począć, spojrziała w ulicę. Właśnie przejeżdżał wolny fiaker, powoli się wlokąc. Zawahała się nieco i skinęła nań.

Chłopak grzeczny podbiegł jęj powóz otworzyć.

— W ogrodzie ino szukać!—dodał—tam się oni obójko najdą, napewno!..

I fiaker posunął się ku Królikarni. (*Dalszy ciąg nastąpi.*)

WSPOMNIENIE

O W O L T E R Z E

Z POWODU STULETNIĘJ ROCZNICY JEGO ŚMIERCI *).

II.

Wolter w Cyrey.—Uczona Emilia.—Początek korespondencyi z księciem pruskim, przyszłym Fryderykiem II.—Zjazd w Kliwii.—Podróż do Berlina.—Don Quichot.—Siedziba filozofa sybaryty.—Zwykły tryb życia.—Kłótnie.—Podróż do Paryża.—Wersal.—Protekcya pani de Pompadour.—Tytuł historyografa.—Mahomet dedykowany papieżowi.—Krzesło w Akademii.—Wojna z krytykami.—Skandal przy kartach.—Pojednanie z dworem.—Wiersz do pani de Pompadour.—Gniew rodziny królewskiej: rozkaz wyjazdu.

Zamek Cyrey własnością był markizy du Chatelet, owęj tak zwanęj *boskiej Emilii*, która mężką raczćj nauką, niżli niewieściami po-

*) Dalszy ciąg — patrz zeszyt za lipiec.

wabami, potrafiła przywiązać do siebie Woltera i przez lat piętnaście trzymać go w jarzmie swoim. Dziwne były obyczaje tych czasów, tak dziwne, że pojąć ich nawet nie możemy. Jak tu, pytamy, wyobrazić sobie dziś, młodą jeszcze kobietę, matkę dwunastoletniego syna, żonę nierozłączoną bynajmniej z mężem, która przyjmuje do domu obcego zupełnie człowieka, mieszka z nim stale, podczas gdy markiz, zajęty obowiązkami służby wojskowej, czasami tylko odwiedzał własne progi. Jak tu pojąć obojętność powszechną na charakter anormalny podobnych związków. Jeżeli markiz gościem jest w domu swoim, Wolter odgrywa w nim rolę pana; powołuje rzemieślników, przybudowuje do zamku nowe skrzydła, sprowadza sprzęty, zaprzęgi i obrazy, urządza wytworne galerye, zakłada pyszny ogród: stowem gospodaruje tu jak u siebie, przyjmuje nawet gości. Niekiedy uczona para, wybiera się razem w bliższą lub dalszą podróż, to na dwór króla Stanisława, do pobliskiego Lunewillu, to do Bazylei, albo Hagi. I nikt się tém nie gorszy, nikt się nie dziwi temu. Ważna przestroga dla tych, którzy w obec dzisiejszych usterek, wysławiają nad miarę dawne czasy.

Emilia od młodu umiowała naukę, co jej przecież nie oderwało od świata. Umysł ten dziwnie czynny i energiczny, umiał na wszystko wystarczyć, przebiegając kolejno od koronek, atłasów i świecideł, do globów i tablic matematycznych. Był to czas powszechnego zwrotu ku naukom ścisłym. „Wiersze dziś wyszły z mody, utyskuje Wolter w jednym z listów: każdy chce być fizykiem i jeometrą.” Kobiety nawet poszły za ogólnym popędem: porwał je słynny matematyk Maupertuis, pierwsze panie wzięły mistrza tego za przewodnika. Dla wielu było to prostą zabawką; Emilia tymczasem oddała się na seryo trudnej pracy, pod kierunkiem Maupertuisa, uprawiała z zapalem fizykę, matematykę i w ogólności wszystkie nauki ścisłe. Pozytywistka lekceważyła poezją, tolerowała ją przecież z miłości dla Woltera.

Trzydzieści lat spędzonych w towarzystwie *boskiej* Emilii, były dla geniusza poety, epoką najbujniejszego rozkwitu, Wolter pracował różnostronnie. W Cyrey utworzył *Alzyre*, *Meropę*, *Mahometę*, trzy tragedye wysokiej wartości. Tu wykonał historyę Ludwika XIV, tu napisał filozoficzny pogląd na obyczaje różnych narodów, dzieło paradoksalne, oparte na błędnej zasadzie, ale pełne życia i twórczej siły; tu wypracował traktat o filozofii Newtona, w którym popularyzuje wielkie odkrycia uczonego; ztąd rzucił w świat setki pamfletów i epigramatów, zaprawnych solą i durzącym blekotem; tu wreszcie z krzywdą czci własnej napisał ów bezwstydnny poemat, w którym sponiewierał cudną postać dziewicy Orleańskiej.

W pierwszych latach pobytu w Cyrey, poeta wszedł w stosunki z następcą tronu pruskiego, przyszłym Fryderykiem II. Książę miał lat dwadzieścia dwa, marzył tylko o poezyi i literaturze. W pierwszym liście do Woltera, z 1736 r., wyraża najwyższe uwielbienie dla autora Henryady, błaga aby przysłał mu swoje prace, zaklina by przejrzał

i poprawił jego francuzkie próby. Wzywa go najusilniej do Berlina. Wolter odmówił, nie mógł opuścić Emilii.

Poselstwa powtarzają się wślad po sobie, za Borchem przybywa Kejzerling. Książę mieni się szczęśliwym że żyje w wieku, który wydał Woltera. Poeta odpisuje na ton niemniej hyperboliczny. Zowie Fryderyka Salomonem pótnocnym, nadzieją rodu ludzkiego: „przyjlibyśmy, pisze Kejzerling, jak Adam i Ewa podejmowali anioła w Raju.” Fryderyk wstąpił na tron: listy krzyżują się żywo między Berlinem a Cyrey, coraz to gorętsze i poufalsze. Na wyraźne żądanie króla, poeta zamiast *Votre mayesté*, pisze *Votre humaniti*, (*wasza człowiecza miłość*).

Naznaczono wreszcie miejsce zjazdu. Wolter oznajmia że pan Chatelet będzie mu towarzyszyć. Nie poszło to w smak Fryderykowi.

„Jeśli mam być szczerym, odpisuje król, pragnę przedewszystkiem widzieć Woltera, przyjaciela mego, słowem ciebie. *Boska Emilia*, mimo całej boskości swojej, to tylko dodatek zuewtonizowanego Apolina! Wolałbym widzieć cię samego. Byłbym zanadto olśniony, nie zniósłbym naraz tyle blasku. Musiałbym mieć zasłonę Mojżesza, aby znieść połączone promienie waszych aureoli!

— Miłościwy panie! pisze Wolter, sprowadź krople z Londynu, bo zemdleję z radości na twój widok.

Fryderyk idzie dalej:—Umrę ze szczęścia! ach! byłby to najmiłszy rodzaj śmierci!

Spotkali się nareszcie w Medyolonie, obaj jednako zachwyceni.

— Słodki filozof! pisze Wolter, zapomina że jest królem, że ma sto tysięcy bagnetów. Człowiek to najmiłszy w świecie!

Fryderyk sypie przesadniejsze pochwały:

„Ma wymowę Cycerona, słodycz Pliniusza, mądrość Agryppy, łączy wszystkie cnoty i zdolności mężów starożytnych. Umysł jego zawsze pracuje, każda kropla atramentu w jego piórze, to nowy strzał, nowy fajerwerk. Deklamował Mahometa pyszną tragedją, porwał mnie i zachwyił.”

W trzy lata potem, w skutek nowych nalegań, Wolter w tajemnicy przed boską Emilią, wybiera się w drogę do Berlina. Ale młodzieńczy zapał Fryderyka, ustąpił już chłodniejszej rozwadze. Jego *człowiecza mość*, radby mieć u siebie Woltera: rękopism gotowy do druku, potrzebuje ostatecznych poprawek!... Ale, czyżby Wolter nie chciał poprzestać na honorze? on bogaty, czyżby nie mógł odbyć podróży własnym kosztem. Poeta inaczej rzecz rozumie, znać kosa trafiła na kamień. Następuje targ: król posyła na drogę 1,300 talarów. Wolter pośpiesza: na ostatniej stacyi pod Berlinem, stroi się w aksamienny frak, w utrefioną perukę, w jedwabne pończochy i koronki, by wystąpić godnie na dworze. Aż oto koła łamią się u karety, Wolter dosiada konia, zatrzymują go u rogatek.

— Kto pan jesteś?—pytają stróże.

— Don Quiszo!—odrzecze poeta.

Dwaj koryfeusze ośmnastego wieku ściskają się, biesiadują, zamieniają dowcipne wiersze przy toastach. Mimo tych serdecznych objawów, praktyczny Fryderyk żali się w liście poufnym, że każdy dzień pobytu Woltera, kosztuje go 550 talarów. „Żaden błazen na dworze królewskim, nie był jeszcze tak zapłacony.”

Pani de Chatelet rozgniewana tajemną wycieczką przyjaciela, zapomniała wkrótce urazy. Aby wyrwać go z sideł Fryderyka, otoczyła go najtroskliwszą opieką za powrotem. Wśród licznych gości, którzy odwiedzali wiejską ich ustron, była znana autorka pani Graffigny. W listach jęj pisanych z Cyrey, znajdujemy ciekawy obraz domowego życia dwojga przyjaciół, Tezeussa i Aryadny: tak zwano w Paryżu Woltera i Emilię. Zobaczmy jak wyglądała siedziba filozofa:

„Pokój jego nie wielki, cały wybity amarantowym aksamitem; alkowa przysłonięta podobną draperją, ze złotemi frędzlami. Wkoło prześliczne obrazy i zwierciadła, na półkach rozstawione kosztowne porcelany, pyszny zegar wsparty na marabucie, szczególnież wzrok uderza. Gdzie rzuć okiem wytworne cacka; jedno z nich, obwieszone całe pierścieniami z dyamentów i drogich kamieni. W otwartej skrzynce pełno srebrnych naczyń, rzeźbionych po mistrzowsku. Przejdźmy do galeryi, tu nowy przepych, nowe cuda. Między oknami, dwa posągi przedstawiają Herkulesa i Wenerę. Naprzeciw dwie szafy książek; w pośrodku nisza, w jęj głębi, na wielkim piedestale, skrzydlaty amor wypuszcza z łuku strzały. Nie naliczyć stolików, biórek, parawanów i drogocennych fraszek. Szklanne drzwi prowadzą do ogrodu, przez grootę misternie wyrobioną.”

„Pokój boskiej Emilii równie prawie wytworny: ściany i sprzęty zdobne błękitną morą, przypominają lazur nieba. Drzwi zwierciadlane prowadzą do biblioteki. Widzisz tu trzy gracye rzeźby nieporównanej. Na ścianach utrefione pasterki, pędzla Watteau i cenne obrazy włoskich mistrzów.”

Obok tych świątyń, gdzie przebywają dwa bożyszcza, reszta zamku dziwną stanowi sprzeczność. Wszędzie nieład, bezrząd i zaniedbanie. Biedni goście obywają się bez wszystkiego: „zobacz jak wygląda mój pokój, pisze pani Graffigny: ta wielka szopa otwarta na cztery wiatry, z jedynem oknem. Stroma góra zastania wszelki widok. Deszcz zacieka przez szpary, krzesła pokryte materyą tak starą i spłowiata, że barw jęj nie rozpoznać. Stoliczek, krzesło i komoda, oto i mój sprzęt cały.”

Dzień jeden podobny do drugiego, ubiegał jednostajnie jakby za klauzurą. Około jedenastej, ustawiano kawę w galeryi Woltera. Śniadanie trwało godzinę, w południe dzwoniło na obiad dla czeladzi, (*pour les cochers*). Do tój czeladzi należał sam markiz i goście podrzędniejsi, słowem to co u stołu naszych magnatów, przezwano niegdys szarym końcem. Wytworniejsza część towarzystwa, posiliwszy się w galeryi rozmawiała z Wolterem i Emilią, o geometryi, literaturze, lub

o bieżących sprawach. Wolter nareszcie, oddawał pokłon towarzystwu, co znaczyło że wszyscy mają odejść.

Wieczorem o dziesiątej zasiadano razem do wieczerzy, obfitej zwykle i wytwornej. Wolter zjawiał się późno, czasem w połowie uczyty; trudno było oderwać go od biórka. Nie spuszczał z oka *boskiej* Emili, podawał jej co było najlepszego. Pan Chatelet drzymał między jedną a drugą potrawą, nie wyrzekł nigdy słowa. Odchodził zwykle przed deserem, wówczas zaczynała się rozmowa pełna życia, tryskająca dowcipem, prosta, bez pedantyzmu. Wolter wyćwiczony w zwyczajach dworskich, nie chciał górować nad innymi, nie przyćmiewał nikogo blaskiem swoim.

Pani Graffigny zachwycona zrazu, w pierwszych listach wystawia czarodzieja; wkrótce poznała jednak, że nie wszystko złoto, co się świeci. Dwa bożyszczą kłóciły się czasem jak istoty śmiertelne; równie gwałtowny charakter z obu stron, sprowadzał grady i pioruny, obecność nawet gości, nie wstrzymywała tych wybuchów. Słowa jak rakiety, sypały się z ust po angielsku. Gesta dopowiadały czego kto nie zrozuwał.

Lada fraszka sprowadzała burzę. W śmieszny sposób pani Graffigny opisuje te starcia.

„Wolter wchodzi z upudrowaną głową, w koronkowych żabotach; ale suknia nie w smak markizowej: każe mu włożyć inną. On wyprasza się jak może, tłómaczy katarem, obawą zaziębnienia. Posyła służącego, ten nie znajduje pod ręką innej sukni. Emilia nalega, Wolter niecierpliwi się, podnosi głos, klnie po angielsku, wychodzi wreszcie z sali. Posyłają po niego. Odpowiada, że chory, że nie przyjdzie. Niestety! przepadła *Meropa*, miał ją właśnie czytać po wieczerzy. Wtem przybywa gość jakiś: nowe deputacje, nowe próby. Ukazał się przecież kapryśnik, skrzywiony, stękaający. Markiz odszedł; obie strony rozmówiły się po angielsku, *Meropa* wystąpiła na scenę.”

Biędna pani Graffigny, drogo nieraz opłacała gościnność jaką dano jej w cyrejskiem Eldorado. Wolter dowiaduje się z listu, że rękopism Joanny d'Arc, pełen skandalicznych sarkazmów, dostał się do Paryża. Kto go postać? Ona, nie kto inny! Wbiega jak szalony do pokoju.

— Wstydź się, pani!—zawoła—zdradziłaś mnie! twoja to sprawka! Piorunuje, krzyczy, klnie na czem świat stoi, zaciska pięści, płacze.

Niedosyć na tém. Margrabina wpada jak furja, biega, tupie nogą o ziemię.

— Pani! skradłaś papiery z biórka mego!—woła wytrząsając pięściami.

Gwałtowna ta scena trwała od wieczora do piątej rano. Tak przyjmowano gości w Cyrey.

Urządzono teatr, grano po kolei wszystkie sztuki Woltera. Pani Chatelet występowała w rolach *Meropy* i *Zairy*. Poeta przedsta-

wiał sam starego Lusignana. Panowie z całej Szampanii i Lotaryngii zbierali się tłumnie, grzotem oklasków obsypywali każde widowisko. Tryumfy te nie wystarczały poecie. Pragnął szerszej widowni, zatemknął do Paryża. Przyjaciele ułatwili mu powrót. Odegrano w teatrze *Meropę*, ta piękna apoteoza miłości macierzyńskiej, poruszyła do głębi wszystkie serca. Wolter zamieszkał chwilowo w stolicy, towarzyszyła mu Emilia.

Po śmierci kardynała Fleury zawakowało miejsce w akademii. Poeta mimo że wiecznie szczydził z akademików, pragnął niemniej zasiąść w ich gronie. Kilkakrotnie już ubiegał się o ten zaszczyt; odrzucano go zawsze, z powodu niedowiarstwa. Świetne przyjęcie *Meropy* zbudziło w nim otuchę. Trzeba było dać jawny dowód ortodoksji. Pisze więc do ministra Maurepas list godny świętoszka Molierowskiego. Przytaczamy ciekawe to wyznanie.

„Uczciwy człowiek ma prawo bronić się z zarzutów, nie przez miłość własną, lecz dla tryumfu prawdy. Oświadczam więc przed Bogiem, który mnie słucha, że jestem dobrym obywatelem, oraz żarliwym katolikiem. Nie napisałem jednego słowa, któreby nie tknęło gorącą miłością ku ludziom. *Henryada* cała nie jestże apoteozą cnoty, poddającej się wyrokowi Opatrzności?”

Podczas gdy list przebiega z rąk do rąk po Paryżu, poeta w liście do Fryderyka, szczydzi z obłudnej skruchy swojej, zarzeka się, że nie zegnien kolan przed Baalem.

Akademia głuchą była na te manifestacye, mianowała innego członka. Wolter piorunuje przeciwko nieśmiertelnym. Zagniewany nibyto na Francją, wyjeżdża do Berlina, czyni to za porozumieniem się z francuzkiem ministeryum. Francya potrzebowała znów przywierza z Fryderykiem, przeciw Anglii i Austrii. Madrygały służą za płaszczyk politycznym intrygom. Ale Fryderyk nie bity w ciemię: „zwietrzył on śpiega,” jak mówi sam Wolter, miał się zatem na ostrożności.

Pani Chatelet tymczasem poruszyła w Paryżu wszystkie sprężyny, by zjednać poecie względy króla i utorować mu drogę do Wersalu. Zabiegi jej uwieńczone zostały. Młody Delfin, syn Maryi Leszczyńskiej, zaślubiał właśnie infantkę hiszpańską. Wolter z *boską* Emilią pojawia się na dworze, bierze czynny udział w uroczystościach, urządza widowisko: *Królowę Nawary*, z współudziałem słynnego muzyka Rameau. Rozpromieniony tryumfem, narzeka jednak po swojemu, skarży się w listach na stan zdrowia, na trudy.

„Żałuj mnie! pisze do przyjaciela, ciężka rzecz zostać trefnisiem w pięćdziesiątym roku, urządzać balet, mozolić się ze śpiewakami i tancerzami. Przebiegam wciąż z Paryża do Wersalu, składam wiersze w pojeździe pocztowym! Trzeba wychwalać króla głośno na całe gardło, Delfinową bardzo delikatnie, rodzinę królewską pomaleńku, zadowolnić dwór, a nie obrazić miasta.

Wytrawny dworak umiał zachować właściwą miarę; *Królowa Nawary* zapewniła mu w Wersalu, świetniejsze niż kiedykolwiek stanowisko. Ludwik XV mianował go historyografem swoim i podkomorzym (*gentilhomme de chambre*). Wprawdzie Marya Leszczyńska patrzyła nań z nieufnością i wstrętem, ale Wolter nie starał się nawet o jój względy; miał on za sobą potężniejszą stokroć protektorkę w tryumfującej Markizie de Pompadour, jak Gwebr obrócił oczy ku wschodzącemu słońcu, uczcił je pierwszy strzelistym hymnem, w którym wyraz *amour* tak harmonijnie rymuje z nazwiskiem czarodziejki!

Przedstawiono w tych czasach na scenie *Mahometa*. Ogół przyklasnęła tragedyi, ale poważniejsi krytycy nie dali się unieść pociskom na muzulmański fanatyzm; czuli oni, że te pociski wymierzone pozornie w proroka, miały na celu podkopanie wszelkich zasad religijnych. Cóż zatem czyni Wolter? dedykuje poemat Benedyktowi XIV, pisze do papieża list pełen głębokiej pokory: „I komuż mogę, pyta, właściwiej ofiarować satyrę na okrucieństwo i błędy fałszywego proroka, jeśli nie namiestnikowi Boga pokoju i najwyższej prawdy?” Ojciec Święty przyjmuje dedykacją, odpowiada na nią w łaskawy sposób. Wolter dokazał swego; drukuje list papieżki na czele tragedyi; prawowiernych krytyków zmusza tém samym do milczenia.

Wybuchła wojna. Maurycy saski odnosi słynny tryumf nad Anglikami. Król i Delfin biorą udział w trudach obozowych. Wersal wita uroczyście tryumfatorów; Wolter urządza alegoryczne widowisko, *Świątynię Chwały*, na cześć nowego Trajana Ludwika XV; tworzy przytém rapsod rycerski: *Bitwę pod Toutenoy*; pochlebia bezczelnie królowi i arystokracji; w listach do przyjaciół sztydzi sam z poematu: „Nie wiem doprawdy, jak opędzić się pięknym paniom, każda chce pochwał dla kuzynków i ulubieńców!”

Wakuje wreszcie nowe krzesło w akademii. Wolter rozpisuje na gwałt listy, oświadcza się najgorliwszym katolikiem. Przypomina, że jest wychowawcą Jezuitów, wyraża im dozwoloną wdzięczność. Składa na karb Jancenistów prześladowanie, jakiego był celem. Niezłudzona tém królowa silnie popiera innego kandydata. Wpływy Pompadour przemogły, Wolter otrzymał krzesło.

Nadszedł dzień uroczystego przyjęcia. Mowy akademickie ograniczały się dotąd na pochwałach Richelieu'go i wyliczenie zasług poprzednika, po którym nowy członek zajmował miejsce. Wolter zmienia porządek, sypie kadzidła królowi, wysławia geniusz języka francuzkiego, przebiega cały szereg pisarzy, którzy uczynili go językiem europejskim. Obok papieża wielbi króla Fryderyka, Salomona Północy, podnosi imiona wszystkich uczonych i literatów współczesnych. Nazwano tę mowę suknią Arlekina, zszytą z najrozmaitszych łątek. Sypnęły się ostre zarzuty. Poeta, wściekły z gniewu, odpiera je tysiącem jadowitych pocisków; ufny w porękę możnych ściga nieprzyjaciół z nieprzebraną zaciętością. Wytacza procesa; wielu

księgarzy i wydawców osadzono w Bastylii. Skandaliczne te sprawy toczyły się rok z górą.

Niespodziewany wypadek, a raczej nierozwaga poety poróżniła go z dworem. Pani Chatelet lubiła namiętnie grę w karty. Razu jednego przegrała w Fontainebleau paręset luidorów. Próżno Wolter usiłuje odciągnąć ją od stołu. Rozgniewana, gra na złość, zapala się coraz to bardziej, podwaja stawki; zabrakło złota: gra na kredyt. Przy obliczeniu pokazało się, że dług jęj wynosi 80,000 franków.

„Samaś sobie winna, rzece Wolter drżący od gniewu, zapomniałaś, że grasz z oszustami!”

Słowa te, lubo wyrzeczone półgłosem, dobiegły do uszu sąsiadom. Szmer rozległ się po sali, obecność królowej wstrzymała groźny wybuch. Z ócz sypały się błyskawice, piorun wzbierał nad głową poety; pamiętna scena z księciem Ronhan mogła się być znów powtórzyć. Przestraszona para téjże nocy uciekła z Wersalu. Wolter ukrył się w Sceaux, na dworze księżnej du Maine. Tu przepadł istnie jak kamień w wodzie. Przez dwa miesiące siedział w izdebce na poddaszu; zaryglowano okiennice, pracował przy świecach w dzień biały. Podczas gdy gloszono w Wersalu wyjazd poety do Berlina, on w tém więzieniu zaimprovizowaném, sypał z pod pióra powieści pełne jadu, między innymi utworzył *Zadiga* i *Mikromegasów*. Pani Chatelet tymczasem pośpieszyła do Paryża, sprzedała wieś, by zakończyć sprawę z wierzycielami. Głowy ochłonęły z pierwszego szału, panowie dworscy przyrzekli puścić rzecz w zapomnienie. Wielu z nich czuło niestety, że zarzut oszustwa, rzucony im w oblicze, o ile był zuchwałym, o tyle wspierał się nie na samych tylko domysłach. Roztropność nakazywała milczéć.

Wolter powrócił do Wersalu jak gdyby nic nie zaszło. Chcąc się zabezpieczyć na przyszłość, zawarł najściślejsze przymierze z markizą de Pompadour. Napisał do nięj nową odę, winszuje w nięj tryumfu nad tryumfatorom, życzy dla szczęścia Francyi, aby zwycięzka bohaterka zachowała na zawsze drogą zdobycz. Wiersz ten przebiega z rąk do rąk. Stronnicy królowej przejęci zgrozą, poprzysięgają zemstę zuchwałemu poecie. Trudno im jednak wplątać Maryą do jakichkolwiek intryg. Pobożna królowa, widząc że utraciła bezpowrotnie serce męza, zamknęła się w pełném godności milczeniu, pogoda nie schodziła z jęj oblicza, mimo upokorzeń i tajemnej zgryzoty. Córki królewskie, nienawistne pani Pompadour, ujęły się za matką. One to przedstawiły ojcu skandaliczną sprawę, błagając o wymiar sprawiedliwości. Ludwik uczynił zadosyć woli córek: rozkazuje Wolterowi opuścić niezwłocznie tak Wersal jak i Paryż. Nierozłączona para porzuca wspianiały hotel Lambert, gdzie ledwie założyła rezydencyą, usuwa się najprzód do Cyrey, a następnie do Lunewillu.

III.

Stanisław Leszczyński: porównanie z Henrykiem IV.—Wiersz Frerona.—Dwór króla polskiego.—Wolter i pani de Chatelet w Lunewillu.—Saint Lambert.—Gniew i przebaczenie.—Wiersze do Saint Lamberta.—Wzorowy ład na Dworze.—Alliot.—Zatargi Woltera z intendentem.—Śmierć Markizy de Chatelet.—Rok w Paryżu.—Kłótnie z krytykami.—Umowa z Fryderykiem II.—Wyjazd do Berlina z tytułem szambelana.

Dwór Stanisława Leszczyńskiego słynął polską gościnnością, połączoną z wytwornym smakiem francuzkim. Była to prawdziwa rosa po skwarnej atmosferze Wersalskiej. Dobry król żył otoczony miłością i błogosławieństwem poddanych. Hojną ręką rozsiewał dobrodziejstwa, zatrudniał lud robotą, poprawiał rolnictwo, fundował miłosierne zakłady. Nie mogła Francya znaleźć pośrednika któryby lepiej umiał zagoić rany w sercach Lotaryngów, zniszczonych wojną, pozbawionych bytu: był on dla nich ojcem i opiekunem.

Ktokolwiek z Francuzów zbliżył się do Stanisława, oddaje mu najchlubniejsze świadectwo. Porównywano go z Henrykiem IV, najpopularniejszym królem we Francyi. Przytaczamy na dowód list prezydenta Henault, pisany po kilkodniowym pobycie w Lotaryngii. „Żałujemy nieraz, żeśmy nie widzieli króla Henryka. Jedźmy do Lunewillu do Mallegrange, do Commercy, a zobaczymy go w królu polskim. Rozmowa z nim nadwyzczaj miła. Opowiada mnóstwo ciekawych szczegółów z niestychaną swobodą umysłu i prawdziwym dowcipem. Pogląd jego jasny, sąd sprawiedliwy, wyobraźnia dziwnie ożywiona. Wszystko co mówią o nim potwierdza mnie w mniemaniu, że jak dwie krople wody podobien z dobrym naszym Bearneńczykiem. Niedawno oto dworzanie jeden dawnych książąt Lotaryngii, przedstawia się królowi z prośbą o urząd.

— Jakież pan spełniałeś obowiązki?—zapyta go Stanisław.

— Byłem mistrzem ceremonii.

— To wcale nie dla mnie!—rzecze król—ja nie żądam pokłonów od nikogo.

Znany pisarz ówczesny Freron, tak maluje obraz dobrego króla:

Aby skreślić jak przystało
Dobroczyńcy mego postać,
Apelesem być zamąło,
Farb cudownych zkądże dostać?
Tutaj sława mu skrzydlata
W Marsa wawrzyn skroń oplata,
Muzy wiją bluszcz zielony,
W jaki zwieńczon syn Latony.

Tam cnotliwych pasmem czynów,
 Uszczęśliwia lud dokoła;
 Blask Tytusów, Antoninów,
 Jasno bije z jego czoła.
 Tu znów śladem Encasza
 Umić zwalczyć los złowrogi,
 Wiatr go wściekły nie ustrasza,
 Z domowemi śpieszy bogi
 Tam, gdzie jasną wiedzion gwiazdą,
 Swe królewskie ściele gniazdo.

Kościół chlubi się tym synem:

—Patrzcie! woła na mocarze,
 W nim, odżyli w świętej parze,
 Teodozy z Konstantynem!

Tyle darów!... czyż je zliczę?
 Wziął Stanisław z łaski nieba,
 Iluż mistrzówby potrzeba,
 By odtworzyć to oblicze!

Stanisław Leszczyński lubił budować, świadczą o tém liczne gmachy, któremi ozdobił Nancy, Lunewille i inne rezydencje swoje. Całe poranki spędzał w towarzystwie architektów, inżynierów i rzeźbiarzy. Dochód jego wynosił ledwie 2,040,000 franków, potrzeba było wielkiego ładu administracyjnego, aby wystarczyć na wszystko, co w ciągu trzydziestu lat król nasz wykonał w Lotaryngii. Dwór prowadzony był po królewsku, jak wymagało stanowisko teścia Ludwika XV; mimo to panował tu najwyższy porządek, tak w układzie czasu, jak w wydatkach. Połowa dnia poświęconą była pracy, druga połowa wspólnym przechadzkom, koncertom, grze w karty i sztuce dramatycznej. Na teatrze amatorskim, artyści odgrywali opery i tragedye.

Przybycie uczonej pary ożywiało tém bardziej dwór Stanisława. Wolter oddał chętnie cały swój repertuar na usługi teatru lunewilskiego; zamiłowany w sztuce stał się duszą widowisk, sam przyjmował na siebie role Luzyniana i Katyliny; pani Chatelet występowała w charakterze Zairy i innych bohaterek.

Czas upływał z razu przyjemnie, wśród pracy połączonej z rozrywką, ale na tém niebie bez chmury wezbrała wkrótce burza. Wolter padł jej ofiarą; piorun strzaskał kruchą budowę anormalnego szczęścia, jakiego używał stale od lat czterestu przy *boskiej* Emilii. Zapatrzona w gwiazdy astronomka, obróciła oczy ku ziemi, i w pośród dworzan, spostrzegła pięknego kapitana gwardyi królewskiej, Markiza de St. Lambert. I on był też poetą, a jeżeli talentem nie dorównywał Wolterowi, przewyższał go o wiele, dorodną postawą i urokiem młodzieńczym. Cały dwór lunewilski odkrył bez trudności tajemnicę, przysłoniętą tylko przed Wolterem. Przyszła wreszcie kolęj na niego, łuszcza spadła mu nagle z oczu.

Rzucilibyśmy chętnie zasłonę na te skandale, gdyby w nich nie pokazał się cały charakter poety-filozofa. W pierwszej chwili wścieka się z gniewu, przeklina w pień na czém świat stoi, biega jak szalony wzdłuż i w poprzecz pokoju, rozbija o mur głowę. Co tu czynić? pojedynk z trzydziestoletnim grenadyerm okryje go śmiesznością, postanawia wyjechać. Teżże nocy opuści Lunewill. Boska Emilia nie traci jednak przytomności. Podnosi mnóstwo filozoficznych a nawet matematycznych argumentów, przekonywa niemi Woltera, przyrzeka mu przyjaźń dozgonną. Burza nareszcie zażegnana. „Filozof-poeta, że się wyrazimy słowy jednego z przychylnych mu biografów, znalazł w owém zajściu, wyborny przedmiot do komedyi. Nazajutrz zrymował cały akt, zamieścił go później w Naninie. Przebaczył zdradę zupełną rezygnacją: w kilka dni później, w liście wierszem do prezydenta Henault, opiewa czary lunewilskiego dworu. Co więcej, pisze do St. Lamberta, swobodny wiersz anakreontyczny.

Niechże młodość twa szczęśliwa
Goni życia urok cały,
Twoja ręka różę zrywa:
Dla mnie kolce pozostały.

.....
Ale otóż mrok zapada,
Astronomka schodzi z wieży,
Zrzuca fartuch nie zbyt świeży,
Foliały swoje składa,
I lunety i kompasy,
Z atramentu ręce myje,
Kładzie gazy i atłasy,
Zdobi w perły piękną szyję.

Z wiązką kwiatów idźże do niej,
Niech fujarka twa zadzwoni
Na miłosny ton strojona,
Ton nieznanu u Newtona.

Zimny egoista postanowił wyciągnąć całą korzyść z nowego stanu rzeczy. Stracił miłość boskiej Emilii, ale została mu jęj przyjaźń, w St. Lambercie zaś, znalazł sprzymierzeńca, przeciw pociskom zoilów paryzkich. Pochlebia mu téż bezustannie, mieni go uczniem swoim, posyła wiersze jego Fryderykowi, zaleca go w najchlubniejszy sposób.

Dwór lunewilski niezupełnie jednak odpowiadał Wolterowi. Stanisław zachowywał wprawdzie wszelkie pozory, trudno jednak przypuścić aby pobożny król nie miał w duszy wstrętu do cynicznego filozofa, a w sumieniu słusznych skrupułów. Domownicy królewscy, począwszy od kapelana, zgadywali myśl pańską, i nie taili własnej niechęci. Najzaciętszym wrogiem Woltera był intendent dworu, Alliot, człowiek niepoślakowanej uczciwości, przywiązany szczerze do króla, dbały o cześć i dobro pańskiego domu. Napróżno Wolter chciał

zaskarbić sobie jego względy. Alliot odwracał się ze wstrętem od bezbożnika; pani Alliot większą jeszcze miała w sercu nienawiść. Raz kiedy filozof-poeta był u niej podczas burzy, pokazała mu drzwi z obawy aby obecność bezbożnika nie ściągnęła na dom gromu z niebios.

Alliot jak mówiliśmy utrzymywał na dworze wzorowy ład połączone ze ścisłą oszczędnością. Nikomu tu nie zbywało na niczem, ale nie było także zbytków. Na potrzeby stołu szło 20,000 franków miesięcznie. Wolter skąpy, gdy wydawał pieniądź z własnej kieszeni, w cudzym za to domu grymaśny był, wymagający, trudny do zadowolenia. Odgadł wreszcie złą wolę dworzan i pragnął postawić rzeczy jasno. Pisze więc do Alliota, oznajmia, iż mu niepodobna stósować się do przyjętego trybu, że wymaga obiadu i wieczerzy, w godzinach przez siebie oznaczonych. Posyła list za listem, Alliot nie odpowiada. Zniecierpliwiony poeta odwołuje się do królewskiego sądu. Oto list do Stanisława przełożony dosłownie.

Najjaśniejszy Panie!

Kiedy jesteśmy w raju, udajemy się wprost do Boga. WKMość pozwala mi przebywać na dworze swoim do końca jesieni. Wiadomo, że jestem chory, że ciągłe cierpienia i prace zatrzymują mnie w apartamencie swoim. Błagam więc miłościwego pana, by raczył zalecić swym dworzanom, okazywanie mi względów, odpowiednich godności królewskiego domu. Królowie od czasów Aleksandra Wielkiego, karmili zawsze uczonych, a kiedy Wergili przebywał u Augusta, Allyotus, nadworny intendent, obdarzał Wergilego chlebem, winem i świecą. Jestem chory, nié mam ani wina, ni chléba, ni obiadu.

Król odesłał list Alliotowi. Oto odpowiedź intendenta.

„Jadasz pan obiad u siebie, masz polewkę, chléb, wino i mięso; nie brak ci świec ani drzewa na opał, jednak najniestuszniej rozpościeraszkargi przed królem. JKMość oddał mi list pański. Mamy tu przepisy, których trzymać się koniecznie potrzeba. Bez mego kwitu, najmniejsza rzecz nie wychodzi ze spiżarni ani piwnicy. Mozół wielki, lecz to nie należy do pana, byle mu na niczém nie zbywało.

„Przykre mi te zatargi. Sądzę, że pan sam uznasz ich niewłaściwość. Byłeś pan traktowany przyzwoicie, dawny tryb w niczém się nie odmieni.

„Zaprzeczam panu, by Alliotus intendent Cezara, dawał chléb i wino Wergilemu. Co do mnie, czynię to dla pana Woltera, bo to człowiek ubogi, Wergili zaś możnym był panem, miał u siebie stół wytworny, zapraszał do niego przyjaciół. Lecz nie mieszejmy czasów. Wergili zresztą pracował dla przyjemności własnej i dla chwały swojego wieku, gdy tymczasem pan Wolter pracuje z koniecznej potrzeby. To tóż dla przyzwoitości ofiarujemy jednemu to, czegoby drugiemu nikt się ofiarować nie poważył, z obawy by mu nie odmówiono.”

Owa korespondencya pozostała w archiwach. Oprócz tego czytamy w broszurze współczesnej, jakoby cała ta sprawa ułożoną była

między królem a intendentem. Leszczyński znudzony gościem swoim, żądał aby Alliot pozbył go się w jakikolwiekby sposób. Zagadniony dworzanin pomyślał chwilę, nareszcie rzekł z uśmiechem:

*Hoc genus demoniorum non ejecitur, nisi in oratione aut jejuni-
nio.* Tu modlitwa sama nie pomoże.

— Niechże więc pości, rzekł Stanisław.—Kronika dodaje, że Wolter tegoż dnia opuścił Lunewil.

Z drugiej strony wiadomo, że filozof poeta przebywał na dworze do jesieni; oddalenie musiało być tylko chwilowém. Wypędziła go ztąd ostatecznie, przygoda prawdziwie tragiczna: śmierć *boskiej* Emilii.

Przy ciepłych jeszcze jęj zwłokach, widzimy razem Woltera, Saint Lamberta i markiza du Chatelet. Męża wyprowadzono gwałtem, Wolter zczołgał się ze schodów, padł na bruk, rozbijał ziemię głową.

— Twoja to sprawa! tyś ją zabił!—wołał ujrzawszy nadchodzącego St. Lamberta.—Wkrótce jednak do smutnego dramatu wplótł się dość komiczny epizod. Wolter przyszedłszy do siebie, żądał aby mu oddano pierścień kornalinowy, otoczony brylantami, który *boska* Emilia nosiła zawsze na palcu. Pod oczkiem ukryty był portrecik długoletniego towarzysza. Przynoszą mu pierścionek, niestety! ów portrecik ustąpił miejsca innemu!

„Oj kobiety! kobiety! zawołał znieważony przyjaciel, składając ręce rozpaczliwie, wyrzuciłem ztąd Richelieugo, St. Lambert mnie wysadził! Klin wybija się klinem, tak to idą rzeczy na świecie!”

Król Stanisław wyprawił świetny pogrzeb uczonej Emilii. Zwłoki jęj pochowano w Lnnewillu w kościele *du bon Secours*, gdzie dotąd widzieć można tablicę marmurową. Wolter z panem du Chatelet wyjechał do Cyrey, zabrał ztąd swoje sprzęty, posągi, książki i obrazy; udał się do Paryża. Miał wtedy lat pięćdziesiąt pięć. Złamany na siłach, czując potrzebę nieustannęj opieki, powierzył zarząd domu pani Denis, rodzonej siostrzenicy, która przez lat trzydzieści miała być jego nieodstępna prawie towarzyszką.

Śmierć pani du Chatelet przysłała na rękę Fryderykowi II. Od dawna już, tak zwany Salomon północy, postanowił uświetnić dwór swój, obecnością słynnego pisarza, z którym łączyła go wspólna nienawiść ku *zabobonnym przesądom*, jak obaj mienili wszelkie religijne tradycje. Król pisze list za listem, Wolter odwłóczy wyjazd, chcąc wytargować jak najkorzystniejsze warunki. Rok blisko przepędził w Paryżu, wśród walk najzaciętszych z krytykami. Na czele ich był Freron, „istny smok z rozwartą paszczą, stojący wiecznie na straży, u wrót hesperyjskich ogrodów,” jak mówi sam o sobie. Nieprześlągany ten wróg ścigał na każdym kroku filozofa-poetę; nie przepuścił mu żadnego plagiatu, żadnej usterki przeciw formie: surowiej jeszcze odpiera on zuchwałe sofizmata, bluźniercze pociski na wszystko co świat uszanował. Wolter kłóci się ze wszystkimi. Solą mu w oku sława starego Krobillona, który po Kornelu i Rassynie trzyma jeszcze palmę w tragedyi. Pod okiem zgrzybiałego starca przerabia jego Se-

miramidę, Elektry i Katylinę, przemieniając ledwie tytuły dwóch ostatnich sztuk, na *Orestesa* i *Upadek Rzymu*. Wścieka się z gniewu, kiedy po przedstawieniu Semiramidy, komicy włoscy występują ze złośliwą parodią. Pisze do królowej, domaga się sprawiedliwości, ale minęły czasy kiedy Marya Leszczyńska okazywała względy Wolterowi, w mniemaniu że jeszcze tak nie upadł, aby nie zdołał się podźwignąć. Królowa widzi w nim bezbożnika, autora skandalicznych powieści i paszkwilów; odmawia wręcz opieki, oznajmiając że nie miesza się wcale do teatru.

Fryderyk tymczasem nalega coraz silniej, ofiaruje pocie godność szambelana z pensją 20,000 franków. Szło jeszcze o koszta podróży. Po długich rokowaniach Wolter wyjechał nakoniec do Berlina.

IV.

Poufny dwór Fryderyka II w Sans-Soucy.—Markiz d'Argens, La Mettrie, Chassot, hr. Algarotti: bracia Keith, baron Polnitz.—Wolter u dworu.—Wieczery królewskie: szalone orgie umysłowe.—Apolo zstępuje z Empireum.—Gieldowe spekulacje.—Skandaliczne sprawy.—Tantal w procesie, farsa dramatyczna Fryderyka.—Maupertius.—Paszkwil doktor Akakia.—Auto da fé.—Rozstanie.—Wolter w Lipsku.—Druga część doktora Akakii.—Przygody frankfurckie.—Miesiąc pod ścisłą strażą.—Pobyt w Alzacji.—Delices nad Lemanem.—Udział w pracach encyklopedystów.—L'Orphelin de Chine: apoteoza deizmu.—Trzęsienie ziemi w Lizbonie; poemat pesymistyczny.—Rousseau obrońca Opatrzności.—Wojna Francyi z Fryderykiem.—Kłęska Francuzów pod Rosbach.—Wiersze Woltera na cześć króla pruskiego.—Projekt zamieszkania w Lotaryngii.

Poufny dwór filozofa z Sans-Soucy, jak nazywał siebie Fryderyk, był ostoją awanturników i bannitów, zbiegłych tu z Francyi, Włoch i Anglii. Oprócz samego tylko Maupertiusa, prezydenta akademii Berlińskiej, którego matematyczne obliczenia i dalekie podróże przyczyniły się rzeczywiście do postępu ówczesnych nauk, cała ta plejada składała się raczej z błyszczących meteorów niżeli z gwiazd istotnym promieniejących światłem. Był tam markiz francuzki d'Argens, prowańczyk z głową wulkaniczną, zuchwały do szaleństwa, słynny zarówno z rycerskich spraw nad Renem, jak z miłosnych przygód w haremach Algeru i Konstantynopola, autor cynicznych powieści i filozoficznych polemik. Był tam doktor L'Mettrie, bretończyk, protoplasta dzisiejszych Haecklów i Büchnerów, który badał (i odkrył jak twierdzi) tajemnicę życia ludzkiego. Wgnany z Belgii, za szyderstwo rzucone na fakultet lekarski, schronił się pod skrzydła Fryderyka, i błaznował na wyścigi z innymi. Przebywał tam kawaler Chassot, ulubieniec królewski, który miał szczęście zastąpić króla nad Renem od pocisku Austryaków, gdy tu był jeszcze następcą tronu, a później wygrał z nim koncerta na flotrowersie.

Obok Francuzów błyszczał wytrawnym polorem, Wenecyanin hr. Algarotti, sceptyk, samolub, ale dziwnie giętki i układny, wyćwiczony w obrotach dworskich. Wielką Brytanią reprezentowali dwaj bracia Keith, wygnani z ojczyzny, jako stronnicy Jakóba Stuarta. Jedyny Niemiec zabłąkał się w to kosmopolityczne grono; był nim baron Polnitz, który szukając długo szczęścia na różnych dworach a szczególniej francuzkim, zatarł w sobie do szczeru cechę germańską, tak wstrętną królowi pruskiemu.

Wolter za przybyciem do Sans-Soucy, zajaśniał w tój plejadzie, i blaskiem swoim przyćmił wszystkie te błędne gwiazdy z wyjątkiem uczonego Maupertiusa. Król na cześć jego uorganizował teatr dworski; księżniczki grały na wyścigi role Zairy i Meropy, poeta występował sam, deklamował z niesłychaną werwą, rolę Luzyńskiego.

Pałac w Sans-Soucy, to istny Wersal w miniaturze, cokolwiek tylko zimniejszy i sztywniejszy od tamtego. Biblioteka składała się z samych książek francuzkich, na czele jój pomieszczone dzieła autora Henryady. Przeznaczony mu pokój, wygląda bardzo świetnie, na kominie błyszczy zegar ofiarowany królowi przez panią de Pompadour, wielki stół do pisania, pokryty aksamitem błękitnym, drzwi szklane wychodzą na taras, pełen kwiatów.

Tu poeta spędza dnie całe z piórem w ręku. Wiecznie chory, niby umierający, droży się, wymawia od obiadów królewskich. „Za wiele tam książąt i generałów, z pogardą pisze w liście do przyjaciela.” Obowiązki jego nie nazbyt uciążliwe: „poświęcam godzinę na zaokrąglanie jego dzieł; jestem gramatykiem nie szambelanem. Łataw wiersze i prozę królewską.”

Kończyła dzień wspólna wieczera: wszystkie meteory zbierały się u stołu. Ktokolwiek był w Sans-Soucy widział tam w niewielkiej sali, okrąży stół na dziesięć lub dwanaście osób, i otwór w posadze, przez który niewidzialna służba, aby nie mącić harmonii, wpuszczała półmiski i talerze. W murach tój sali, słowa rozlegały się jak płomieniste race. Król zaprzeczał każdemu, przez co podsycał wiecznie ogień. Rozprawiano o moralności, o filozofii, o historyi. W tych szalonych orgiach umysłowych, sypały się z ust najdziwniejsze paradoksy, najzuchwalsze sofizmata. Burzono wszystkie podwaliny porządku społecznego; gorączkowy szal mącił zmysły.

Wolter znalazł się tu w właściwym sobie żywiole, a przecież niedostawało mu czegoś, może zaufania w trwałość królewskich względów. List jego do siostrzenicy, pisany wkrótce po przyjeździe, okazuje ukrytą jakąś bojaźń.

„Grano w Poczdamie *Śmierć Cezara*, wybornie się bawimy... ale... Wieczere królewskie rozkoszne, prawimy o literaturze, o nauce, o sztukach; panuje tu swoboda zupełna, król sam duszą wszystkiego; zawsze wesół, czoło bez chmury, przynajmniej bez burz i piorunów. Jam wolny, wciąż zajęty, ale... ale... Opery, komedye, karuzele, manewra wojskowe, koncerta, odczyty... ale... Berlin wielkie mia-

sto, ulice szersze niż w Paryżu; pałace: teatra! Królowe uprzejme, księżniczki piękne, panie dworskie dorodne, zebrania liczne aż do zbytku... ale... ale... „Moje dziecię, czas pogodny lecz trochę mroźny!”

Wkrótce drobne chmurki przebiegać zaczęły po widnokręgu, powodem ich były wymagania poety i znane skąpstwo Fryderyka. Wolter w umowie z królem, określił jasno żądania swoje: obliczył ile funtów świec, kawy i cukru odbierać ma na miesiąc. Przynoszono mu obiad dostateczny na kilka osób, miał więc prawo zapraszać gości i karmić ich tém, co mu przypadło w udziale. Wprawdzie nie ujęto mu nic, ale z każdym miesiącem wydawano gorszy cukier i pośledniejszą kawę. Szambelan użala się przed królem, Fryderyk zbywa rzecz żartobliwie.

— Czyż wypada aby wielki Wolter zajmował się takimi drobnostkami? Nie mówmy więcj o tém—i dla spokojności usuwa cukier i kawę.

Jeśli te zatargi dobiegły ucha Alliota, jakże intendent lunewilski musiał z nich tryumfować!

Trzebaż było tyle nudów i upokorzeń, okupić przynajmniej materialnym zyskiem. „Apollo zstąpił z Empireum,” jak rzekł złośliwie Fryderyk. Wolter płacze się w giełdowe spekulacye. W Saksonii pod opieką Augusta III założył bank, sławny w swych czasach *Stajer*. Bank ten wypuścił w kurs tak wielką moc biletów, że wartość ich spadła o połowę. Gdy król pruski zajął przemocą Drezno, narzucił za warunek, że każdy Prusak, okaziciel tychże papierów, wymieni je *al pari* na brzęczącą monetę. Ztąd powstały niezliczone matactwa. Speculanci pruscy wykupywali zabezpiecen te papiery po miastach niemieckich i holenderskich. Tak wielkie wynikły ztąd nadużycia, że na prośbę Saksonii, król pruski zabronił tego rodzaju frymarki. Obroty jednak toczyły się pokątnie; Wolter przyjął w nich udział. Powierzył Abrahamowi Hirschell kilkadziesiąt tysięcy franków na tę nieczystą spekulacyą; aby zmusić go do milczenia, wziął od niego w zastaw brylanty wielkiej wartości. Nie będziemy wchodzić w szczegóły tej zawikłanej sprawy. Oskarżono Woltera o sfalszowanie kwitu. Fryderyk widzieć go nie chciał, dopóki się rzecz nie wyświeci. Na zapytanie siostry margrabiny z Bejruth, odpowiada w sposób haniebny dla poety:

„Oszust chciał wyprowadzić w pole filuta. Godziż się by człowiek rozumny tak nadużywał zdolności swoich? Sprawa poszła do sądu; za kilka dni wyrok da poznać, kto z nich oszustem. Wolter uniósł się, rzucił na żyda, postąpił jak szaleniec. Zmyję mu dobrze głowę.”

Król spełnił co przyrzekł. W kilka dni napisał do Woltera; po najdotkliwszych zarzutach, kończy list temi słowy:

„Żyłem spokojnie w domu moim, do chwili przyjazdu pańskiego. Ostrzegam więc, jeśli trudno mu wytrwać bez intryg i bez kabał, miejsce jego nie tutaj. Nie cierpię gwałtownych tragedyi” i t. d.

Wolter przyciśnięty do ściany ułożył się z Herschlem; wyliczył mu tysiąc talarów. Piszę potem najpokorniej do króla: „Panie! poświęciłem ci życie moje, czyni ze mną co chcesz. Dałem znać siostrze W. K. Mości, że brat Wolter siedzi na pokucie. Miał litosć nad bratem Wolterem!”

„Pozwalam panu przyjechać, odpowiada król, byleby nie sły-
szał nic o żadnym procesie. Dość już tych kłótni. Takie zajścia za-
wsze ściągają hańbę. Całym blaskiem geniuszu nie pokryjesz plam,
które przyniosłyby w końcu uszczerbek pańskiej reputacji.”

Nastąpił pokój. Fryderyk jednak nie wypuścił oręza, Napisał
złośliwą farsę *Tantal w procesie*; zchłostał w niej bez litości Woltera.
Grano tę farsę po domach prywatnych; słynny komik berliński prze-
drzeźniał wybornie poetę. Autor zastąpił się pseudonimem; po śmierci
ci Fryderyka znaleziono rękopis skreślony jego ręką.

Listy pozostałe w archiwach berlińskich świadczą aż nazbyt ja-
sno, że skandaliczna ta sprawa nie była prostym wymysłem nieprzy-
jaciół. Biograf przychylny Wolterowi (*Denoireterre*), niemógł prze-
milczeć o niej. Całą obronę pomieścił w kilku paradoksalnych sło-
wach: „Wolter był synem Regencyi: nie można sądzić moralności ów-
czesnej na miarę sumienia dzisiejszego.” Haniebny to policzek wy-
mierzony w oblicze XVIII wieku. Nie myślimy bronić tego wieku
gwałtów, bezprawi i piekielnych spoliacy, godził się jednak usprawie-
dliwić zgorzenie brakiem moralnych pojęć, jak gdyby słońce prawdy
nie miało kiedykolwiek oświecać śmień ludzkich?

Pociski sypały się gradem na Woltera. Berlin nie cierpi go, wi-
dzi w nim burzyciela porządku, pragnie pozbyć się go czempredzėj.
Król samolub udaje same względy, potrzebuje go jeszcze na rok, wy-
kończa właśnie Brandeburskie pamiętniki, chce zostawić w nich nie-
śmiertelny pomnik, jak Cezar w sławnych komentarzach. Potrzebuje
do tój pracy, ręki zwołanego mistrza: „wycisnę pomarańczę, mówi do
zaufanych, a łupinę rzucę na śmieci!” Powtórzono to Wolterowi. Fi-
lozof połknął gorycz, tymczasem w listach do przyjaciół wystawia
czary berlińskiego dworu. „Mieszkam najwytworniej, u stołu mam
dwie królowe, na lewo i na prawo; lecz nie często przebywam z niemi,
wolę być sam na sam z moim Ludwikiem XIV.”

Ale otóż i ów Ludwik XIV staje się powodem niezliczonych
utrapień. Jeszcze go autor nie wykończył, a już dowiaduje się o dwóch
wydaniach w Frankfurcie nad Odrą i w Wrocławiu. Wynikają ztąd
nowe zatargi, kłótnie i procesa.

Maupertius, jak mówiliśmy, był prawdziwą chlubą akademii
Berlińskiej. Imię uczonego męża chlubnie brzmiało po świecie, od pa-
miętnej wyprawy jego w lody podbiegunowe podczas gdy La Conda-
mine zwiedzał podzwrotnikowe strefy. Zgodne wyniki prac obu uczo-
nych, pozwoliły określić kształt kuli ziemskiej i zamienić w pewnik hi-
potezę, jako ziemia spłaszczoną jest przy biegunach. Sława Mauper-
tiusa była dla Woltera prawdziwą solą w oku. Panował on werwą

i dowcipem u stołu królewskiego, lecz w akademii górował nad nim Maupertius. Religijne zasady wielkiego matematyka, budziły też nienawiść w filozofie, który w imię czystego rozumu burzył wszelkie tradycje i pragnął do gruntu podkopać chrześcijaństwo. Wolter nie przebaczał Maupertiusowi że jako nieodrodny Breton, chodził na mszę w niedzielę do kościoła, że rano i wieczorem odmawiał co dnia pacierz na kolanach, że w zarysach kosmogonicznych śmiało utrzymywał, iż potęgą Boga wyższa nad siłę stworzonej przez Niego przyrody.

Między koryfeuszami dwóch przeciwnych obozów, rozpoczęła się polemika, z razu najeżona drobnymi żądawkami, potem coraz ostrzejsza i gwałtowniejsza. Ostatnim jej wynikiem stał się sławny dyatryb: *Doktor Akakia*, paszkwil pelen szatańskiej złośliwości. Wolter, mieniający się *teologiem belzebuba*, chwytając w kleszcze ofiarę swoją, pastwi się nad nią w nieludzki sposób, usiłując zetrzeć ją w proch, bronią sarkazmu wystawiać na pośmiewisko całej uczonej Europy. Intrygą i podstępem otrzymuje mandat króla, na drukowanie jakiegoś pamfletu; oszukuje wydawcę, zamiast pozwolonej broszury, ogłasza drukiem *Akakie*. Łatwo pojąć gniew Fryderyka; objawia go piorunującym listem: „jeżeli, pisze, genialne zdolności dają ci prawo do posągów, postępowaniem zasługujesz na kajdany.”

Wolter wyprzysięga się wszystkiego, krzyczy na potwarz, błaga o sprawiedliwość. Przyciśnięty do muru wyznaniem wydawców, podpisuje haniebny cyrograf, według formuły skreślonej ręką króla: „przyrzekam W. Królewskiej Mości, że dopóki raczy mieścić mnie w swym pałacu, nie poważę się pisać na nikogo, ani na rząd francuzki, ani na ministrów, ani też na uczonych: dla wszystkich zachowam względy. Postępować będę z całą przyzwoitością literata i szambelana W. Królewskiej Mości.”

Król składa cyrograf w ręce złożonego chorobą Maupertiusa, poczem w obecności Woltera pali w własnym pokoju zebrane egzemplarze skandalicznej broszury. Gdy się to dzieje w Poczdamie, Berlin chciwie czyta doktora Akakie, pamflet przebiega z rąk do rąk. Niemcy zawistni uczonemu francuzowi, przyklaskują satyrycznym pociskom.

Wolter drży, czuje nad głową zawieszony miecz Damoklesa. Nadrabia miną, lecz zaczyna przemyślać o odwrocie; pod tém wrażeniem pisze do siostrzenicy:

„Ponieważ nie mam na zawołanie stu pięćdziesięciu tysięcy karabinów, nie zabieram się wcale do wojny, myślę tylko jakby uczciwie zdezerterować i zapomnieć przy was tych trzyletnich utrapień: pomarańcza do kropli wyciśnięta, ocalmy choćby skórkę.”

Fryderyk dowiaduje się wreszcie, że paszkwil obiega całe miasto: wpada w szalony gniew, rozkazuje pościągać egzemplarze, spalić je na rynku, publicznie ręką kata. Wolter przybył właśnie do Poczdamu, nie wiedząc o niczem; z okien hotelu patrzył na *auto da fé*. Wieczorem król napisał uprzejmy list do Maupertiusa, posłał mu orzeźwiający

proszek: był to popiół ze spalonej broszury. Tegoż dnia w dzienniku urzędowym ogłoszono, że twórca Henryady jest tajemnym jej autorem.

Zniewaga ta dobodła Woltera do żywego. Pisze do siostrzenicy: „odesłałem na kolędzie Salomonowi północy, czapkę z dzwonekami i błazeńskie berło, bodajbym ich był nigdy nie przyjmował. Do tego dołączyłem list pełen poszanowania. Czy zgadniesz co uczynił? Odesłał mi napowrót te rupiecie!”. Mowa tu o krzyżu i kluczu szambelańskim.

Król rad był zatrzymać u boku filozofa-poetę, który przez trzy lata złośliwym dowcipem, ożywiał wieczorne uczyty w Sans-Soucy. Rzeczy jednak zaszyły tak daleko, że Wolter mimo całej giętkości karku, nie mógł znieść dłużej nazbyt ciężkiego jarzma. Nastąpiło wreszcie pożegnanie: po gorących oświadczeniach z obu stron, rozstali się dwaj przyjaciele złączeni tak ścisłą jednością myśli i celów. Wolter opuścił Poczdam, zatrzymał się w Lipsku. Tu, rozwiązany z wszelkich względów, nakreślił płomienistym piórem drugą część doktora Akakii, nowy paszkwil skandaliczniejszy jeszcze od pierwszego, poczem puścił się w drogę do Frankfurtu.

Zaledwie że stanął w wolnym mieście, komisarz króla pruskiego, baron Frejtag przybiega do hotelu, żąda zwrotu szambelańskiego klucza, krzyża i tomu poezyi królewskich. Klucz i krzyż odbiera natychmiast, tom poezyi został w Lipsku. Frejtag trzyma Woltera pod ścisłą strażą; wyprawia gońca do Lipska po książkę, do której król przywiązuje tak wiele wagi. Między innymi był w niej poemat *Palladium*, złośliwy paszkwil na wszystkie głowy ukoronowane. Książka ta, drukowana tajemnie w pokoju królewskim, w kilku zaledwie egzemplarzach, mogła wplątać Prusy w wojnę europejską. Król bądź co bądź, rozkazał wydrzeć ją z rąk Woltera. Więziony przez dni trzydzieści sześć, wystawiony na najsrozsze obelgi, drogo poeta opłacił trzyletni pobyt na dworze Salomona północy! W ciągu tych lat, pod wpływem duszącej atmosfery berlińskiej, wykończył zaledwie dawno zaczęte dzieło historyczne: wiek Ludwika XIV, i utworzył poemat *Religia naturalna*.

Pragnął Wolter zamieszkać w Paryżu a przynajmniej we Francji, lecz napotkał niezwykłą trudność. Naprózno rozpisuje listy do potężnych przyjaciół, do pani de Pompadour, do księcia Richelieu. Król rozgniewany, królowa zgorzonna, nie myśląc mu nawet o powrocie. Poeta rad nie rad zatrzymuje się w Alzacy, w razie niebezpieczeństwa, łątwo szukać schronienia poza Renem. A oto nadchodzi Wielkanoc, pora skruchy i zadosyćczynienia. W Kolmar Wolter spowiada się przykładownie, w Wielki Czwartek przystępuje do stołu Pańskiego. Komedia obliczona na efekt: wieść o tem przebiegnie do Lunewillu, król Stanisław prześle ją pobożnej córce, droga do powrotu uściele się powoli.

Któżby śmiał w tym akcie religijnym dopatrywać obłudy? ale czyż nie świadczą o niej poufne listy Woltera? „Gdybym miał sto ty-

cięcy ludzi, wiem cobym uczynił, pisze do przyjaciół, nie mając ich od-
będę spowiedź! Wolno wam nazwać mnie hipokrytą!”

Z Kolmar spieszy w Wogezy, zamyka się w opatwie Senones. „Zostałem na cały miesiąc mnichem benedyktynem, krewnym donosi. Zdziwiony Paryż dalejże głosić wieści o nawróceniu. „Uczony benedyktyn dom Calmet, złamał ten pyszny umysł,” mówią jedni do drugich. Wolter tymczasem, otwierając pole domyśłom, wertuje bogatą bibliotekę klasztorną. „Zostawiam na boku jutrznię i nieszpory, pisze do zaufanych osób, a zwykłym podstępem wojennym, szukam kul i prochu w nieprzyjacielskim arsenale, bym mógł niemi nabijać moje działa.” Jakoż z pustelni Senońskiej posyła d'Alembertowi artykuły do rozpoczętej właśnie Encyklopedyi.

Ostre pióro Woltera zanadto było znane, odgadnięto lwa po pazurach. Udział w pracach encyklopedystów zatamował mu drogę do powrotu. Poeta oddaje za wygraną. Osiada w Szwajcaryi przy mieście Lauzannie. Nabywa śliczny pałacyk letni Delices nad błękitnym Lemaniem. Tu z siostrzenicą panią Denis urządza sobie wytworną siedzibę „zrzuca wtedy maskę z oblicza, nie ogląda się na nic. Drukuje cyniczną Joannę d'Arc, rozsyła ją po całej Francyi. Przedstawia w teatrze francuzkim nową tragedya *l'Orphelin de Chine*, apologią deizmu. Paryż przyklaskuje, Wersal domaga się sztuki. Napróżno Marya Leszczyńska stawia najsilniejszy opór; wola pani Pompadour przeważyła, odegrano u dworu bezbożną tragedya.

Królowa Marya walczy przecież jak może przeciw Wolterowi. Razu jednego, wchodząc do kościoła spostrzega na straganie egzemplarz *Religii Naturalnej*. Z oburzeniem rozdziera broszurę, zabrania surowo jój sprzedaży. Równy opór napotyka poeta ze strony surowych protestantów tak w Genewie jak i w Lauzannie.

W tych czasach straszliwa klęska zaciężyła nad Europą. Trzęsienie ziemi powaliło w gruzy Lizbonę. Odkąd Pompea i Herkulanum znikły pod popiołami Wezuwiuszu, świat nie widział podobnej katastrofy. Przerażony Wolter chwytą pióro, jaskrawo maluje klęskę nieszczęśliwego miasta. Słynny ten poemat, pod względem formy uważany za arcydzieło, ale natchniony pesymizmem, oburza serca wiernych. Ten wykrzyk rozpaczliwy, przeciw wyrokom Bożym, spowodował żywą polemikę. W liczbie antagonistów wystąpił J. J. Rousseau, wszakże odezwa jego pełna poszanowania, jeszcze nie zapowiada przyszłych zapasów, między dwoma koryfeuszami. Rousseau nieznany dotąd Wolterowi, odczytawszy poemat pisze do autora, występuje gorąco w obronie Opatrzności.

„Pozwól pan, dodaje w końcu, pokazać mi całą sprzeczność istniejącą pomiędzy nami dwoma. Syty chwały, wyleczony z próżnych ułud, żyjesz swobodny wśród dostatków, pewien nieśmiertelności. Filozofujesz spokojnie o naturze i prawach duszy ludzkiej. Jeżeli niekiedy cierpi twoje ciało, jeśli boleje serce, znajdujesz ulgę w radzie lekarza i przyjaciela. A przecież samo złe widzisz tylko na ziemi. Ja zaś człowiek

nieznany, ubogi, dręczony nieuleczonym bólem, rozmyślam słodko w mém ukryciu, i wszędzie widzę dobro samo. Zkąd ta pozorna sprzeczność? Ty używasz, ja mam nadzieję, a nadzieja wszystko ożywia i upiększa."

Rousseau szczerem był gdy to pisał. Dziwnaż to jednak chwiejność ludzkiego serca, gdy ugania fantastyczne ideały! Ten gorący rzecznik Opatrzności, miałci zostać kiedyś samobójcą?

Na inny ton przemawia Wolter do filozofa genewskiego, z powodu rozprawy jego o *porządkach nierówności pomiędzy ludźmi*. „Ileż tu kolców i dotkliwych żądańek.

„Podobasz się ludziom, mówiąc im w oczy prawdę, ale ich nie poprawisz. Trudno odmalować żywszym kolorytem całej szkarady społeczeństwa ludzkiego, od którego niewiadomość nasza, spodziewa się tylu pociech. Nikt jeszcze nie umiał z takim rozumem wmawiać w nas korzyść stanu bydłęcego. Czytając cię radbym doprawdy pochodzić na czworakach, ponieważ jednak od lat sześćdziesięciu zatraciłem ten zwyczaj, widzę niestety że do niego już nie powrócę. Zostawmy tę naturalną postawę istotom godniejszym od nas obu."

Do tych gorzkich sarkazmów dorzuca wreszcie kroplę miodu: zaprasza Roussa do willei swojej nad Lemanem. Rousseau nie odpowiedział na wezwanie. Przybywa za to d'Alembert. W ciągu pięciu tygodni, obaj z Wolterem układają strategiczne plany, ostrzą oręż do walki z Kościołem. Celem ich, podkopać do gruntu chrześcjanizm, oswobodzić jak mówią umysły z zabobonów, zniszczyć wszelką tradycją religijną. Trudno im jednak walczyć wstępny bojem, muszą działać podstępnie, aby nie zrażać protestantów genewskich, lecz wciągnąć ich do spisku. Dokonali tego pochlebstwem. Tak w Genewie jak i w Lauzannie, Wolter zwerbował cały szereg pracowników pod sztandar Encyklopedyi.

Obok téj wojny, tak płodnej w dalsze następstwo, inna chmura wzbierała na widnokręgu. Europa podejrzliwém okiem patrzy na tajemne działania króla pruskiego, dla którego jedyném prawem interes osobisty. Francya łączy się ściśle z Cesarstwem, dwór wysławia Maryą Teresę. „Bądź co bądź, przy mnie wygrana, pisze Wolter do Richelieugo, jeżeli Fryderyk okryje się chwałą, świat usprawiedliwi mnie zem mu sprzyjał; jeżeli go pobiją, będę pomszczony za Frankfurt. Wartoby zresztą poskromić tego pyszałka. Szydzi oto z Francyi, że wyprawia na niego 80,000 perukarczyków. Niechże go cheszają! Ja nie mieszam się do niczego, moi teatralni bohaterowie zajmują mnie wyłącznie."

Tragedye nie pochłaniały jednak zupełnie, tego badawczego umysłu. Wolter wpadł na myśl wznowienia w przyszłej wojnie assyryjskich wozów używanych w starożytności ¹⁾. Uderzony tą myślą ka-

1) Pomysł fortyfikacyi lotnych, wziął Wolter po prostu od Vaubana, który usiłował wkrzescić i do ówczesnego stanu taktyki zastosować tabory hu-

że wykonać model, posyła go Richelieu. „Wcz książkę tę rzecz na uwagę, pisze z naleganiem. Wiem że nie do mnie należy, uczyć was jak zabijać ludzi w najłatwiejszy sposób. Śmieszny jestem, to prawda, ale przecież skoro mnich mieszaniną saletry, siarki i węgla, zmienił sztukę wojenną, na tój szkaradnej kuli ziemskiej, czemużby bazgracz papieru jak ja, nie miał incognito oddać wam maleńkiej posługi?”

Richelieu odrzucił projekt. Francya z Anglią i bez wozów assyryjskich pokonała w Czechach Fryderyka, zmusiła go do odwrotu od obleżonej Pragi. Wolter skakał z radości zasłyszawszy o klęsce pod Kollinem. Wkrótce jednak zawiązał z królem pruskim nową korespondencyę. Wspólna nienawiść ku religii łączyła ich nierozzerwanym węzłem. Stosunków tych nie przerwały późniejsze klęski Francyi. Wolter prozą i wierszem opiewa zwycięztwa Fryderyka.

„Najjaśniejszy Panie, pisze w liście z r. 1757, ilekroć odzywam się do W. Królewskiej Mości, drzę przed nim jak pułki nasze pod Rosbach!”

W cynicznym wierszu, którego powtórzyć tu niepodobna, wyszydza nielitościwie pokonanych i zmuszonych do uciezki Francuzów.

— Dziękuję ci, odpisuje Fryderyk, za udział jaki bierzesz w szczęśliwych wypadkach, którym zawdzięczam moje ocalenie.

Inaczej przemawia poeta do królu pruskim, w liście do Choiseula. „Luc ¹⁾, to łotr wierutny (*un vanrien*), ale godziź nam się niszczyć go

syckie z XIV wieku, używane także i u nas, do czasów Sobieskiego. Pomimo wielkiej władzy jaką miał Vauban, rutyna okazała się od niego silniejszą. Myśl ruchomych fortyfikacyi poszła w zupełne zaniedbanie, w ostatnich dopiero czasach podniósł ją na nowo Mierosławski. On to postanowił rozwiązać trudny problemat fortyfikacyi przenośnych, niezbędnych, według niego, do zrównoważenia dzisiejszych warunków taktyki, które w obec nicustającego wydoskonalenia wszelkiej broni, szczególnież artyleryi, niweczą zupełnie upowszechnione dotąd teorye.

Celem Mierosławskiego w projektowanych przezeń wozach i tornistrach, do których przytém wynaleziony był specjalny karabin, jest zasłonięcie żołnierza w bitwie od morderczych skutków dalekonośnych i szybko strzelających armat i karabinów dzisiejszych.

Kilka modeli ruchomych blockhausów Mierosławskiego, kazała wykonać pod okiem i dyrekcyą wynalazcy, municypalność miasta Lyonu, w r. 1870. Ówczesne ministeryum wojny nakazało seryą doświadczeń, delegując *ad hoc* oddział wojska, składający się ze wszystkich broni. Rozpoczęto naprzód doświadczenia z samymi tornistrami, w obec delegowanych przez ministra oficerów, którzy złożyli obszerny raport, przychylny wynalazkowi. W chwili kiedy przyszła kolej na próby z blockhausami w całym ich komplecie, nastąpiło zawieszenie broni, a wkrótce potem i podpisanie pokoju. W skutek tego, wozy i tornistry Mierosławskiego, zaciśnięte w kąm magazynów wojskowych w Lyonie, do dziś dnia odłogiem spoczywają.

1) Od sprawy frankfurckiej, Wolter w poufnych listach do przyjaciół zowie króla pruskiego *Luc*, był to grubijański anagram.

z własną krzywdą, skoro prędzej czy później, może nam być potrzebny?”

Pobyt w Szwajcaryi coraz bardziej ciężył Wolterowi, tęsknił on do ruchu i gwaru paryzkiego. Widząc że nie przebije muru głową, pragnął przynajmniej zamieszkać w Lotaryngii. W tym celu wszedł w korespondencyą z księdzem Menoux kapelanem króla Stanisława. W listach księdza Betinelli znanego poety włoskiego, obecnego podówczas w Lunewillu, znajdujemy szczegóły dotyczące się owych zabiegów.

„Dnia jednego, mówi Betinelli, w obec króla polskiego, zaczęto mówić o Wolterze. Pisał on właśnie do króla Stanisława, że ma 500,000 liwrów, że pragnie użyć ich na zakupienie posiadłości w Lotaryngii, aby zakończyć dnie pod okiem swego Marka Aureliusza. W innym liście do księdza Menoux, wyraża się temi słowy: „mój wiek i uczucia religijne, które nie opuszczają nigdy człowieka wychowanego przez was ¹⁾, daje mi nadzieję że nie umrę nad jeziorem genewskiem.”

Stanisław kochał całym sercem Lotaryngią, pragnął ściągnąć do kraju 500,000 liwrów Woltera. „Ależ ja mu nie ufam, mówił dobry król, chciałby widocznie otworzyć sobie furtkę do Francyi, dla tego udaje religijność? Gdyby jednak przyszedł do upamiętania, powitałbym go chętnie. Jak się przekonać o tém?”

Z polecenia króla napisano natychmiast do ministra Choiseul. „P. Wolter radby nabyć majątność ziemską w Lotaryngii, i stale w niej zamieszkać. Król polski widziałyby go chętnie w państwie swoim, z warunkiem że się zachowa roztropnie i przyzwoicie. W stanie zdrowia króla Imości, prawie całkiem pozbawionego wzroku, człowiek taki jak Wolter, mógłby go niekiedy rozerwać. Król wstrzymuje się jednak z przychylną odpowiedzią, dopóki się nie dowie, czy miłą będzie królewskiemu zięciowi.”

Minister oddał tę sprawę pod rozważny sąd króla polskiego, jażkoż niebawem Stanisław wysłał Betinellogo do Szwajcaryi z poleceniem aby wymiarkował zamiary i usposobienia filozofa poety.

W ciekawy sposób Betinelli, opisuje spotkanie. „Był w ogrodzie, gdy przybyłem do Delices; poszedłem ku niemu, oświadczyłem kto jestem.

— Jakto?—zawołał—Włoch! Jezuita! słynny Betinelli! to za wiele szczęścia dla chaty mojej! Jam prosty wieśniak—dodał, pokazując mi kij, zakończony z jednej strony gracką, z drugiej widełkami; sięję sałatę po ziarnku a plon mój na zagonie obfitszy od tego, jaki zasiewam w książkach na użytek ludzkości.

Dziwaczna jego postać, szczególne sprawiła na mnie wrażenie. Z pod wielkiej czapki aksamitnej, nasuniętej na czoło, wybiegały kędziory utrefionej peruki. Twarz tonęła w nich całkiem, sterczał tylko nos i wydatna broda. Od głowy do nóg obwinięty był w szubę futrzaną. Oczy ma pełne wyrazu. Dziwiłem się że go mróz nie odstręcza od pracy.

¹⁾ Ksiądz Menoux był Jezuitą.

— „Wam Włochom, zdaje się, rzekł z uśmiechem, że my jak bobaki zakupujemy się w norę. Ależ te Alpy wasze, bawią oko a wcale nas nie ziębią. Zasłonięty od wiatru żyję w mojej pustelni, jak Katul na swój wyspie. On pisał piękne elegie, ja tworzę udatne sielanki.”

Betinelli wręczył mu list króla Stanisława; Wolter rzucił nań wzrokiem.

— „Zapóźno—rzekł—kupiłem już majątność Ferney, pragnę zakończyć tu życie, zdala od oszustów i tyranów.”

Dwór lunewilski nie żałował zapewne chybionego układu, pięć kroć sto tysięcy liwrow, jakie miała zyskać Lotaryngia, byłaby opłaciły stosunek z niebezpiecznym sąsiadem, który zrzuciłby wnet maskę udanej pobożności, i zatrut goryczą ostatnie dni dobrego króla Stanisława!

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Z WYSTAWY PARYZKIÉJ.

Pawilon miasta Paryża.—Modele i plany.—Paryż podziemny.—Wystawa sztuki historycznej w pałacu Trokadero.—Dział francuzki.—Epoka przedhistoryczna: narzędzia kamienne i bronzowe, neolity. Epoka gallo-rzymska.—Klasycyzm i romantyzm w starożytnej Grecyi.—Okazy z wieków średnich.—Sala p. Bazylewskiego. *Szczerbiec bez szczyby*. Wiek XV. Biblia Guttenberga. Epoka odrodzenia.—Starożytności hebrajskie.—Pamiętki historyczne, wystawione przez Towarzystwo historyczno-literackie w Paryżu. Oręż, księgi, medale, portrety, rzędy.—Tryptyk Wołowskiego z Warszawy.—Makaty Mażarskiego ze Słucka.—Epoka Ludwika XV. Dział zagraniczny: Egipt: Wieki Faraonów i kalifów. Oręż Negrów z Sudanu. Kamienna epoka u dzisiejszych ludów Oceanii. Starożytności chińskie i japońskie. Bożyszczka budytańska. Młynki do modlitwy. Kamienne olbrzymy z Kambodży. Belgia. Hiszpania. Okazy etnograficznego muzeum ze Stokholmu.—Chaty wieśniacze, manekiny.—Wystawa finlandzka.—Akwarjum z wody słodkiej.—Pawilon prasy.—Dzienniki polskie.—Brozura D-ra Landowskiego: *Alger pod względem leczniczym*.—Kumys.—Tygodnik: *Le Messager de l'Exposition* p. Bronisława Wołowskiego.—*Przewodnik paryzki* p. Horodyńskiego.—Katalog Polaków biorących udział w wystawie 1878 r. p. Rejffa.

Centralne miejsce w pałacu wystawy zajęło dla siebie miasto Paryż. Tu, w samym środku wielkiej galeryi poświęconej sztukom pięknym, uderza w oczy prześliczny pawilon otoczony kwitnącemi klombami i szeregiem posągów. Pawilon ten obejmuje w sobie wszystko, cokolwiek

wykonał Paryż w ciągu lat jedenastu, to jest od czasu ostatniej wystawy, pod względem budownictwa, ulepszeń wewnętrznych i zewnętrznych; nowych instytucji: szkół, szpitalów, więzień i t. p. Te Herkulesowe prace zdumiewają ogromnie, cóż dopiero gdy wspomnimy że w liczbę jedenastu lat, wchodzi i ów rok straszliwy, kiedy głód szarpał wnętrzości olbrzyma, kiedy pruskie bomby waliły w jego pierś granitową; kiedy komuna istna Hydra lernejska, ze stu rozwartych paszcz buchnęła mu w oczy pożarem! Tytan przetrwał to wszystko, powalił maczugą łeb Hydry, na gruzach zgorzałych gmachów pobudował nowe, poprzecinał je siecią nowych ulic i bulwarów, ściągnął promień słońca w zaułki pokryte dotąd wiecznym cieniem, urządził kwieciste skwery, przystroił się godowo i zdobyte trofea ukazuje dziś światu.

Wkoło pałacyku pod wystawą ciągnie się szereg grup i posągów, dłuta najznakomitszych rzeźbiarzy. Są tu kolosalne figury mistrzów wszechnicy paryżkiej: ś. Tomasza z Akwinu i Gersona, przeznaczone na fronton kościoła sorbońskiego; są piękne grupy kamienne i bronzowe do ozdoby placów publicznych i wodotrysków. Nad wszystkimi panuje marmurowa grupa dłuta Chapu, wykonana do pałacu sprawiedliwości; przedstawia sławnego prawnika Berriera, obrońcę Burbonów: Wierność i Wymowa w postaci dwu niewiast podtrzymującą z obu stron mównicę. Na ten pomnik zebrano w kraju 80,000 fr. Rzeczpospolita daje dowód umiarkowania, pozwalając umieścić go w gmachu sądowym, naprzeciw pomnika Malheserba obrońcy Ludwika XVI.

Wnijdźmy do głębi; nasamprzód wpadają tu w oczy gipsowe reprodukcje kilku kościołów zbudowanych w ostatnich czasach. Nie jeden podróżny zwiedzając ten pawilon, zdumieje na widok tych niezliczonych rzeźb i obrazów, któremi ów Paryż tak napozór niereligijny, ozdobił tak szczerze przybytki poświęcone wierze praojców. Dostyc powiedzieć że nad ozdobą dwudziestu siedmiu kościołów, bądź nowych, bądź odnowionych w ciągu lat dziesięciu, pracowało czterdziestu trzech biegłych malarzy i dwudziestu rzeźbiarzy, iż nie jeden z nich wykonał po kilka dzieł sztuki, między którymi są prawdziwe arcydzieła. Olejne obrazy przedstawione tu woryginale, frezki w pierwotnych szkicach, rzuconych ręką mistrzów, rzeźby w rycinach lub fotografiach zapełniających ruchome witryny i albumy; ta część pawilonu stanowi piękne muzeum współczesnej sztuki religijnej we Francji.

W następnym dziale, który nazwiemy archeologicznym, mieści się biblioteka obejmująca dwudziesto-wiekową historią Paryża. Oprócz ważnych ksiąg zapełniających półki, zebrano tu w czterech wielkich witrynach, mnóstwo starożytnych przedmiotów, przechowanych na dnie Sekwany lub po odwiecznych cmentarzyskach. Szereg ich zaczętnają narzędzia kamienne z czasów zwanych przedhistorycznymi: iglice, śpilki i piszczałki kościane, naszyjniki z zębów dzikich zwierząt, pierwotne urny i łzawnice. Dalej idą ozdoby z bronzu, miecze i dzi-

ryty z żelaza, nieme świadki rozwijającej się cywilizacji! A oto przychodzi warstwa nowa: bożek Merkury ze skrzydełkami u nóg, pokazuje wpływ zwycięzkiego Rzymu. Kagańce i amfory z owych czasów, podobne kształtem do tych, jakie wydobyto z ziemi w Pompei i Herkulanum. W jednem naczyniu przechowana garstka czarnego zboża. I znów przecisacza się wszystko: na ceramice widać nakreślone grubo lwy i tygrysy i ofiary rzucone im na pastwę i krzyż roztaczający ramiona! Potém następują rdzawe miecze z okresu Merowingów; muszle pielgrzymie z okresu Karlomana i topory Wikingsów normandzkich. Wszystko to przechowała matka Sekwana, dla nauki przyszłych pokoleń. Mamy tu plany ułożone w chronologicznym porządku; pierwszy z czasów galskich przedstawia starożytną Lutecyą, objętą dwoma ramionami Sekwany, Opidyum starożytnych Parysinów. Drugi plan z czasów rzymskiego panowania, pokazuje już miasto wybiegające poza ciasny obręb wysepki, ozdobione *extra muros* pałacem Cezarów i Thermami. Na innych planach widzimy ognisko życia przenoszące się z jednej dzielnicy w drugą, stosownie do nowych potrzeb i wzmagającej się ludności. Za Walezyuszów powstaje Luwr, w pierwotnym kształcie ponurego zamczyska; za Maryi Medyceuszki, przyległa *strycharnia* zmienia się w rozkoszny pałac Tuilleries, otoczony włoskim ogrodem. XVIII wiek rozwała stare baszty; XIX czyni Paryż zbiegowiskiem ludów, gospodą ucivilizowanego świata. Ostatni plan pokazuje nam dwumilionowy gród w pełnym majestacie, w jakim go dziś widzimy.

Pod tym nawałem murów, najeżonych igłami wieżyc i łukami wspaniałych kopuł, kryje się drugi Paryż niewidzialny dla oka, ale dobroczynny w swych objawach; Paryż podziemny, tryumf sztuki inżynierskiej, który zabezpiecza dzięki wzorowej kanalizacji, życie i zdrowie milionów. Aby dać poznać żywotną pulsacyą wielkiego grodu, przedstawiono dwie kamienice położone przy którymś z bulwarów, rozcięte przez połowę; są to małe ale dokładnie reprodukuje: niczego tu nie brak, nawet mebli. Wzrok nasz ogarnia zarazem piękne salony, gabinety i sypialnie czterech pięter, urządzone z całą wytwornością, wyżej skromne poddasza, po bokach kuchnie, na dole sutereny i piwnice. Niżej zaś, pod tém wszystkiém w głębi ziemi, daje się widzieć cała sieć rur i drenów rozgałęziona w rozmaitych kierunkach. Jedne przynoszą wodę z dalekich zdrojowisk zasilających miasto, drugie rozprowadzają gaz z wielkiego rezerwoaru, trzecie osłaniają telegraficzne druty, czwarte znów przerzucają w lot strzały listy i depesze z jednej strony miasta na drugą, zapomocą pneumatycznego przyrządu. Ale wśród tych wечно drgających arteryi, największą osobliwość stanowią rynsztoki okrążające podziemny Paryż, na przestrzeni 800,000 metrów. Część ich długa na pół mili, stanowi ulubioną przejażdżkę cheiwych wrażeń Anglików i Angielek. Mamy tu przed oczyma zgrabne wózki pchane po szynach żelaznych przez nowych Charonów, spełniających służbę podziemną. W połowie drogi, inne znów Charony,

z wiosłem w rękę, przyjmują turystów na łodzie. Istna to przeprawa styksowa; złuda tém zupełniejsza, iż kres jój oznaczony w progu Pól Elizejskich!

W bliskości tych okazów na ścianie zewnętrznej pawilonu, jeden obraz przedstawia kwitnącą dolinę Genevillet, plan zaś umieszczony tuż obok, daje poznać irygacyjne przyrządy, używające jój sady i pola, stokiem rynsztoków paryzkich. Poniżej umieszczono w symetrycznym łądzie przepyszne głowy kapusty, dwułokciowego co najmniej obwodu, wiązki ogromnej marchwi, obrzymie kartofle i grube kłosa zboża, które porównałyby tylko można z płodami Ziemi Obiecanej!

Wśród planów zapowiadających nowe inżynierskie prace, widzimy plan drogi żelaznej pod Paryżem. Główny podziemny dworzec ma być zbudowany w środku ogrodu *Palais Royal*, przystanki mieścić się będą w krainie wiekiustych cieniów, przy zetknięciu linii rozgałęzionych na wszystkie strony miasta. Plan innój, smutniejszej jeszcze, choć nie podziemnej drogi, zwrócił także uwagę naszą. Ta droga zwana śmiertelną (*mortuaire*), prowadzić ma do nowego cmentarza w Mery sur Oise, o dwadzieścia kilometrów na północ Paryża. Widzimy w rysunku dworzec na górze Montmartre, jak niemniej pociąg złożony z lokomotywy i wielkiego wagonu podzielonego na trzy części: pierwsza część dla duchowieństwa, ostatnia dla rodziny, środkowa z czarną draperyą obejmie katafalk i trumnę: plan ogromnego cmentarza dopełnia téj smutnej wystawy.

Inny znów projekt, już dla pożytku żywych, przedstawiono w wielkim zegarze, który ma służyć do regulowania czasu w całym mieście. Takie zegary osadzone będą na głównych placach: wszystkie za pomocą elektryczności, mają się łączyć z fundamentalnym zegarem pomieszczonym w sklepieniu pod obserwatorium.

Służba ogniowa zajmuje dział osobny. Są tu sikawki parowe i zwyczajne, wozy dla pompierów, drabiny, konwie, liny, słowem cały zasób wydoskonalonych przyrządów do ratunku. Przy zwykłej wysokości sześciopiętrowych domów, pożar w Paryżu byłby straszną klęską, gdyby nie wzorowe urządzenie straży. Statystyka pożarna świadczy, iż ogień zwykle tu opanowany w pierwszej chwili, nie przybiera groźnych rozmiarów i nie pochłania całych dzielnic, jak to bywa w innych stolicach. Strasliwej pamięci rok 1871, stanowi zupełny wyjątek. I klęska powodzi groźna dla miasta przeciętego w połowie rzeką, równie tu zażegnana; maszyny stawiające tamę rozhukanemu żywiołowi, w licznych przedstawione modelach.

Osobna sala wyłącznie poświęcona architekturze. Wkoło na ścianach rozwieszono plany gmachów, tak zbudowanych ostatniemi czasy, jak zatwierdzonych przez magistrat. Środek sali zajmują wielkie modele, centralnych jatek, ogromnych składów wina, nowego więzienia w Nanterre, według celularnego systematu, wreszcie wspaniała reprodukcyja ratusza, świeżo podźwigniętego z gruzów. Śliczny to mo-

del: sztukaterye i posągi wykonane z gipsu najdokładniej, w oknach są szyby, na frontonie prawdziwy zegar.

Modele nowo urządzonych szkół, zapełniają salę poświęconą instrukcyi publicznej. Wszystkie oddane *con amore*, z drobiazgowymi szczegółami. Przez roztwarte okna widać manekiny siedzących w ławkach dzieci; w westiarni ułożona bielizna, w bibliotece, rzędy półek zapełnione książkami maleńkich rozmiarów; w kuchni błyszczą kociołki i łydki; w ogródku pełno drzewek i kwiatów.

Rysunki, rzeźby, słowem wszelkie roboty uczniów zapełniają długą rzęd witryn. Magistrat chciał widocznie współzawodniczyć z wystawą ministra oświecenia, o której mówiliśmy w zeszłym sprawozdaniu, jakoż w rzeczy samej, okazy tu piękniejsze i lepiej ugrupowane.

Inny dział przedstawia wnętrze sali szpitalnej. Wszystko tu obmyślane do wygody chorego. Obok mniejsza sala dla obłąkanych. Zdziwiliśmy się, patrząc na prześliczne hafty wykonane ręką waryatek. Uderzyła nas szczególniejsz pyszna makata na pokrycie stołu, wyszyta jedwabiami i wełną w guście wschodnim. Haftarka według własnej fantazyi, rzuciła na sukno kwiaty i ptaki, nie mając przed sobą żadnego wzoru. Ta biedaczka, tak dalece ma pomieszane zmysły, że nożyczki nawet, koniecznie potrzebne przy robocie, są przy niej, lecz zamknięte na klucz: dozorczyńni sama ucina nitkę. Jakaż to zagadka dla psychologów!

Z pawilonu paryzkiego przejdźmy za rzekę do gmachu Trokadero. Tu, w dwóch półokrągłych galeryach przeciągniętych z obu stron maurytańskiego pałacu, pomieszczono wystawę historyczną, zwaną *retrospective*, gdyż okazy jej odnoszą się przeważnie do przeszłości. Prawe skrzydło obejmuje zabytki francuzkie, jedyną tylko z piętnastu sal, oddali Francuzi na zbiory wystawione przez polskie Towarzystwo historyczno-literackie, pod prezydencją księcia Czartoryskiego. W szeregu sal lewego skrzydła, wszystkie części świata pomieściły starożytne swoje zabytki. Afrykę przedstawia tu Egipt i Congo; Azją: Chiny, Japonia i Kambodi; Amerykę: Peru, Meksyk; Oceaniją: wyspy zwiedzone przez Dumont-Durwilla, Europę: Hiszpania, Belgia i kraje Skandynawskie.

Wniźdźmy najprzód do sal francuzkich. Urządzeniem ich zajmował się znany archeolog Longperier. Uczony ten miał widocznie na myśli trzymać się chronologicznego porządku, wiele jednak trudności stanęło mu w tém na przeszkodzie. Najprzód trzeba było obliczać się z miejscem; powtóre, właściciele zbiorów nie chcieli ich rozdzielać. Jakkolwiek bądź całość ma charakter mniejwięcej systematyczny.

W pierwszej sali zebrano, po jednej stronie, zabytki z epoki Galłów, zwanéj przedhistoryczną; po drugiej pomniki gallo-rzymskiej cywilizacyi. Témbardziej razi nas tu niewłaściwość nazwy *przedhistorycznej*, że starożytnicy sami rozłączyli przedmioty należące do tego działu, aż na cztery wielkie epoki, a tém samym określili ich historiją.

Do pierwszej epoki należą długie siekiery kamienne, wcale nieociosane, znane w archeologii pod nazwą *kocich języków*, *lanques de chat*; do drugiej oręża, wykute z krzemienia, oglądzone po jednej stronie; do trzeciej mieczyki krzemienne obosieczne, w formie liścia wawrzynowego; do czwartej nakoniec tak zwane *neolity*: strzały, oręża i różne przedmioty, wyrobione bądź z gładkich kamieni, bądź z rogów renifera lub kości zwierząt, rytowane i rzeźbione w różne wzory. Te cztery serye bogato reprezentowane tu w kilkunastu witrynach.

Starożytnicy, mimo zapisanych foliałów, nie wyrzekli dotąd ostatniego słowa co do początku epoki brązowej w starożytnej Galii. Jedni wyprowadzają tę sztukę ze Wschodu, inni od Skandynawów lub od Etrusków, inni widzą w niej samodzielny rozwój geniuszu narodowego. To jednak pewna, że kiedy w jednych stronach Galii brąz już był upowszechniony, w innych tymczasem znane tylko narzędzia kamienne. Pokazuje to wielka mapa starych dolmenów i tumulusów galskich, zawieszona na ścianie.

W kilku witrynach zebrane ozdoby z brązu: śpilki i naszyjniki niewieście, wydobyte z mogił u podnóży Alpejskich. Obok tych zbiorów ukazano w rzeźbie głowę kobiety, przystrojoną w śpilki starożytne, a obok niej fotografią żyjącej wieśniaczki z Kantonu Tessyńskiego, strojną w tenże sam sposób. Wymowny w tém dowód, o ile etnografia posiłkuje naukę starożytną, otwierając przed nią nowe zupełnie widnokregi.

W pośród licznych zabytków, wykopanych na starych cmentarzyskach galskich nad Marną, zwraca powszechną uwagę stary miecz żelazny. W rękojeści osadzone trzy głowy z brązu, widoczna ztąd, że na tysiąc lat przed Chrystusem, Gallowie mieli już własne godła, nowe świadectwo, że cywilizacja ich rozwijała się samodzielnie przed najazdami Rzymian i Germanów.

Moneta galska zajmuje dwie witryny; na niektórych głowach oznaczone są trzy głowy takie same, jak na powyższym mieczu.

Do najciekawszych okazów należy niewątpliwie starożytny grób Galla, pogrzebanego na wozie bojowym. Zwyczaj ten istniał zarówno w Galii jak w innych krajach. Rycerz wystawiony tu w skrzyni szklanej, dobyty niedawno z tumulusu w Somme-Tourbe, zachował ledwie kości kilka; ciało rozsypało się w popiół. Na lewem ręku ma złotą branzoletę, u stóp jego leży hełm brązowy, u boku gliniana urna, noże, miecze żelazne i t. p.

W dwóch osobnych witrynach widzimy urny i kamienne narzędzia ze zbioru księżnej Czartoryskiej (z domu księżniczki Nemours) i hrabiny z Czartoryskich Działyńskiej, jakto poświadcza napis. Hr. Działyńska wystawia oprócz tego trzy piękne głowy naturalnej wielkości z epoki gallo-rzymskiej.

Ta epoka zajmuje przeważnie salę drugą. Badacz dostrzega tu jak klasycyzm zaszczerpiony na płonce galskiej, rozwija się żywotnie i objawia w oryginalnych posągach bożków. Pomieszczono tu nie-

mniej ciekawy zbiór figurek ceramicznych, odkopanych niedawno w Grecyi, przez francuzkich archeologów szkoły ateńskiej. Czerwone te figurki ważnem są odkryciem dla historyi, niszczą bowiem dwudziestowiekowe uprzedzenia i wracają Tebom należne im w sztuce stanowisko. Wiadomo, że ta część krajów greckich, której stolicą były Teby, mimo że wydała Hezyoda, Pindara, Korynę i Epaminondasa, uchodziła za najbardziej zacofaną w dziedzinie sztuk pięknych. Odkryte ceramiki wyjaśniają przyczynę takiego uprzedzenia. Tebanie względem Ateńczyków byli t \dot{e} m sam \acute{e} m, cz \acute{e} m romantycy względem klasyków w początkach XIX wieku. Podczas gdy Fidasze ateńscy poświęcali d \dot{u} to Palladom i Zeusom, ceramiści tebańscy odtwarzali z gliny potoczne sceny życia, lepiłi posązki wieśniaków i wieśniaczek, zajętych dzienną pracą. Widzimy oto w tych zbiorach jakiegoś biedaka, co piecze w ogniu podpłomyk, niewiastę warzącą jadło w kotle i t. p. Ztąd zarzut barbarzyństwa, rzucony najniesłuszniej na tych Tebańczyków, którzy woleli idealizować ziemskie rzeczy, niż popolitować religią, czyniąc ją przedmiotem zabawki artystycznej. Nic nowego pod słońcem! Walka ideału z rzeczywistością stara jak świat; wykopaliska z Tanagra (tak przezwano dziś Teby), wymownie świadczą o ni \acute{e} j. Wyroby te acz proste w pomyśle, wykonane są jednak z cał \acute{e} m mistrzostwem; późniejsze, zwłaszcza z czasów Aleksandra Wielkiego zadziwiają artystyczną doskonałością.

W trzeciej sali przedstawiono jeszcze całą kolekcją statuetek, wazonów, płaskorzeźb z epoki gallo-rzymskiej; wiele z nich wydobyto z ziemi w okolicach Paryża. Należą do nich ozdoby wozu cesarskiego, odkryte w pałacu Dyoklecjana, który, jak wiadomo, przebywał chętnie w Lutecyi; dowodzą tego pyszne zwaliska Thermów do dzisiaj istniejące.

Sala czwarta odrębny ma całkiem charakter. Panuje tu emaliowany krucyfiks, dzieło XI wieku. W witrynach poukładane mszały i psalterze, zdobne malowidłami; niektóre sięgają epoki Merowingów. Do osobliwości należy tu zwój pergaminowy, długi na jedenaście metrów, zwany *rouleau mortuaire* (zwojem śmiertelnym), odkryty w grobie Wilhelma z Barres z XIII wieku, spisany w nim żywot zmarłego męża. Z t \acute{e} żej epoki posąg drewniany przedstawia jednego z synów Ludwika Świętego. Niepodobna wyliczyć nam tysiąca przedmiotów, z drzewa, z metalu, z kości słoniowej, zapełniających tę średniowieczną salę. Brak katalogu daje się uczuć w przykry sposób: obiecują go ledwie na koniec sierpnia. Co gorsza, niewolno zapisać nic w książeczce; zawistni antykwaryusze, składając tu swe skarby, położyli to za konieczny warunek. Dozorcy t \acute{e} ż posłuszni odebrany zleceniu, napadają nielitościwie na każdego, kto ma w ręku ołówek i papier. Prasa podniosła przeciw temu słuszną pretensją, bo t \acute{e} ż z powodu tych surowych zakazów były niemile zajścia, stanowiące ciemną stronę wystawy tegorocznej.

Następna sala, piąta z rzędu, prawdziwe zamyka bogactwa archeologiczne. Pomieścił w niej zbiory swoje p. Bazilewski, znany antykwareusz. Wszystkiego tu podostatkiem, braknie tylko systematycznego ładu a szczególnie swobody. Tu oczy argusów bardziej wyteżone niż w innych salach, śnać właściciel ostrzejsze postawił wymagania.

Pomijamy wazony maurytańskie z Alhambry, i pyszne fajansy Bernarda Palissego, pełne ryb i owoców dziwnie ładujących oko: pomijamy szkатуły z kości słoniowej, a nawet złociste czasze Benwenutta Celini. Inny przedmiot zamieszczony w witrynie, wśród starożytniej broni, pochłonał całą uwagę naszą: tym przedmiotem *Szczerbiec Chrobrego!* Nie było przy nim tłoku. Ogół zapatrzony w świecidła, omijał obojętnie ten prosty miecz, ginący wpośród innych, nierównie ozdobniejszych. Nie uszedł przecież oka naszego, ów maleńki orzełek Piastowski, osadzony poniżej trzonu, wykutego w znak krzyża. Na tym trzonie, szmelcowanym w sposób maurytański, wyryty jakiś grecki napis; mimo całego wysilenia trudno było przez witrynę dopatrzeć przynajmniej roku, który tu zapewne oznaczono. Byłżeby to w rzeczy samej nasz stary Szczerbiec? Właściciel tak sądzi, nie pozwala jednakże sprawdzić rzeczy kompetentnym znawcom: zbytńia ta ostrożność, w oczach naszych, bardzo podejrzana.

Wiadomo że Szczerbiec, z innemi insygniami zaginął w Krakowie, w chwili kiedy August II miał włożyć koronę, strąconą z głowy Stanisławowi Leszczyńskiemu. Do koronacyi Elektora Saskiego użyto insygnii umyślnie na ten cel wykonanych, które po dziś dzień widzieć można w drezdeńskiem *Grüne Gewelbe*. Stary miecz zginął; wieść zakrażyła między ludem, że ten sam anioł, który niegdyś złożył go cały i błyszczący, w pracowitą dłoń Piasta, poniósł go ku niebiosom, zaszczerbiony, przerosły rdzą, w obawie by w niegodne nie popadł ręce. Zkądby ten drogi zakład przeszedł do zbiorów antykwareusza?

Ciekawi jesteśmy co téż właściciel powie o nim w katalogu? Aby stwierdzić autentyczność tego rodzaju pamiątek, wypada koniecznie wykazać ich rodowód, i to nie gołem słowem, lecz niezbitemi dowodami. Gdyby przynajmniej została na nim szczerba! łatwoby dojrzeć ją przez witrynę, miecz bowiem nie pokryty pochwą. Nie ma tu jednak szczerby, i można zaręczyć że nigdy jej nie było. Ostrze bardzo szerokie w proporcją długości, nie mogło być o tyle ściętém, aby znikły ślady uszkodzenia. Wreszcie sam rozmiar niezgodny z tradycją. Wprawdzie ojcowie nasi używali krótkich orężów, nazywali je *mieczykami*; przejrzyjmy tymczasem kronikarzy: czyż z nich aby jeden zwał *mieczkiem* Szczerbiec Chrobrego? Był to miecz w całym znaczeniu słowa, długi, szeroki, ciężki! Dziwimy się że antykwareusz nie kazał przynajmniej wyszczerbić tego ostrza, bo cóż znaczy *Szczerbiec bez szczerby?*

Dwie następne, szósta i siódma sala, przenoszą nas do wieku XV-go. Prześliczne płaskorzeźby z klasztoru Kartuzów w Pawii, po-

kazują nam dobę najwyższego rozkwitu sztuki średniowiecznej; wszystko tchnie jeszcze niewinną prostotą, połączoną z głębokim uczuciem wiary.

Kollekcyja broni palnej, stawia przed oczy świeży wynalazek, który miał pchnąć sztukę wojenną, na całkiem nowe drogi. Inny współczesny wynalazek, równie wielki w następstwa, przedstawiony w sali ósmiej, Biblią Guttenberga. Jestto jeden z siedmiu znanych egzemplarzy, odbitych na welinie. Obok tego szanownego pomnika, widzimy tu pyszny zbiór fajansów włoskich, zwanych małolikami, na których młodziuchny Rafael zaprawiał nieśmiertelny swój pendzel. Michał Anioł, reprezentowany tu piękną płaskorzeźbą, przedstawiającą *rannego młodzieńca*.

Sala dziewiąta wygląda na zbrojownię a zarazem na bibliotekę. Całą jej przestrzeń zapełniają rycerze z kolekcji słynnego archeologa Spitzera: w witrynach poukładane księgi i rękopisy. Przedstawiony tu wiek XVI-ty, znany pod imieniem epoki odrodzenia, wiek olbrzymich przewrotów, tak w ustroju społecznym jak i w sztuce. Liczne narzędzia astronomiczne świadczą o rozpowszechnionym już systemacie naszego Kopernika.

W przybyłej, z rzędu dziesiątej sali, Straus wystawił rzadki zbiór hebrajskich starożytności, odnoszących się głównie do religijnych obrzędów. Wszystkie niemal noszą cechę epoki odrodzenia, kilka z nich ledwie głębszej sięga starożytności. Samych pierścieni ślubnych widzimy tu piętnaście, wykute z szczerzego złota, grube, szerokie, zdobne są rzeźbą lub emalią, dewizy i życzenie nakreślone zwykle po stronie wewnętrznej. Jeden prostej roboty, odróżnia się od innych: wyrzyty na nim domek z wieżyczkami w stylu XIII wieku.

Prawo Mojżesza, aby uchronić lud od czci fałszywych bogów, nie pozwalało odtwarzać rylcem ni dłutem, żadnych żyjących jestestw. Ztąd to wyrodził się odrębny całkiem rodzaj sztuki, w świecznikach i tabernaklach izraelskich. Ozdoby składają się z samych liści i rozet, lub wschodnich arabesków, stosownie do kraju gdzie te przedmioty były wykonane. Wyrobem ich zajmowali się częstokroć chrześcijanie. Wystawca Straus cytuje łaciński dokument z XV wieku, umowę synagogi miasta Arles, z Azardem złotnikiem z Awinionu; rzecz szła o wykonanie sześciokątnej korony srebrnej, do ozdoby taberaklu, czyli skrzynki obejmującej przepisy Prawa. Mamy tu przed oczyma piękne ośmioramiennie świeczniki, i skrzynki rozmaitej miary; najmniejszą z nich, niewiasty izraelskie zanosily do Synagogi, w uroczysty dzień *Purim*. W jednym przez rozemknięte drzwiczki widać skręcony pargamin: jestto żywot Estery. Uczony właściciel tych zbiorów, opatrzył każdy przedmiot szczegółowym opisem, co nadzwyczaj ułatwia zwiedzanie. Czemuż inni wystawcy nie naśladowali tak pięknego przykładu?

Wnijdźmy teraz do sali jedenastej, ta najciekawsza dla nas, obejmuje bowiem drogocenne zbiory, wystawione przez Towarzystwo polskie historyczno-literackie, pod prezydencją księcia Czartoryskiego. Tu już brak katalogu wcale nam się czuć nie dał. Światły dy-

rektor tego Towarzystwa pan Chodźkiewicz, z prawdziwą uprzejmością tłómaczył nam wszystkie przedmioty. Ostonieni taką tarczą, mogliśmy nawet wydobyć książeczkę, i pod okiem argusów, spisywać, łuskawie nam dane objaśnienia.

Druga ta osobliwość tegorocznej wystawy, drugie ognisko polskie, przedstawione samoistnie pod opieką Francyi. O pierwszym mówiliśmy obszernie. Patrząc tam na siermięgi naszych Krakowiaków, na barwne gorseciki naszych Sandomierzanek, czuliśmy tętno serc bijących pod nimi pełnym życiem, brzmiała nam w uchu żywa pieśń rozlegająca się po lasach i polach naszych. Tu znów wszystko inaczej. Ci którzy chadzali w tych oto pancerzach, śpią od wieków przyciśnięci płytą grobowca. Aby posłyszeć głos ich, trzeba na to być Woroniczem, i umieć jak on technieniem geniusza, wywołać onę wyrocznię hesperyjskich gajów, by uchyliła wieka starych trumień, i rozbliła iskrę drgającą pod popiołami.

My nic mamy tej siły; Sybilli wreszcie stworzyć poraz drugi niepodobna, choć tu wszystko przemawia o niej, wszystko przypomina się tak żywo. Patrzmy na te dwa bieguny pokryte wschodnimi czaprakami, strojne w złociste rzędy: jeden i drugi zda się wyczekiwać godnego siebie jezdca. Tam na głównej ścianie szereg żelaznych zbroic: te z gładkiej połyskującej blachy, tamte wyrobione misternie w karpia łuszczkę: na każdej wizerunek Bogarodzicy. Jedna zwłaszcza kolczuga dziwnie piękna, zasiana cała w złote i srebrne gwiazdy, u szyi błyszczą trzy spinki damasceńskie. Misiurka do niej z długą siatką spadającą na szyję. Przedmiot to zawiści archeologów: cała wystawa nie posiada drugiej takiej misiurki.

Pod szeregiem tych pysznych zbroic, uderza w oczy wielki tryptyk, wykuty ze srebra, zdobny w bogate płaskorzeźby. Wykonał go Łukasz Wałowski, słynny niegdyś złotnik w Warszawie. Że ten tryptyk jego jest dziełem, pokazuje herbowe godło w kształcie litery W pomieszczone na boku. Bardziej jeszcze potwierdza to fakt, że znane są w świecie archeologicznym, trzy wazy medyolańskie, témże samym opatrzone godłem. Długo toczono o nie spory, aż nakoniec odkryto na nich arabski napis, dowodzący że pochodzą z Warszawy.

A oto dwa wielkie półmiski srebrne, piękną ozdobne rzeźbą, (w rodzaju zwanym *Repoussé*). Jeden należał do jakiegoś Radziwiłła, na drugim wyrzeźbiony król bohater, na dzielnym bachmacie, otoczony konnym rycerstwem. Wlepiliśmy oczy w ten pyszny wizerunek, i zadzwoniły nam w uchu, słowa autora Sybilli:

Oh! i któż cię nie pozna, w tym przybytku chwały,
Sobieski, bohaterów królu okazały!
Każdy cię łatwo zgadnie z postaci i stroju,
Jak drugiego Pelidę, przy trojańskim boju.
Jak on, techniesz cały Marsem, ślepisz zbroi blaskiem,
Poprzedzony zwycięstwem, szczęściem i poklaskiem.

I ten sam twój Bucyfał, dumny jezdce sławnym,
Trząsa grzywą i karkiem do boju zaprawnym!

Nie ta jedna pamiątka stawia nam tu przed oczy postać króla Jana. Przy ścianie przeciwległej, cztery piękne płaskorzeźby na drzewie, przypominają nam krzyżowe jego zapasy. Te płaskorzeźby zamówione były w Rzymie do kaplicy N. Panny Zwycięzkiej, ufundowanej tam na pamiątkę Wiedeńskiej odsieczy. Artysta drogo cenił pracę swoją, zerwano ugodę, rzeźby zostały u rzeźbiarza. Później nabył je hr. Branicki i ozdobił nimi swój skarbiec.

Rzućmy okiem w witrynę i zobaczymy tu sztuciec obozowy Sobieskiego, złożony z łyżki i podwójnego widelca: król miał go zapewne pod Wiedniem. Sztuciec ten przeszedł w godne ręce, otrzymał go Kościuszko; następnie obdarzył nim Lafayette. Syn generała przystał go na wystawę. Pod nim taki czytamy napis:

Couvert de campagne du Roi Jean Sobieski, donné par Koschou-sko, au General de Lafayette.

Od króla Jana, myśl nasza zwraca się do miłej mu królowej *Marysienki*. Szukamy pamiątek po niej i znajdujemy kilka: oto mała książeczka do nabożeństwa, „Ogródek liliowy” (*Jardin de Lys*), dalej prześliczny wachlarz, wyrzeźbiony misternie z kości słoniowej, ozdobny malowidłem, prawdziwe arcydzieło w swym rodzaju.

W pośród licznego zbioru szablic, na jednej spostrzegamy imię Jana III. *Dextra Joannis vincit ad Viena 1683*, taki napis skreślono na ostrzu. Byłażby to szabla królewska? snadniejby temu uwierzyć, niż w to, aby Szczerbiec bez szczyby miał być mieczem Chrobrego!

Przyjrzyjmy się tym pięknym szablicom, zapełniającym osobną witrynę. Mamy ich przed sobą kilkanaście; różnaitość w nich wielka, tak co do rozmiarów, jak do kształtu. Na ostrzu jednej wyryte pobożne wezwanie: „Ty, która byłaś opiekunką przodków moich, bądź i moją obroną, Matko Boża!” Szabla ta, snąc była kiedyś własnością Turka lub Tatara, pokazuje to muzułmański napis: *Allah Kerim!* wyryty po stronie przeciwniej. Pamiątka pochodzi z rąk Potockich.

Inna, bardzo ozdobna szablica z głownią jaspisową, należała do ojca Stanisława Leszczyńskiego, poświęca to łaciński napis: *Comes de Leszno Palatinus Lencicæ 1700*. Wojewoda był legatem w Konstantynopolu, tam otrzymał ten cenny upominek.

Obok orężów złożone tu buławy, laski marszałkowskie, maczugi a nawet pastorały. Prawdziwym klejnotem w tym zbiorze, złocisty pastorał z XV wieku, z napisem *Sibineus*. Spoczywał on niegdyś w prawicy Zbigniewa Oleśnickiego.

Buławę z gałką złocistą piastował Sieniawski, ostatni z rodu, który wydał tyłu hetmanów. Jedyna córka jego, zaślubiona księciu Augustowi Czartoryskiemu, wniosła w dom męża, owo zaszczytne godło.

A oto wspaniała laska, wysadzana drogiémi kamieniami: nosił ją marszałek Opaliński.

Przyćmiewa ją bogactwem inna laska, czarna hebanowa, błyszcząca od złota i dyamentów. Przeraziła nas tu, wyznać musimy, litera P, kameryzowana brylantami. Byłaby to laska Ponińskiego, a może i Szczęsnego. Wywiódł nas z błędu nasz przewodnik. Misterna oprawa jéj pochodzi z końca XVII wieku, świeciła więc na sejmie za czasów króla Jana.

Pomiędzy śpiesznie te złote i srebrne puhary, z epoki Sasów, nie-
nie świadki szalonych biesiad! Niektóre z nich sztucznie wyrobione. Jeden np. przedstawia niewiastę w robroń: trzyma na głowie ceberek osadzony na kółkach. I szeroki robroń i ceberek nalewały się winem. Zapaśnicy ówczesnych turniejów, spełniali kolejno dwie przeciwnie ległe czasy, nie uroniwszy z żadnej ani kropli.

Kilka jednak puharów, nie budzi w nas bynajmniej wstrętnych wspomnień. Jeden z nich niewielki, ozdobiony statuetką Jana Zamoy-
skiego, należał niegdyś do wielkiego kanclerza. Ten mąż, jak wiadomo, nie utopił rozumu w winie!

Drugi puhar w dziwnéj formie, najeżony wieżyczkami, nosi na tarczy napis: *Princeps Konstanty Ostrogski*, bez oznaczenia roku. Miałby on należeć do wielkiego tryumfatora z nad Orszy? Dwa amorki na postumencie, zdają się tu dziwnym anachronizmem. Takie-
mu bohaterowi przystałby raczej skandynawski Thor, co prowadził do boju walecznych jego protoplastów! Prędzej ten puhar był własnością Konstantego z Ostroga, rodzzonego wnuka zwycięzcy, protektora uczonych, teścia Krzysztofa Radziwiłła.

Gdzie rzuć okiem nowa pamiątka lub przynajmniej dowody wiel-
kiej zamożności. Obok tego stołu ukutego ze srebra, tych wielkich waz nabijanych medalami, co znaczą te kilka skromnych łyżek? Na jednej wyczytaliśmy napis: *Szczerość będzie, wdzięczną wszędzie*; na drugiej: *W Bogu oraz w szczęściu nadzieje me pokładam*. Jedna z nich była własnością Mikołaja Reja z Nagłowic, która z dwóch, nie wiemy napewno. Oba napisy mogły wybiedz z pod jego pióra: miał prawo stawić szczerość ten, kto jak Rej przemawiał zawsze ze szczerego serca, szczerą mową. Musiał ufać w szczęście pisarz swobodny i krotchwilny, co z takim wdziękiem nakreślił Żywot poczciwego człowieka, szczęśliwego w ubogim stanie swoim, w *miernym staniku*, jak się o nim wyraża.

Mała witryna zawiera całą kolekcję orderów polskich i zagranicznych, jakimi obce dwory obdarzały naszych królów i postów. Między nimi błyszczą dwa złote runa: jedno z nich nosił Zygmunt August, drugie zapewne Zygmunt III; obaj ściśle połączeni z dworem rakuzko-hiszpańskim. Szereg orłów białych zakończy skromny *virtuti militari*, zawieszony na błękitnej wstążeczce. Nie policzyć tu złotych strzemion, wszystkie nowe, śnać nieużyte, jakby tylko co wyszły

z ognia. Były to zaszczytne godła, rozdawane młodzi rycerskiej za waleczność. Później zastąpiono je orderami.

Dwa olbrzymie skrzydła husarskie ściągają szczególnie uwagę obcych starożytników. Był to pomysł oryginalnie polski, nie przejęto go od nikogo, w żadnej bowiem zagranicznej zbrojowni niema śladu podobnych skrzydeł. Te, które tu widzimy, złożone z piór orlich czy sokolich; groźniejsze od nich bywały niegdyś metalowe pióra: nieprzyjacielskie konie, przerażone ich chrzęstem, pierzchały unosząc jeźdźców z pola walki. W pamiętnych zapasach XV wieku, Turcy ujęli pod Nikopolis sześciu takich rycerzy ze skrzydłami. Przeprowadzili ich do Brussy. Amurat ukazał ich swym szeregom: „Jeśli, rzekł, zdołałem ująć takich sześciu, to i reszta wpadnie mi w ręce!” Kłeska pod Warną sprawdziła niestety sułtańską przepowiednię.

Na wielkim, nadzwyczaj ciężkim szyszaku widzimy rzeźbionego husara w całkowitej postawie: skrzydła od ramion sięgają mu po jego pięty. Z takich to junaków szydził dowcipnie poeta Zbylitowski.

Nie trzymamy się bynajmniej chronologicznego porządku, byłaby to praca niesłychana, bo i przedmioty nie ułożone według lat; szczupłość miejsca nie pozwalała na to. Podziwiamy i tak smak i zręczność organizatorów, że potrafili tyle skarbów pomieścić w jednej i to nienazbyt wielkiej sali.

Do najdawniejszych zabytków należy tu ogromny łuk, sięgający jeszcze wieków średnich; trzeba było siły niepospolitej, aby go podnieść, cóż dopiero naciągnąć. Łuk ten, równie jak tarcza z orłem, jak trzy odwieczne halabardy, jak wielka moc panczerzy, kolczug i rzędów, pochodzi ze zbrojowni kórnickiej hr. Działyńskiego. Wśród tych starożytności widzimy tu cynową konew z datą 1574 roku. Ta konew, mimo rozmiarów swoich, bynajmniej nas nie gorszy. Usprawiedliwia ją zresztą sama data, wiek XVI głośniej dzwonił w szablice, niż w kielichy. Współczesna Kochanowskiemu, nasuwa nam na pamięć ów dzban, z którego poeta popijał pod lipą słodki miodek z pasieki czarnoskiej.

Cała epoka Wazów odbija w tych witrynach. Tu uderza nas w oczy bogata szkatuła, wykuta ze srebra, wyłożona, pokryta rzeźbą w stylu XVI wieku. Pod herbem polskim wryty napis *Catarina*, należała niewątpliwie do Katarzyny Jagiellonki, żony Jana szwedzkiego, towarzyszki niewoli w zamku Gripsholmskim. Po synu jej Zygmuncie są tu stołowe srebra wielkiej ceny, z jego wizerunkiem i herbami; po Władysławie IV zegarek kieszonkowy, gruby i okrągły jak cebula; po Janie Kazimierzu przepyszny łańcuch złoty; po Maryi Ludwice aumonierka z herbem polskim i trzema liliami, ozdobny wachlarz, książka do nabożeństwa i dwie prześliczne szkatułki hebanowe, wysadzone kamieniami i kością sioniową, upominek Ojca Świętego. Nad tym zbiorem królewskich pamiątek, góruje czapla kita Stefana Batorego, wysoka co najmniej na łokieć; król nosił ją zwykle u sobolowej czapki węgierskiej, przytwierdzona drogiem karbunkulem.

Rodzinne pamiątki książąt Czartoryskich zasługują na uwagę i liczbą i wytwornością. Niektóre przedmioty, jak nalewka wyrobu Benwenuta Celliniego, należą do arcydzieł sztuki złotniczej. Niema wcale w tych zbiorach pereł ni dyamentów; wystawcom nie szło o pokazanie światu własnych bogactw; każdy zato przedmiot ma pamiątkową lub artystyczną wartość. Wyliczać ich wszystkich niepodobna; wspomnijmy tylko prześliczny rzeń na konia, wysadzany turkusami, ozdobny emalią i wielki róg z kości słoniowej rzeźbiony w polskie herby.

W pośród licznego zbioru miniatur, poznajemy okazałą postać Stanisława Leszczyńskiego, dwóch Augustów saskich w upudrowanych perukach i mnóstwa pięknych pań, słynnych z wdzięku, na dworze Stanisława Augusta. Wśród wytwornych drobnostek zwróciła uwagę naszą figurka porcelanowa, przedstawiająca szlachcica polskiego w kontuszu i rogatywce z futrem. Postać to dla nas prawdziwie zagadkowa. W Warszawie i w Krakowie, gdzie nie brakło podobnych wzorów, sztuka wypalania artystycznej porcelany, nieznaną była wcale; ci zaś panowie polscy, którzy przebywali w Paryżu, zrzucali kontusz i czapkę sobolową, kładli frak i perukę. Był to chyba jakiś dworzanin Radziwiłła *Panie Kochanku*, z czasów jego peregrynacji; w każdym razie postać piękna i malownicza.

W osobnej witrynie znajdujemy kolekcją złotych i srebrnych monet, jak niemniej zbiór medalów: sztuk złotych 25, srebrnych 40. Z monet, najstarszy dukat polski sięga czasów Zygmunta Starego. Największe dwa medale przedstawiają dwóch królów z domu Wazów: Zygmunta III i Władysława.

Spostrzegliśmy tu, między innemi, srebrny medal, na cześć Kopernika, wybity w Warszawie przed pięćdziesięciu laty ze znanym napisem:

Polskie wydało go plemię,
Wstrzymał słońce, wzruszył ziemię.

Inny medal złoty, wielkości podwójnego dukata, ma wryty w pośrodku napis: „Najwyższa nagroda, przeznaczona dla celujących nauką i honorem, w Instytucie kadetów polskich, za Stanisława Augusta króla, otrzymana przez Rajmunda Rembielińskiego, w r. 1792.” Na wierzchu cyfra królewska pod koroną. Wyraz honor bardzo tu charakterystyczny. Późniejszy prefekt, z czasów Księstwa Warszawskiego a następnie prezes komisji wojewódzkiej w Warszawie, zasłużonem życiem usprawiedliwił nadzieje zwierzchników swoich.

Wśród zbioru starych woluminów, zapełniających dwie witryny, zwrócił szczególnie uwagę naszą, mały psalterzyk łaciński, był on własnością biskupa Załuskiego. Drobną to okrucza z ogromnej biblioteki, założonej sto kilkadziesiąt lat temu, staraniem uczonych braci biskupów. Z poszanowaniem patrzymy na ten drogi zabytek, tak przyćmiony blaskiem współczesnych mu puharów a tak dziwną tworzą-

cy z nimi sprzeczność! Puhar i księga, to dzieje tej opoki! Podczas gdy pierwszy zwracał głowy, druga z wolna lecz przeważnie wytrzymała z obłądu.

Ściany dokoła pokryte obrazami, najdawniejszy portret przedstawia królową Izabellę, podobno małżonkę, a jak myślimy, raczej siostrę Zygmunta Augusta, zaślubioną Janowi Zapolii. Żonę Zygmunta Rakuszcankę, nazywano Elżbietą, ale jak wiadomo, mieszają się nieraz te imiona. Obok spostrzegamy Władysława IV, dorodnym jeszcze młodzianem. Portret sięga zapewne czasów, kiedy królewicz podróżował po obcych krajach; niepodobny też nic do roztyłego Wazy, znanego nam z rycin współczesnych.

Tuż obok, na wielkim obrazie, widzimy dostojnych małżonków, w stroju XVIII wieku. Wielki pan, ubrany z francuzka w oliwkowy bławat i hiszpański aksamitny płaszczyk, zarzucony na ramię; matrona strojna w jubkę atlasową białą i kontusik szafirowy aksamitny okładany sobolem, na głowie ma zgrabny sobolowy kołpaczek. Przed nią rozłożona wielka księga, zapewne Pismo Święte. Otworzyła tę księgę z myślą o ukochanym a nieobcym synu. Werset, na który natrafiło jej oko, wróży mu królewski majestat. Uradowana, wskazuje go mężowi. Wzrok jej połyska macierzyńską dumą, usta uśmiechają się szczęściem. Biędna matko! gdybyś odgadła kolce tej korony i ciężar tego berła, błagałaby ci raczej Boga, by ustrzegł od nich syna twego i bierzmię tak twarde na silniejsze zdać barki. Ci małżonkowie, to rodzice Stanisława Augusta Poniatowskiego!

Jest tu i on sam na inném płótnie, utrefiony, upudrowany, wygolony, w mienionym fraku jedwabnym, z szyją napół odkrytą, tonącą w fali brabanckich koronek, z ręką wypieszczoną, drobną, zaledwie dojrzaną z pod cennego mankieta. Spełniła się już wróżba, korona królewska leży przed nim na stole.

Inaczej przedstawia się Kościuszko. Portret wyobraża go młodzieńcem, w stalowej zbroicy, przepasanego szarfą seledynową. Tak wyglądał zapewne pod Dubienką i Zieleńcami. Rysy jego kształtniejsze tu, nos prostszy niż na innych portretach. Malarze późniejsi, do przesady uwydatniali charakterystyczne cechy tego oblicza, chcąc być wiernymi aż do zbytku.

Osobliwość artystyczną stanowią tu obrazy Falka. Jest ich sześć; wszystkie tryskają życiem: przedstawiają szlachtę, to w kościele na obradach sejmikowych, to z kielichem w ręku przy uczcie.

Olejny obraz, niewiadomego pędzla, widocznie z XVIII wieku, pokazuje nam liczne grono pływających kontuszowców, z czapką w ręku i karabelą u pasa.

Tych pasów ogromna kolekcya, zapełnia dwie witryny. Jest ich co najmniej 50. Wielka w nich rozmaitość. Białe, przetykane złotem, służyły wyłącznie do ślubu. Inne, w perskie wzory, miały częstokroć stronę jedną przerabianą szarými barwy na tle czarném; te noszono przy żałobnych obrzędach lub podczas bezkrólewia. Trzech

głównych fabrykantów wyrabiało pasy tak w Koronie jak w Litwie. W Słucku słynął Leon Mażarski, w Warszawie Paschalis. Znane też są wyroby Antoniego Pucikowskiego. W witrynach tych mamy piękne okazy wszystkich trzech rekiodzielni. Na słuckich pasach wyrobiona litera *M* oznacza nazwisko Mażarskiego. Na warszawskich baranek paschalny z chorągiewką, w obrazowy sposób daje poznać godło Paschalisów.

Powyżej tych witryn, cała ściana zawieszona kobiercami słuckimi tegoż Mażarskiego. Wystawiono ich pięć: dwu dostarczył książę Czartoryski, jednego hr. Branicki, dwa należą do archeologicznych zbiorów Rotszylda. Na każdym litera *M* powtarza się malowniczo, połączona z perskim deseniem ślaku.

Ciekawa to postać ów Mażarski! żył on w wieku XVII, za młodu służył w wojsku. Ujęty w bitwie z Turkami, zapędzony został aż do Persyi. Tam wyuczył się wyrobu wschodnich makat i kobierców. Za powrotem zamieszkał w Słucku, założył tu fabrykę, pracował dla księcia Radziwiłła. Wkrótce jednak pokazano się że mu brakowało przyrządów, a szczególnie tak zwanych magli, do wygładzania tkaniny, w miarę jak jęj przybywało na krosnach. Książę Radziwiłł wysłał go do Stambułu po owe przyrządy. Mażarski zakupił wszystko co mu było potrzeba, ale gdy przyszło do wyjazdu nowa pokazała się trudność. Zawistni Turcy, zobawy aby sztuka wschodnia nie rozeszła się po świecie, położyli nieprzebragane *вето*. Umiął jednak Mażarski wyjść zwycięzko z trudnego położenia. Wykradł małą częśćkę zakupionych przyrządów. Aby dopełnić, czego mu jeszcze brakowało, powtarzał co rok mozolną podróż do Stambułu, i co rok powracał na Litwę, z jakim nowym nabytkiem. Wreszcie skompletował przyrządy i założył fabrykę pasów i makat słuckich. Wytrwałość nagrodzoną została, imię Mażarskiego słynne dziś w świecie archeologicznym, wyroby jego opłacane na wagę złota.

Obok tych makat spostrzegamy piękny ornat wypukło haftowany, dzieło XIV wieku, wybornie zachowane. Taki sam widzieliśmy w Czechochowie, uchodzi tam za robotę królowej Jadwigi.

Pozostał nam jeszcze jeden przedmiot, skromny, prosty, zasługujący niemniej na pełną uwagę. Mówimy o czapraku generała Henryka Dąbrowskiego. Czcigodna córka tego męża, p. Mańkowska, przysłała go na wystawę wraz z innymi pamiątkami po generale. Sprawa ta była dość trudna. Dąbrowski jak wiadomo, zaczął swą karierę w końcu XVIII-go wieku ale żył i działał jeszcze i w XIX-ym. Pamiątki po nim odznaczały się zatem do obu wieków. Tymczasem według stanowczego zastrzeżenia władz, Towarzystwo historyczno-literackie miało tylko prawo wystawiać przedmioty nieprzechodzące poza kres 1800 roku. Trzeba więc było rozciąć na dwie epoki, pamiątki po generale, to jest rozbić jednolity żywot jego! Operacja trudna i bolesna dla córki!

Następne cztery sale, mniej zapewne zajmujące dla nas, obejmują przecież nieocenione skarby archeologiczne, które wyjaśniają stopniowy rozwój sztuki, nieodłączny od wypadków dziejowych. W sprzętach naprzykład z epoki odrodzenia, zapełniających salę dwónastą, widoczny prąd rzymskiego klasycyzmu, objawiający się tak w życiu domowym jak w politycznym ustroju państw. Znika malownicza różnorodność co charakteryzowała wieki średnie, wszystko doskonali się, przybiera formę wytworną, ale zarazem zimną i nazbyt jednostajną.

W dalszych znów salach, mianowicie w ostatniej widzimy jak smak francuzki dostraja się do nowej modły, delikatnieje coraz bardziej, aż w końcu przerasta się w wyrafinowany sybarytyzm. Dość spojrzeć na te zbiory figurek porcelanowych, bombonierek, na setki miniatur w pudrowanych fryzurach i atlasach, na te wachlarze pędzla Watteau, pełne nymf, pasterek i amatorów. W téj to rozkosznej atmosferze dobiega do kresu wystawa historycznej sztuki francuzkiej. Wielkie przewroty dziejowe, które wstrząsnęły później krajem i zbudziły go z rozkosznego obłądzenia, nie uwydatnione tu najdrobniejszą pamiątką. Księga przeszłości na wystawie, nie sięga nawet daty jaką organizatorowie zakreślili wystawie polskiej: dla Francyi ta księga zamyka się z epoką Ludwika XV.

Przejdźmy teraz do przeciwległej galeryi, zajmującej lewe skrzydło pałacu Trokadero. Tu obce narody, zaczawszy od afrykańskiego Egiptu, a kończąc na blizkiej bieguna Laponii, występują z pomnikami dawnych i nowych czasów: porządek geograficzny najzupełniej tu przepomniany. Belgia graniczy z Oceanią, Hiszpania dotyka fiordów norweskich. Trzeba było liczyć się z miejscem, zresztą nie wszystkie państwa chciały odkryć przed światem artystyczną i archeologiczną przeszłość swoją. Pomijając już inne, samo oto usunięcie się krajów niemieckich, wielką stanowi próżnię.

Najprzód idzie tu Egipt, podzielony na starożytny i na późniejszy, od czasu podboju kalifów. Pierwszy najwięcej budzi zajęcie, obejmuje bowiem tak w naturze jak w reprodukcjach, pomniki starożytnej cywilizacji odgrzebane z pod wiekowych nasypów, przez niezmordowanego archeologa francuzkiego Maryette-Beja.

W pośrodku wielkiej sali wznosi się starożytna świątynia wsparta na grubych kolumnach. Dziwnieź jakoś wygląda w niej popiersie Khedifa, dla tego tu zapewne pomieszczone, że pod jego opieką, Maryette-Bej wydobył z ziemi starożytny Egipt Faraonów.

Egipt Faraonów! jakaż to przepaść czasu oddziela nas od tych pamiątek, które tu stają nam przed oczyma! a jednak gdy wpatrzymy się głęboko w społeczeństwo, co budowało piramidy, a świeciło gwiazdą przewodnią tyłu narodom, spostrzegamy że w gruncie rzeczy nic się nie przemieniło! Człowiek dziś tenże sam, jak był kilka tysięcy lat temu, toż samo widać co do zwierząt. W owych malowidłach

współczesnych Faraonom, podział rodu ludzkiego według koloru skóry, całkiem tak jak dziś ustalony; ptaki i zwierzęta nie różnią się w niczem od dzisiejszych: prawdziwie to sfinksowa zagadka dla antropologów, głoszących prawa selekcji!

Niepodobna opisywać nam zebranych tu przedmiotów; rzućmy tylko wzrokiem po dwóch przeciwległych ścianach, zobaczymy długie szeregi fresków, odtworzonych najwierniej z murów niedawno odkopanego pałacu Ramzesa; nie są to bynajmniej, jakieś sztywne i milczące mumie, przeciwnie, to lud pełen ruchu i życia, zajęty pracą dzienną. Malarz który kreślił pędzlem te malowidła, nie znał praw proporcji ani perspektywy, ale co więcej znaczy, umiał pochwycać życie na gorącym uczynku i oddawać je z całą prawdą. Tu oto majtkowie sposobią się do żeglugi; starożytne łódki kołyszą się na morzu, u rudła czuwa sternik, jedni pomknęli naprzód, wiosłami poruszają wodę; inne łódzie przywiązane jeszcze do brzegu. Ci odwiązują grube liny, tamci ładują żywność. Dalej znów widać szerokie cmentarzysko, to nie owe piramidy przeznaczone wyłącznie dla wielkości światowych, ale proste mogiłki, przywalone głazami. Lud roi się tłumnie, jedni przynoszą chleb, drudzy uwarzone mięswo, składają objaty na grobowcach, zapalają ognie ofiarne. Dzień to zapewne świąteczny, przeznaczony na oddanie czci zmarłym.

Tu znów ciągną się szeregiem sceny z domowego życia. Pasterze wyganiają trzody na paszę; pełno tu bydła o wielkich rogach, mnóstwo kóz i baranów, całe zastępy gęsi. Tam oto kuchnia: jedni dmuchają w płomień, drudzy sporządzają ryby, inni rzucają ryż do kotłów, niewiasty obierają cebulę i warzywa.

Osobny obraz pokazuje rolnictwo. Pług podobny do starój sochy naszój, orze w zagony ziemię; tuż obok pochyleni żeńcy, zajmują sierpem kłosa pełnego zboża. Nieco dalej cieśle obrabiają siekierą kłocę drzewa, stolarze heblują deski: wkóło nich rozrzucone piły, śruby, wszelkie stolarskie i ciesielskie narzędzia. Tu rybacy łowią ryby na wędę, krokodyl tymczasem wychyla z głębi Nilu, zębatą paszczę swoją. Na lądzie łowcy zastawiają sidła na ptastwo i zasadzki na grubego zwierza. A tam znowu młodzież wyprawia dziarskie płasy, gęźbicznie dmą w trąby, potracając w struny lir nieznanego dziś kształtu.

Ostatni fresk wyobraża karm domowego drobiu: same tu gęsi. Jedni zagniatają ciasto, inni wyrabiają z niego wielkie gałki. Niewiasty rozmykają dzioby ptakom, wpychają im jądło do gardzieli. Tak samo dziś jeszcze Alzaci karmią gęsi w Strasburgu.

W Egipcie kalifów, pełno maurytańskich makab i rzeźb na drzewie mistrzowsko wykonanych. W witrynach leżą rozwarte księgi pergaminowe niesłychanych rozmiarów, to odwieczne korany, bliskie czasów proroka. W innych zebrana wielka kolekcja cekinów i oryginalnych biżuterji, strzelb wysadzonych kością słoniową, damasceńskich

pancerzy, koleczug i krzywych szabllic, dyftyków, adamaszków i innych tkanin, tak z jedwabiu jak z wełny.

W osobnej sali pomieszczono żelazne oręża i sprzęty, jakich używają Negrowie z Sudanu, świeżo podbici przez Khedifa. Te proste okazy etnograficzne dowodzą, że im daleko jeszcze do stopnia cywilizacji, jaką przyświecał Egipt w odległej epoce Faraonów. W każdym razie postęp niejaki daje się tu widzieć. Te wybrzeża niedawno jeszcze były ohydnym targowiskiem, gdzie za garść zboża lub flaszę okowity, nieludzczy przekupnie kupowali czarnych niewolników. Dzięki podbojowi Khedifa, barbarzyński ten handel należy w Sudanie do przeszłości.

Niżej jeszcze stoją ludy z wysp Oceanii, kolekcya narzędzi jakich dziś używają, sprowadzona przez admirała Dumont d'Urville, a w osobnej pomieszczona sali, pokazuje że te dalekie ludy nie wyszły dotąd z epoki kamiennój. Stan ich cywilizacji nie przeszedł po za kres téj, jaką archeologowie zowią u nas przedhistoryczną. W tych zbiorach, jakby w zaklętym zwierciadle, Europa widzi zamierzcztą przeszłość swoję.

Starożytności chińskie i japońskie, zebrane w jednej sali, mało się różnią od okazów nagromadzonych w dziale przemysłowej wystawy. Tu i tam też same parawany, taż sama ceramika, podobne malowidła, bez pojęcia praw perspektywy, których zaletą jedyną typowa oryginalność. Japonia tak chciwa postępu na drodze politycznych instytucji, w sztuce zachowuje dotąd właściwy swój charakter. Główną ciekawość w tym dziale stanowią posągi bożyszcz budystańskich, typy najpotworniejszej brzydoty. Są tam i młynki, klepiące mechanicznie modlitwę, w zastępstwie ludzi racjonalnych, którzy wolą zamieniać czas na pieniądz, niż go poświęcać religijnym praktykom.

Straszliwsze jeszcze bóstwa Khmeru, sprowadzone z Cambodge, przez członków misji naukowej. Olbrzymia grupa zajmuje całą przestrzeń sali przyległej. Mimo szpetnych form, uderza tu przecież myśl żywotna w samym pomysle. Dziwotwór jakiś, w kształcie stuletniego pnia ze smoczemi głowy zamiast konarów, powalił się na ziemię. Trzy olbrzymy dźwigają go z największym wysileniem, objęty go popołu spłotem rąk niezliczonych. Każdy olbrzym ma cztery oblicza jak Światowid i dziesiątek rąk jak Bryarey. Myśl ich zbiega się z myślą, ramię sprzęga z ramieniem: tak należy dźwigać co upadło, a tryumf niewątpliwyl

Otóż i krucyfiks z kości słoniowej, przenosi nas do jakiegoś bratniego świata. Belgia wystawiła to arcydzieło XV wieku, a obok tego, piękne gobeliny flamanckie i ciekawy zbiór instrumentów muzycznych, zgromadzonych ze świata całego, w brukselskiem konserwatorium. Ztąd krok jeden do Hiszpanii. Zbliżenie to nie razi: przez dwa wieki oba ludy jednaką szły koleją; jedne téż pamiątki ich dziejowe. W pośrodku sali hiszpańskiej panuje na podwyższeniu wielki manekin konnego rycerza, w zbroicy i hełmie Karola V. Po czterech rogach błyszczą historyczne zbroje Krysztofa Kolumba, straszniego

księcia Alby, Gonzalwa z Korduby i Ferdynanda z Aragonu. Za witrą świeci szyszak Boabdila, ostatniego króla Maurów, co deptał ziemię hiszpańską, wygnanego z Grenady przez Ferdynanda i Izabellę. Mnóstwo pomników, świetnych jak przeszłość Hiszpanii, uderza nas w oczy kolejno. Tu bogata lampa z Alhambry, arcydzieło sztuki złotniczej, tam astrolab Filipa II, tam znów tryptyki na drzewie, pędzla pierwszych mistrzów szkoły flamandzkiej.

Na ścianie czernią się jakieś dziwaczne malowidła. Szpetne to i dzikie napozór, ale przypatrzmy się bliżej, każdy rzut pędzla tryska życiem. Sławny Goja, żartem, dla zabawki kreślił te zarysy fantastyczne, na drewnianych lamperkach komnaty swojej. Potomność zdjęła je starannie, obsadziła w ramy i chlubi się niemi, jak najdroższym skarbem. Słusznie powiedziano o tych obrazach, że dzikie i barbarzyńskie jak patryotyzm hiszpański.

Inną ścianę pokrywają kolorowane fotografie, przedstawiające typy ludu, w narodowych strojach bardzo charakterystycznych. Hiszpanie, dzięki swym góróm i wąwozom, a co więcej wpływem historycznym, jakie na nich oddziaływały, zachowali wielką różnaitość tak w ubiorze jak w obyczajach. Aragończyk obwinięty w biały koc, niby w burnus, z głową przewiazaną skręconym madrasem, nierównie podobniejszy do Beduina, niż do Kastylijczyka, dumnie odzianego w łatany płaszcz, zarzucony na ramię. Cóż dopiero mówić o malowniczych strojach Kadyksanów lub Andaluzyan? W ubiorach kobiet większa jeszcze różnolitość. Te wszystkie typy zebrał uczony don Francesco Tubino, dopełnił opisami i ułożył z nich pomnikowe dzieło etnograficzne. Do tego to dzieła należą kolorowane fotografie zapełniające ścianę całą.

Od Hiszpanów przejdźmy prosto do Szwedów i Norwegów. Tu wyłącznie panuje etnografia. Na przeszłej już wystawie paryzkiej w r. 1867 Szwedzi okazali się mistrzami w oddaniu ludowych typów swoich. W tym roku wystąpili nierównie świetnie. Zamiast galeryi pojedynczych manekinów pokazują nam lud ugrupowany po chatach, bądź przy pracy, bądź przy zabawie. Wypadki wieśniaczego życia, oddane tu w obrazach, a raczej w akcyi, z siłą prawdziwie dramatyczną.

Wyobraźmy sobie ogromną salę, przystrojoną w zielone sosny i jodły. Woń żywiczna zaprawia powietrze. Wśród tych sosen jak w lesie, zbudowane po każdej stronie chaty, z dachem poszitym słomą. Ściana z przodu naturalnie usunięta, aby wzrok ogarnąć mógł całą izbę. Po lewej ręce wypisany dwuwiersz szwedzki, przetłómaczony także po francuzku. Oto i polski przekład:

Śluchaj pogwaru sosny! szorstko brzmi jój słowo,
Lecz jój cień zabezpiecza twą strzechę domową!

Po prawej stronie nad chatami ten znów czytamy napis:

Ojcowie nam je dali, ta puścizna święta,
Póki tchu w piersi naszej, trwać musi nietknięta!

Przypatrzmy się owym dziwnie pięknym obrazom.

Wprost wnijszcia spostrzegamy grupę złożoną z sześciu osób. Scena odbywa się przed chatą w Sudermanii. W pośrodku stoi narzeczona w czerwonej spódniczce i czarnym gorseciku, pokazuje młodój družce upominek otrzymany od narzeczonego. Młodzian patrzy z uczuciem na dziewczynę. Ojciec i matka poglądają na nich zadowoleni. Na boku siedzi niewiasta w czarnej odzieży; na obliczu jej wielka boleść. Mała dziewczeczka w czapeczce czerwonej w kwaterki, jakie noszą u nas dziatki wiejskie, przypatruje się z ciekawością. Postawa każdego oddana doskonale.

Po prawej ręce grupa wieśniaków Dalekarijskich powraca z miasteczka. Starzec usiadł pod jodłą, położył na ziemi zegar i narzędzia tkackie kupione na jarmarku. Przy nim stoi młoda kobieta w czepcu wysokim, niby głowa cukru przechylona ku plecom. Do bark jej przytwierdzony wążki koszyk, z którego wygląda główka śpiącej dzieciny. Dwie dziewczeczki, strojne po niedzielnemu, przechodzą razem drogą. Opodal w głębi, widać wody jeziora Silian i łodzie pełne ludu.

Obok znów dziwnie rzewny obrazek. W środku obszerniej izby stoi kołyska, w niej bledziuchne dzieciątko. Matka pochylona nad niem, zasłoniła twarz rozpacziwie. Ojciec stanął smutno u wezgłowia. Siwy dziadek siedzi na ławie, z głową na piersi pochyloną. Stara babka załamuje ręce, mała tylko trzyletnia dziewczeczka patrzy na smutną scenę, nie rozumiejąc jej znaczenia. Trumienka w kącie izby tłumaczy tę boleść powszechną. Scena ta wzięta ze słynnego obrazu panny Amalii Lindegren: *Ostatnie łóżeczko małejkiéj*.

Po lewej ręce widzimy chatę tkacza. W głębi izby niewiasta siedzi przy kołowrotku, porzuciła kądziel, czyta biblią. Mąż u warsztatu, wypuścił z rąk cewkę, słuca z wyteżoną uwagą.

Daléj grupa z ośmiu osób, przedstawia Lapończyków w dorocznój ich wędrówce. Ziemia, skały i jodły, pokryte śniegiem wybornie naśladowanym. Ojciec rodziny otulony w skórzaną odzież z kapturem, siedzi na małych saneczkach, uprzęzonych w renifera. Matka z fajką w ustach, ładuje drugie sanki. Syn naprawia skórzany namiot. Oczy wszystkich zwrócone na młodego strzelca, wracającego z łowów. Młodzieniec obuty w łyżwy, stąpa po gładkim lodzie, podpiera się kosterem, niesie ubitą wydrę. Pod namiotem siedzi stara babka, popija kawę; przy niej młoda kobieta karmi dziecko.

Oprócz tych grup, tu i owdzie w pośród jodek, spostrzegamy pojedyncze figury: tu krzepka żniwiarka z sierpem w ręku, tam siwy dziadek z lirą; tu znowu młoda para: dziewczyna przybrana w trzy spódniczki coraz krótsze, odmiennój barwy, zwyczajem Westmorelandek, stoi z wrzecionem w ręku. Przybliży się do niej młodzieniec, podaje skrzyneczkę otwartą, pełną błyszczących talarów. W ten sposób

odbywają się oświadczyzny. Jeżeli dziewczę nie odrzuci daru, niebawem nastąpi wesele.

Daléj dwaj Norwegowie. Starzec wyprawia młodziana z ważną wieścią do okolicznej wioski. Chłopiec trzyma w ręku kij, zakończony szyćfem żelaznym; w górze obwinięte jakieś pismo. Tym sposobem wieść podawana z rąk do rąk, rozbiegała się dawniej po całym kraju. Zrazu obwijano pergaminem strzałę; kij zastąpił ją później. Tém samém były starożytne nasze wici.

Owe dziwnie piękne typy wystawiło sztokholmskie etnograficzne muzeum, założone w roku 1872. Jestto mała zaledwie cząstka zbiorów, jakie posiada to jedyne w świecie muzeum. Zgromadzono tam wzory chat, ze wszystkich okolic, manekiny i stroje wszystkich ludów składających Skandynawią; cechy starych korporacyi, stroje mieszczan i szlachty, studentów i profesorów; jedne upowszechnione dotąd, drugie wyszłe z użycia. Niepodobna było sprowadzić tu wszystkiego. Z dawnych typów przysłano tylko manekin bedela upsalskiego, w żółtym fraku i butach ze sztylpami.

Twarze i ręce manekinów, wyrobione z gipsu, lepiej oddają naturę niż figury woskowe: biegli malarze pociągali je farbą, zachowując właściwy koloryt. Oczy z porcelany, są dziełem najpierwszych w kraju optyków.

Oprócz typów etnograficznych, muzeum wystawia w witrynach niezliczone przedmioty wykonane ręką ludu, płody jego twórczej fantazyi. Widzimy tu ławy, krzesła, półki i inne sprzęty udatnie wyrzeźbione; czasze gliniane i metalowe z wypisanemi dewizami; jarzma, chomonta, wrzeciona i kosztury, wystrugane zręcznie nożykami. Wełniaki w pasy tkane ręką wieśniaczek, nie różnią się w niczém od wyrobu naszych niewiast z księstwa łowickiego; hafty na bieliźnie zwykłe czarne z czerwonym, takie zupełnie jak Rusinek z Halicza i Podola. Korony ślubne, ozdobione pasmanterią srebrną i blaszkami, takie same jak u nas; wstążki nawet, na tle czerwonym przerabiane w błękitne, zielone i żółte wzory, podobne do tych jakie dziewczeczki nasze kupują po kramikach. Całą różnicę stanowi przystrój głowy. Podczas gdy nasze dziewczęta obciskają głowę barwną chustką, młode Szwedki, z białego skrochmalonego rąbka tworzą wysoką basztę, na tył pochyloną. Czepce zamężnych niewiast ten sam mają charakter; Normandki francuzkie do dziś dnia podobnych używają.

Pod tą salą, na dole wielkiej galeryi, Finlandya pomieściła etnograficzne okazy swoje. Widzimy tu także wnętrza dwóch chat poszytych słomą. W jednej matka ubiera córkę przed matém zwierciadłem. Dziecię bawi się na ziemi, stary dziadek sadza drugie na huśtawkę, zawieszoną w górze u belki. Przy wielkim kominie drewniane łyżki, misy i garnki, ułożone symetrycznie na półkach. W głębi stoją łożka, ponad niemi dwa mniejsze, snać dziecięce, przytwierdzone do ściany, istnie jak w kabinie okrętowej; wszystkie zastonięte szczelnie firankami.

Wnętrze drugiej chaty przedstawia nam warsztat stolarza w dniu niedzielnym. Stary dziadek otworzył księgę, czyta. Córka złożyła ręce, mąż jej wyjął z ust fajkę niedopaloną. Wszyscy modlą się, uroczyście skupieni; trzyletni chłopczyk tylko wydziera się z rąk babki, która pochwyliła go przez pół i nagania gwałtem do pacierza.

Tłumy widzów, w każdej porze dnia, zapełniają tak finlandzką jak i szwedzką salę. Potrzeba czekać kolei, aby dostać się do tych ślicznych, a tyle mówiących obrazów. Przekonani jesteśmy, że na pierwszej wystawie, która po tej nastąpi, inne narody pójdą ukazaną im drogą. Nad wszystkie skarby, jakimi społeczeństwo pochłubić się może przed światem, nad cuda przemysłu i sztuki, nie więdź-że znaczy obraz ludu światłego, pracowitego, szczerze przywiązanego do swjej grzędę, do progę chaty swojej, do swych domowych tradycyi, a takiemi właśnie są ludy skandynawskie!

Wyszedszy z galeryi Trokadero, wiecznie napełnionej tłumem, zatrzymajmy się chwilę pod cieniem sztucznych grot, wśród których znajdujemy akwaryum ze słodkiej wody. Akwaryum to, urządzone w nowy zupełnie sposób zostanie i po zamknięciu wystawy. Groty niezastonięte w górce, pozwalają tu rybom używać słońca i świeżego powietrza. Czwarta to już czy piąta generacja przesuwa się tu od trzech miesięcy przed oczyma ciekawych. Pierwsze padły ofiarą: wapno użyte do ocembrowania rezerwoarów, zatrzymało im wodę. Nauka odniosła wreszcie zwycięstwo i zabezpieczyła życie nowemu pokoleniu. Napełniono rezerwoary wodą stęchlą, zielonkową, nasyconą zarodami roślin wodnych. W miarę rozwijającej się wegetacyi, wydzielal się tlen i ożywiał w końcu rybią osadę. Wytrwałe karpie najlepiej przeżyły ciężkie próby: mało ich wyginęło. Szczupakom i pstragom smutno tu jakoś, tęsknią widocznie do szerokiej przestrzeni, do walki i do łupów. Drobnę płotki, rzucane im na pastwę, nie wystarczają żarłocznym ich popędem.

Słynny we Francyi piscykultor Carbonnier, organizator tego akwaryum, urządził niemniej własną wystawę rybią; w pobliskiej sadzawce zebrał liczne okazy ryb chińskich, indyjskich i amerykańskich, zaaklimatyzowanych przez niego we Francyi. Jedne z nich służę mogą za pokarm, inne zadziwiają osobliwością barw i kształtów. Najpiękniejsza ze wszystkich zwana *łęczą*, odbija w sobie jak opał wszystkie kolory słońca.

Przejdźmy most, ustrojony z obu stron podwójnym rzędem łąwek, ocienionych krzewami i rozpostartem w górce płótnem; zboczmy na lewo: w kilka minut staniemy przed pawilonem prasy. Pawilon ten, dotykający gmachu administracyi, na zewnątrz nie przedstawia nic szczególnego, wewnątrz zato urządzonej z najwytworniejszym komfortem. Oaza ta przeznaczona wyłącznie dla dziennikarzy i korespondentów tak francuzkich jak zagranicznych. Ogół pod żadnym po-

zorem niema do niej przystępu. Bilet wolnego wnijsia opatrzony fotografią, usuwa z drogi wszelką zaporę; kto go posiada, może tu przebywać całe dnie, czytać dzienniki z obu półkuli świata, pisać sprawozdania pod wpływem świeżych wrażeń, a nawet ochłodzić czoło, jeśli nie w zdroju Hipokreny, to przynajmniej w krynicznej wodzie, wpływającej w pyszne *lavato*, za odkręceniem kurka.

Wszedłszy do sieni, miłego już doznajemy wrażenia. Gdzie rzucić okiem, brzozy artystyczne, popiersia z marmuru i ceramiki, otoczone kłębami egzotycznych roślin i kwiatów. Na lewo długa sala, w posrodku stół pokryty sukmem: tu przygotowane wszystko, co trzeba do pisania. Na innych stołach przeglądy, dzienniki, katalogi, broszury w różnych językach europejskich; na ścianach obwieszczenia dotyczące się wystawy.

Salony pierwszego piętra nierównie wytworniejsze. Ściany ich wybite artystycznymi makatami, biura z dębowego drzewa, rzeźbione po mistrzowsku. Malowane okna tłumią jaskrawe światło i nadają miejscu temu jakiś dziwnie fantastyczny urok.

Ale prawdziwem arcydziełem smaku jest tu salon honorowy o sześciu wielkich oknach. Naprzeciw drzwi wchodowych wznosi się pyszny komin z epoki Walezyuszów, ozdobiony bogatą rzeźbą. Komin ten ogromnych rozmiarów, przy upale sierpniowym zakrawa nieco na parodyę, ale nie zapominajmy, że wystawa trwać będzie do późnej jesieni. W dżdżysty dzień październikowy, komin ten przedstawi się w całym blasku, rozjaśniony koszem płonących węgli, lub naręczą smolnego drzewa, zgodniejszego jeszcze z epoką Walezyuszów.

Posadzka w sali zasłana miękkim kobiercem, dwie główne ściany pokryte wspaniałemi gobelinami. Na innych rozwieszono słynne krajobrazy Corota i Daubini'ego. Przepyszny zegar monumentalny ostrzega że czas płynie, a łatwoby zapomnieć o tém, przeglądając tysiące pism, rozrzuconych na długim stole. W liczbie ich znaleźliśmy do trzydziestu dzienników i przeglądów polskich, zgromadzonych z Poznania, ze Lwowa, z Krakowa i Warszawy, staraniem p. Sieciecha Bilczyńskiego.

Wśród licznych broszur francuzkich, jedna podpisana imieniem polskiém, zwróciła szczególnie uwagę naszą. Tytuł jej: *L'Algerie au point de vue Climato-therapique*. Autor dziełka, doktor Edward Landowski, podnosi w niej dobroczynny wpływ algerskiego klimatu, na zdrowie osób, zagrożonych chorobą piersiową, straszną plagą dzisiejszych czasów. Wiadomo, że już za Rzymian, Lybia, obejmująca Algeryę, służyła równie jak Egipt, za zimową ostoję dla patrycyuszów, potrzebujących spoczynku i ukrzepienia. Ze względu na te klimatyczne warunki, dr. Landowski nabył własność nad zatoką morza Śródziemnego. Miejsce to, zwane Tipazo, leży na pochyłości góry, otoczone gajem palm i bambusów, w posród kwitnących aloesów i opuncyi. W dziale wystawy algerskiej widzieliśmy piękny pejzaż olejny pana Brochockiego, przedstawiający tę uroczą oazę. Drzeworyt z tegoż

obrazu, zamieszczony w broszurze, równie jak plan przyszłej osady. Ważnym środkiem leczniczym będzie tu kumys, wyrabiany z mleka oślic, kłaczy, kóz i wielbłądzie, tak szczęśliwie zastosowany w terapii dzisiejszej.

Mówiąc o kumysie wspomnijmy, że ten znalazł wielki odbyt na wystawie paryzkiej. Publiczność garnie się tłumnie do poświęconego mu kiosku. Fabrykacją jego zajmuje się p. Landowski brat doktora.

Ale wróćmy jeszcze do pawilonu prasy. W pośród pism nowo powstałych, zwraca tu szczególną uwagę, tygodnik p. t.: *Le Messenger de l'Exposition*, wydaje go p. Bronisław Wołowski. Praca to sumienna, nierównie dokładniejsza od wszystkich francuzkich przeglądów, poświęconych wystawie. Zalecamy wszystkim tę znakomitą publikację. Kto miał sposobność widzieć sam wystawę, znajdzie tu mnóstwo objaśnień, skazówek i gruntownych wiadomości, dotyczących się tak rozwoju sztuki, jak i przemysłu; kto zaś nie widział wystawy, będzie miał przed oczyma najwierniejszy jej obraz. Dla polskich czytelników tém ważniejszy jeszcze ów tygodnik, że opisuje ze szczególną dokładnością przedmioty wystawione przez Polaków, tak w dziale austriackim i rosyjskim, jak i samodzielnie, pod opieką Francji.

Uważaliśmy tu niemniej, wśród polskich wydawnictw, wyborną książeczkę p. t.: *Przewodnik Paryżki*. Opis Paryża i okolic wraz z opisaniem pałacu wystawy i z dokładnym jej planem. Autorem tego arcypożytecznego dziełka jest p. Horodyński, wydawcą p. Rejff, właściciel drukarni w Paryżu. Mnóstwo tu szczegółów ciekawych i ważnych dla turysty; pomniki wszystkie opisane historycznie, w sposób żywy i zajmujący. Z takim przewodnikiem w rękę, można przez dwa tygodnie poznać Paryż i okoliczne miejscowości.

Wspomnijmy wreszcie ostatnią publikacją p. Rejffa, Katalog Polaków, biorących udział w wystawie paryzkiej r. 1878.

Kronika poznańska.

Sierpień, 1878 r.

Życie nasze obecne na kresach tutejszych przybiera coraz bardziej szarą barwę. Stwierdzamy fakt, nie tajemy zaś bynajmniej folgi pesymizmowi, który w nas nie ma zwolenników.

Troska o byt, troska nie dająca spocząć chwili, stoi dziś na porządku dziennym wśród nas; trosco zaś tej towarzyszy pewien rodzaj kwasu, który objawia się chłodem, przejmującym coraz większe roz-

miary stosunki towarzyskie. Stolica nasza odbija najlepiej na swój fizyognomii stan ten ogólny; atmosfera poznańska duszna a chłodna, i gdyby nie było klubów kilku i pewnych uczęszczanych przez znajomsze sobie gronka piwiarni, widzieliby się ludzie tylko na ulicy, kiwając sobie głowami. Każdy się kurczy, a zamyka w jak najmniejszym kołeczku. Obszerniejsza widownia zaczyna nam być niepożądaną, a jeśli ożywiamy się chwilami, jak np. niedawno temu przy wyborach powszechnych do parlamentu niemieckiego, jeśli rozdrobnione tętna życia skupiają się wtenczas w jedno, to niebawem tém szybciej uprzednia wraca troska. Wybory są u nas doniosłego znaczenia, albowiem pokazują stosunek liczebny żywołu naszego naprzeciw niemieckiemu, który sili się *per fas et nefas* pouczać nas bezprzestannie, że ma większe niż my prawo do bytu. Tymczasem liczby znów jeden raz więcej wykazały, że żywoł żydowski i niemiecki razem, wynosi zaledwie $\frac{1}{3}$ część ludności księstwa, na złość kulturtregerom. Bądź wszelako jak bądź, zwycięstwa te nasze przy wyborach nie napawają nas weselem, bo w twardych warunkach żywota, mimo te zwycięstwa, ani na jotę nic się zmienić nie może.

Niemczyzna wszelkimi środkami stara się nas zasłaniać. Szerzy ona swą inteligencją, wciskać chce się w każdą szczelinę, a na udział innoplemieńców pozwala tylko z pomocą obcego im języka i oświaty. Ztąd wypływa, że warunkiem naczelnym istnienia wszelkiej Słowiańszczyzny wśród Niemców jest zdobywanie podwójnej oświaty, niemieckiej i rodzimiej. Wszystko co w znacznej części z utratą świeżości umysłowej a z straszliwym mazołem zdobędziemy w szkołach, uniwersytetach i t. p., przerabiać zmuszeni jesteśmy pracą osobną, opartą na swojskich potrzebach i pierwiastkach, więc zdobywać zabiegami osobnemi oświatę rodzimą, aby mózdz uprawiać ją, pielegnować, posuwać naprzód; potrzeba koniecznie potrzeby te i zdobycze coraz to nowym ogrzewać ogniem.

Z mową polską w życiu publicznem występować możemy jeszcze tylko na niektórych sejmikach powiatowych, na sejmie prowincjonalnym już wcale nie. W obec sejmów berlińskich, gdzie naturalnie wszystko po niemiecku odbywać się musi, owe sejmiki powiatowe i sejmy prowincjonalne są małego znaczenia. Cóż nam więc w takim położeniu rzeczy czynić wypadało? Otóż korzystać z *prawa o stowarzyszeniach*, w łonie których mamy sposobność i swobodę radzenia o potrzebach naszych w rodzinnym języku.

Ztąd ta zadziwiająca rzec można mnogość najróżnorodniejszych towarzystw. Śledząc od lat kilkudziesięciu ruch ten assocyacyjny u nas, zdumieć się należy nad sposoby nieraz niespodziewanemi, w jaki wchodziło w życie to lub owo przedsiębiorstwo. Przed trzydziestą laty np. zdarzyło się, że zdatny nauczyciel gimnazyalny, w skutek niefortunnnych stosunków szkolnych, porzuca swój zawód, zakłada z pomocą ofiarowanej sobie szlachetnie pożyczki nasamprzód handel żelaza, a uściwszy się w krótkim przeciągu czasu z długu, buduje potem fabrykę

machin gospodarczych, słynną dziś już od lat wielu i między swymi i między obcymi.

Wśród naukowych stowarzyszeń promienieje *Towarzystwo naukowej pomocy*, błogosławioną ręką Marcinkowskiego przed 38 laty powołane do życia. Czwartém już obecnie trudni się ono pokoleniem i daje świadectwo, że zwątpić jeszcze nie godzi się, chociaż w czasach tak materializmem przesiąkniętych jak dzisiejsze, o mocy życiodajnej celów *idealnych*, skoro ofiarniejsza część społeczeństwa z tak rzadką wytrwałością, cele te szlachetnie popiera. Instytucya naukowej pomocy stoi wszakże na bezprzykładnie trwałém u nas prywatném opodatkowaniu się dobrowolném, niezagrożona, mimo rozterków w innych sprawach, żadnym objawem rozdziału. W téj jednej instytucyi myśl i wykonanie wytrwałe w harmonijnej zespolone jedni. Oprócz składek trwałych, wpływają jeszcze bezustannie datki w charakterze funduszów wieczystych na rzecz Towarzystwa. W ostatnim roku wpłynęło przeszło 37,000 złotych, a osoba niechęca być nazwaną, złożyła do kasy Towarzystwa aż 30,000 złotych. Liczba stypendyatów wynosiła 150, z których 17 zajęło już chlubnie miejsca swe czynne wśród społeczności.

Po zniesieniu alumnatów, konwiktów i seminaryów napływ potrzebującej wsparcia młodzieży tak był przecież wielkim, że Towarzystwo aczkolwiek miało 94,000 złotych dochodu, nie mogło uwzględnić znacznej bardzo liczby aspirantów, bo aż blisko 100. Składających do Towarzystwa członków jest 2,310.

Drugim służącym oświacie narodowej towarzystwem jest *Towarzystwo przyjaciół nauk*. Fundusz jego żelazny składa się z jednorazowych składek po 200 tal., oraz z składek rocznych po 4 tal. przeznaczonych na zwykłe wydatki. Zrazu miało swą siedzibę bezpłatną, w gmachu biblioteki Raczyńskich, ale gdy magistrat niemiecki Poznańa wyprocesował własność gmachu dla miasta, wszystko wyprowadzić się było zmuszone. Tymczasem zbiory zwiększały się coraz szybciej. Niedostatkowi palącemu zaradził Seweryn hr. Mielżyński nabywszy dom dla Towarzystwa, oraz wyznaczywszy fundusz na wzniesienie *muzeum*, którego budowa już na ukończeniu.

Mienie Towarzystwa niedawno co ubezpieczone zostało dokumentami hipotecznymi, które wręczył rządowi spodkobierca ś. p. Sewer. Mielżyńskiego, Józef hr. Mielżyński. Rezultaty dodatnie działalności Towarzystwa z ostatnich dwóch lat streścić się dadzą w pięciu punktach. Rozstrzygnięty nasamprzód został *konkurs* dramatyczny z zapisu ś. p. Bredkrajca, ogłoszony konkurs nowy, oraz ogłoszony konkurs na temat historyczny; wydany został I tom *Kodeksu Wielkopolskiego*; rozpoczęto kopiowanie *Liber beneficiorum* arcybiskupa Jana Łaskiego, zrestaurowana *kaplica Potockich* w katedrze Gnieźnieńskiej, przy pomocy członków tejże familii, wreszcie wydane *Roczniki*. Najważniejszą z prac w nich umieszczonych jest rozprawa dotycząca *Liber beneficiorum*. Znaczenie jój ogromne było w historii, skoro sprawa została

spisaną z powodu podatków, nałożonych za Zygmunta I przez sejmy na duchowieństwo, a służyła zarazem poborowi na świętopietrze. Autor szuka historycznej daty i wykazuje że pisaną być zaczęła księga Łaskiego r. 1511 a ukończoną została 1523. Jako księga erekcyjna służyła ona aż do ostatnich czasów za każdym razem, gdy przychodziły spory dotyczące uposażenia probostw. Towarzystwo, jak już nadmieniliśmy, zajęło się przekopiowaniem *Liber beneficiorum*, a mianowicie części pierwszej, zachowanej w archiwum kapituły gnieźnieńskiej. Odpis drugiej części, znajdującej się w Kaliszu w archiwum Kolegiaty Ś. Mikołaja, przychodzi, po usunięciu dotychczasowych przeszkód, także do skutku. Druk wszelako wymagać będzie kosztów, na jakie nie stanie Towarzystwa. Inne rozprawy i artykuły w Rocznikach umieszczone są: o *Bażyńskich (Bajzenach)*, o *Roczniku Małopolskim, najstarsze statuta kapituły Gnieźnieńskiej*. Co do tych statutów, nadmieniamy, że sięgają tylko XV wieku. Jeśli są jakie starsze, to spodziewamy się chyba ujrzyć je w *Kodeksie dyplomatycznym Wielkop.* Dalej idzie rozprawa o *Urnach z krzyżami, Epizod o oblężeniu Poznania w r. 1704, rzecz o pieśni Boga-Rodzicy* ze stanowiska stylistycznego, rytmicznego i składniowego. Sam prezes Towarzystwa napisał *O kaplicy Teodora Potockiego w Gnieźnieńskiej archikatedrze*, przyczem na dokumentach oparte daje data, dotyczące śmierci arcybiskupa Krasickiego, która nastąpiła w marcu r. 1801 w Berlinie, przewóz zaś zwłok z kościoła tamecznego Ś. Jadwigi do kaplicy Potockich w Gnieźnie w r. 1829, za arcybiskupstwa ks. Wolickiego.

Bacząc, że Towarzystwo Przyjaciół Nauk niekoniecznie jest to samo, co Towarzystwo samych uczonych, pożądanemby było, aby wielka większość członków dostępniejszy otrzymywała pokarm, aniżeli go zwykły dostarczać roczniki. Styczeńności żywszej z życiem życzyć należy.

Towarzystwo *Oświaty ludowej* w rozwijaniu się swém małe dotąd wykazuje owoce. Pochodzi to ztąd, że chciało koniecznie mur przebić głową, bo wpływać na lud nie ujawnszy sobie tych pośredników, którzy faktycznie pośrednictwo to dzierżą. To też o owocach pisać nie będziemy, raczej podzielimy się z wami wiadomością, jaka nas doszła, a która spodziewać się może rzeczywistego postępu w témże Towarzystwie. Otóż władza duchowna oświadczyła, że aczkolwiek duchowni stosować się i nadal mają do rozporządzeń, wzbraniających przystępu do stowarzyszeń wyłącznie świeckich w charakterze rzeczywistych członków, wszelako mogą zbawienne świeckich stowarzyszeń zamiary popierać, a mianowicie w rzeczy Towarzystwa oświaty ludu rozszerzać dobre książki, przez władzę duchowną aprobowane.

Kilka osób dobrej woli powzięło przed sześciu laty myśl założenia Towarzystwa pomocy naukowej dla dziewcząt. Myśl poczciwa, ale wykonanie chroma, bo funduszków dostatecznych, obok innych tylicznych składek, zebrać niepodobna. Nauka handlu pokazała się tak dalece bezowocną, że uczennice, po ukończeniu szkoły przemysłowej,

umieszczenia znaleźć nie potrafiły. Najłatwiejsze pomieszczenie znajdują te uczennice, które zawód kulinarny lub wiejskiego gospodarstwa obrały. Najwięcej zaś aspirantek ma krawieczyzna. Na naukę wyższej pensyi, piędź zdołano oddać panienek.

Że prasa nasza peryodyczna nie małą także gra rolę w rozszerzaniu oświaty, rzecz naturalna: zdarza się jednak, że chociaż nieraz znakomicie kwestye pojedyncze obrabia, przyczynia się, gdy ją zapał walki ogarnie i do bałamucenia, a to dlatego, że jak wszędzie tak i u nas wielu ludziom nawet pewnym wykształceniem się cieszącym, wystarcza przeczytanie pisma lub pism, które ich na jakąś utworowaną już drogę wprowadziły. Obie codzienne gazety polityczne *Dziennik* i *Kuryer* przedstawiają dwa najwybitniejsze w społeczeństwie naszym wielkopolskim prądy tak zwane liberalne i ultramontańskie. *Dziennik* często grzeszy przeciw katechizmowi, podczas gdy *Kuryer* zwykł tylko podług katechizmu sądzić. Koniec zaś końcem jesteśmy zdania, że prędzej czy później zasadnicza ta walka przyczyni się do wyklarowania wielu stosunków i rzeczy, które dotąd traktowaliśmy zbyt ogólnikowo i po dyletancku. *Orełdownik*, pismo polityczne, trzy razy tygodniowo wychodzące, przeznaczone jest głównie dla małego mieszczaństwa, które podnieść usiłuje. Styl jedyny, sprawy jasno przedstawiane, chociaż brak mu miary tej wytrawnej, jaka mianowicie w tego rodzaju piśmie zachowaną być winna.

W tym samym kierunku co *Orełdownik*, pisuje *Goniec Wielkopolski*, *Warta*, *Gwiazda*, *Niedziela*, *Lech* uzupełniają szereg pism peryodycznych. Może później bliżej zastanowimy się nad całym piśmiennictwem naszym; na dziś poprzestać musimy na tej wzmiance.

Z książek, świeżo wyszłych przytaczamy wspomniane już wyżej *Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk*, oraz *Rocznik IV-ty na r. 1877 Kółek Włosciańskich*.

W druku są: drugi tom *tlómaczenia Horacyusza* przez znanego lingwistę, prof. Antoniego Bronikowskiego, drugi tom *Kodeksu dyplomatycznego Wielkopolskiego*, *Złota księga szlachty polskiej* Teodora Żychlińskiego, *Złote Myśli* z dzieł J. I. Kraszewskiego, przez Stanisława Wegnera, *Kalendarz Rolniczo Przemysłowy* z zyciorysem J. I. Kraszewskiego.

Że teatr rodzimy wśród nacisku niemieczyny niełada pomoc przynieść może naszej oświacie, uznaliśmy już dawno, a przykład Czechów dodał nam tém większą otuchy. Jak tylko więc, wedle nowych praw, teatr policzony został za proceder, postanowiliśmy nie zależeć już dłużej od łaski dyrekeji niemieckiej teatru miejskiego i postarać się o własny budynek.

Ale myśl ta niełatwa była do wykonania wśród społeczeństwa ubogiego a tak bardzo w wszelkich kierunkach składkami obciążonego. Zrazu tedy szła rzecz dosyć opornie, ale wytrwałość i zabiegi nieustające doprowadziły ostatecznie budowę i urządzenie teatru na akcye do skutku. Dziś już od lat kilku mamy naszą scenę i naszą trupę, dziś i uprzedzeni mogli się przekonać, że wrażenia rodzime, jakich teatr

widzom udziela, działając na ich rozum, serce i wyobraźnię, niczém zastąpić się nie dadzą. Dług, ciężący na teatrze, wynosił zeszłego roku jeszcze 30,000 złotych, obecnie wynosi tylko już 18,000 złotych; 12,000 bowiem upłacono składkami dwuzłotowemi, które nałożyli dobrowolnie na siebie czytelnicy pisma poznańskiego, które pierwsze myśl podobnych składek poruszyło i do nich zagrzewało. Budynek teatralny, dziwnym zbiegiem okoliczności, stoi w podwórzu, zakryty kamienią od ulicy. Wygląda to, jak gdyby dlatego przycupnął w kątku, że nie chce zgać w oczy wrogich żywiołów.

Wzniesienie i zabezpieczenie podobnych instytucji jak: *Naukowa pomoc*, *Towarzystwo Przyjaciół Nauk*, *Teatr*, zdawałoby się świadczyć, że społeczeństwo nasze nie jest ubogiem. Tymczasem jest ono ubogiem; co więcej, ubożeje coraz bardziej w skutek przechodzenia coraz szybszego ziemi w ręce niemieckie. W wszystkich niemal okręgach wyborczych zwiększyły się tym razem głosy na kandydatów niemieckich, co przypisać należy ubytkowi właścicieli polskich. W ciężkich, prawdziwych warunkach ekonomicznych, ale, mimo to, nie tracilibyśmy tyle ziemi, gdyby nie życie nad stan u góry, a lichwa u dołu. Do nieprzyjanych warunków ekonomicznych zaliczamy między innymi brak robotników wiejskich. Znaczna ilość ludzi roboczych nauczyła się dążyć za zarobkiem w dalekie strony, do miast, gdzie pewna część pozostaje, mniemając łatwiejsze znaleźć utrzymanie niż na wsi. Chcąc zaradzić ubytkowi temu, trzeba by zmienić dotyczące prawodawstwo, zezwalające na nieograniczoną wolność przesiedlania się. Zbyt zboża także nielada bywa utrudniony. Koszta transportowe spadły w skutek tworzenia się coraz lepszych środków komunikacyjnych do *minimum*, zboże z Węgier, od was, a nawet z Ameryki jest tak tanie, że konkuruje na dobre z naszym,niżając je ciągle. Znalazł się obywatel p. Ludwik Zychliński, który dał sobie pracę wysiedzenia, ile morgów większej własności, czyli ile majątków polskich w ostatnich 30 latach przeszło do rąk niemieckich i oto wypadła na końcu ubiegłego roku suma aż 976,000 morgów. Wśród bieżącego roku już znów 30,000 m. doliczyć możemy, tak że 1,000,000 m. z okładem utraciliśmy. U dołu lichwa coraz natarczywiej lud nasz rujnuje i wywłaszcza. Trudnoby było, choć w przybliżeniu podać ubytek ten, ale musi być bardzo znaczny, jeśli choć połowa tego, co słyhać, jest prawdziwą. Zresztą dość przypatrzeć się tak zwanym dziennikom urzędowym powiatowym, które co rok więcej subhast chłopskich gruntów ogłaszają. Majątki polskie, będące przeważnie szlacheckimi, wynoszą obecnie w naszym księstwie nie więcej jak 2,780,000 morgów, podczas gdy niemieckie doszły już do 3,423,000 m.

Systemata, jakich lichwiarze używają, aby prawnie wieśniaka obedrzeć są rozliczne. Przytoczę np. jeden z nich. Jakiś Szmul lub Mozes skarży o sumkę 10 talarów np. dobrze postawionych majątkowo gospodarzy i zdaje się, że skarży ni w pięć ni w dziewięć, skoro mu ani grosza nie są winni. Oskarżony przybiega z oburzeniem do Szmula,

który zadziwionego udaje, że nie o skardze nie wie i że to widocznie pomyłka pisarza czy buchaltera. Obiecuje wreszcie uroczyście, że skargę cofnie natychmiast. Nie czyni tego jednak, a zgrabnemi manewrami doprowadza do tego, że wieśniak na termin się nie stawia, i proces przegrywa. Szmul nigdy o egzekucyą nie wnosi, jeśli stodoła pełna, egzekutor przychodzi dopiero przed żniwami. Zafrasowany gospodarz udaje się wtedy do prośby, skłania się nawet do podpisania weksłu, którego zwykle na czas nie zapłaci. Dalszy przebieg jasny i w dziesięciu razach, pięć razy chłop pada ofiarą przebiegłego oszusta.

Aby od lichwy uwolnić chłopą, powzięto myśl *banku Włościańskiego*. Wszedł wprawdzie w życie, zasilony hojnie przez hr. Działyńskiego, ale gdy maleńkim tylko stosunkowo do potrzeb ludzi na obszarze księstwa, rozrządza funduszem, maleńką też tylko przynieść może pomoc.

W roku minionym zaczęto radzić o innym sposobie ratunku. Umyślono utworzyć towarzystwo kredytowe dla własności włościańskich, ku czemu i rząd się przychylił. Ta przecież zachodziła różnica między zapatrywaniem obywateli a rządu, że pierwsi dla bardzo zresztą ważnych powodów, nie życzyli solidarności swego ziemstwa z proponowanym chłopskim. Sprawa przewlekła się więc aż do końca czerwca r. b. Zeszłego roku można się jeszcze było spodziewać, że odrębna instytucja kredytowa dla chłopskich posiadłości przyjdzie do skutku, dziś nadzieję tę trzeba było porzucić, i albo przyjąć propozycyą przedłożoną, albo puścić mimo jedyną kotwicę ratunku dla zagrożonych małych właścicieli. Walne zebranie delegatów ziemstwa kredytowego uchwaliło koniec końcem przeciw 12 głosom, udzielanie pożyczek na własności włościańskie wyższej niż 12,000 złotych wartości, a udzielanie rzeczonych pożyczek wedle norm komitetowym regulaminem określonych.

Więc *jacta est alca*. Wielu utrzymuje, że polscy właśnie chłopci nie będą mogli w dostatecznej korzystać liczbie z tego źródła kredytu, skoro własność ich w przeznaczonj części jest małą, bo od 40—60 lub 80 morgów, że więc obywatele ryzyko na jakie przystali, ponosić będą dla niemieckich raczej małych właścicieli, jak dla polskich. Do tej kwestyi w niesłychanym stopniu ważnej, później jeszcze powrócimy.

Gdybyśmy chcieli pomówić o tej ogromnej ilości stowarzyszeń, jaka istnieje wśród nas, scharakteryzować działalności i fundusze każdj, tom cały trzebaby podobno napisać. Jedne kwitną, drugie się włoką tylko, są i takie które li gorliwość jednostki podtrzymuje. Bank jedyny polski, jaki mamy w Poznaniu, zaczął świetnie, dziś chroma i trudno przewidzieć, czy się wyleczy z niedomagania lub nie.

Stowarzyszenia ograniczone u góry, kółka włościańskie, których jest już 110, u dołu, reprezentują na zewnątrz ruch agronomiczny; urządzają się lokalne wystawy, to tu, to owdzie, z różnym skutkiem, a chociaż nikt z wystaw nie nauczy się gospodarować lepiej, to choć

zyska, że przypatrzy się obrazkom sił społeczeństwa, które wystawy urządza.

Kasy pożyczkowe po miasteczkach, stowarzyszenia czeladzi rzemieślniczej, nauczycieli wiejskich, zecerów, przemysłowców, mnożą się bezustannie. Istnieje i bank zabezpieczeń na życie, zwany *Westa*. Upadło Towarzystwo żeglugi po Warcie i kilka innych znaczniejszych przedsiębiorstw, jak np. Garbarnia. Miarę we wszystkim zachować, to sztuka warta nauczania. Francuz powiada: *qui trop embrasse, mal étreint*. Pod nie jednym względem winniśmy sobie tę maksymę przyswoić, jeśli nie chcemy narażeni być bezustannie na zawód, straty i klęski.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Filozofia i jej zadanie przez ks. Maryana Morawskiego T. J.
(Lwów 1877).

Zadaniem obecnej książki nie jest szczegółowy wykład takiego albo innego systematu filozoficznego, ale tylko oznaczenie tych ram jakie powinny złożyć system filozofii rzetelnej. Aby uzasadnić krytycznie to oznaczenie autor poprzedził je wyrażeniem poglądu na dotychczasowy przebieg filozofii, i ocenieniem różnych jej dróg. Powstała ztąd nieuboga w szczegóły całość, i poznamy tu najprzód czytelnika z głównym zarysem jej.

We *wstępie* zaznacza autor, iż dzisiejszy stosunkowo upadek i zaniedbanie filozofii jest skutkiem zbytniego wygórowania spółcześnie nam nauk przyrodniczych. „Gdy dwa drzewa rosną na tém samym miejscu a jedno z nich nagle i silnie wybuja, drugie na tém cierpi. Stan taki trwać jednak nie może. Wszystkie nauki i wszystkie umiejętności ściśle z sobą są powiązane.” Są to, jak mówi autor: planety wirujące około jednego słońca prawdy, im więcej się rozprzestrzeniają i dzielą, tém więcej potrzeba im tej wspólnej podstawy, którą jest filozofia. Mylnem przeto twierdzenie jest tych, którzy głoszą iż filozofia nie ma dziś czego robić między nami, „i owszem, dziś więcej niż kiedykolwiek potrzeba nam filozofii.”

W Rozdz. I mającym napis *ogólne pojęcie* filozofii i jej zadania, autor objaśnia iż przez filozofią rozumie nie taką lub inną teorią dyalektyczną, ale „naukę obejmującą całość wszystkiego co może być przedmiotem myśli ludzkiej” (18), „Filozofia ma powiedzieć fizykom co

jest ciało, natura; fizyologom co jest życie, matematykom co ilość i przestrzeń, mistrzom sztuki co piękno, prawnikom, politykom, ekonomistom co jest prawo, moralność, w czem szczęście ludzkości." Zadaniem słowem nauki téj jest: „rozwiązywać najwyższe zagadnienia wiedzy ludzkiej, wyłuszczać i uzasadniać pewniki na których wszystkie inne umiejtności się opierają.”

Rozdz. II ma napis: *Pogląd na dzieje filozofii*. Jakkolwiek podstawa rozwoju tak dziejów jak filozofii jest swoboda woli jednostek, które je kształcą, dzieje te jednak, dodaje autor nie są choasem i mierząc uważnym okiem ich całość, można dopatrzeć na tle nieskończonych rozmaitości niektóre stałe rysy, niby regularne prądy wśród burzliwego myśli ludzkiej oceanu, a jednym z tych stałych rysów czyli praw jest kolejna zmiana prądów idealnego i materyalnego. Przyczém wskazuje autor na głównych reprezentantów obu tych prądów w przebiegu dziejów filozofii, a mianowicie na filozofów kierunku empirycznego od Talesa do Comte'a, kierunku idealistycznego od Pitagoresa do Hegla, i zarazem dodaje: iż w tym przebiegu odznaczyli się jednak głównie reprezentanci prądów *łącznych*, to jest kierunku empiryczno-idealnego, a do takich należą: z filozofów dawnych Sokrates, Platon, Arystoteles, w wiekach średnich doktorowie kościoła i scholastycy, w wieku nowym Kartezyusz i Bakon.

Rozdziały III, IV, V i VI poświęcone są bliższemu objaśnieniu i ocenieniu najobszerniejszego wykwitu prądu idealnego to jest filozofii niemieckiej od Kanta do Hegla. Oznaczenie przez Kanta w jego *krytyce czystego rozumu*, że podstawą sądów rozumu są: „syntetyczne sądy apryori” to jest sądy niezależne od naszych wrażeń czyli naszego doświadczenia, było źródłem jak wszystkich głównych wniosków filozofii Kanta, tak i wszystkich późniejszych głównych filozofów niemieckich, którzy jakkolwiek nieraz walczyli z Kantem, ale właśnie tylko ową jego zasadę loicznie rozwijali. Fichte ów apryoryzm Kanta nazwał naszym *Ja—Schelling* naszym *Ja—Nieja* czyli *Absolutem*, Hegel *pojęciem dyalektycznym*. Przy takich założeniach i wnioskach nie stało w systematach filozofii niemieckiej miejsca ani dla pojęcia Boga ani nieśmiertelności duszy, jój religią stał się panteizm, i owszem skończyła ona u Hegla na większym uznaniu bluźnierstwa niż nawet materyalistyczny ateizm, a mianowicie iż jednym Bogiem wśród świata, Bogiem uznającym się w sobie, jest człowiek (duch człowieka). Ostatecznymi zaś następstwami i wynikiem tego systematu było: w polityce ubóstwienie Państwa (Prusy to *wirkliche Gott*, Bóg rzeczywisty: uczył z katedry Hegel), w umiejtności czysty ateizm, w religii apoteoza nicosci (Hartmann).

Rozdziały VII, VIII i IX poświęcone są bliższemu określeniu spóczesnego nam materyalizmu i jego bezpośredniego dziecka, pozytywizmu. Autor lekko tylko dotyka teoretycznych zasad pozytywizmu, a zwraca głównie uwagę na jego wnioski, a mianowicie na te pięć twierdzeń głównych do których doszedł: 1) że materya i ruch są odwieczne, 2) że z téj materyi i ruchu powstały i nasze światy, 3) ziemia kształci

się przez miliardy lat, a w pewnych warunkach i chwilach życie objawia się na niej samorodztwem, 4) ztąd powstały wszelkie rośliny i zwierzęta, i wreszcie 5) przez utwierdzenie się *rozumu*: człowiek i dzisiejszy świat który utworzył, i po rozbiorze tych kwestyj wnosi, iż tak filozofii pozytywnej jak i materjalizmu jedynym tylko ostatecznym wnioskiem jest i być może sceptycyzm oraz ateizm.

Rozdziały X, XI i XII poświęca autor owemu wzmiankowanemu wyżej kierunkowi łącznemu empiryczno-idealnemu, czyli scholastyce dawniej i nowiej. W przedstawieniu treści i dziejów dawniej scholastyki, autor zastanawia się głównie nad traktatami Alberta W. i znajduje iż naukowość i uniwersalność tego doktora prześcigała nawet uniwersalność Arystotelesa, łączył bowiem do tej i wiedzę chrześcijańską, najobszerniej zaś nad dwoma traktatami ucznia Alberta W. św. Tomasza z Akwinu; a mianowicie nad jego *Summą* nazwaną *ad Gentes* to jest pisaną dla niewiernych i *Summą Teologiczną* przeznaczoną dla chrześcian. W tej ostatniej dogmata chrześcijańskie uważane są jako twierdzenia, w pierwszej wykładane są tylko jako niesprzeciwiające się rozumowi naturalnemu. O summie teologicznej autor po przytoczeniu jej głównego zawarcia i sposobu wykładu wyraża iż ma (ona) uderzające podobieństwo do tych wspaniałych katedr gotyckich, które w tymże XIII wieku wzniosły się po Francyi i w Niemczech nadreńskich. Nader ciekawem i dla wielu nowem jest to, co autor tu mówi w końcu (w Rozdz. XII) o scholastyce nowiej czyli o wskrzeszeniu dawniej scholastyki. Jest to kierunek, założycielami którego według autora byli: Balmes Hiszpan i Dmowski ziomek nasz (b. prof. w *Collegium Romanum* i autor dzieła *Institutiones philosophicae*). Kierunek ten, który reprezentanci jego podjęli w skutek wyraźnego bankructwa wszystkich dotychczasowych systemów filozoficznych, jest to kierunek co do ram swych najszerszy, łączący bowiem w swjej treści, tak jak scholastycyzm dawny, lekką empiryą z idealizmem i zarazem prawdy wiary chrześcijańskiej, co do metody zaś jego loiczność ścisłą; różni się zaś od scholastycyzmu dawnego iż odrzuca bezwzględna powagę Arystotelesa, system komentarzy, i kwestyi do komentarzy wciskanych, a na to miejsce stara się o ujęcie filozofii w systematyczny całokształt. Autor wylicza te czasopisma które w kilku językach i literaturach kierunek ten dziś protegują i propagują a także celniejszych pisarzy tego kierunku we Włoszech, Hiszpanii, Francyi i w Niemczech, (z pisarzy niemieckich wymienił tu: Klentgen, Stöckell, Klaussman, Margott), i dodaje: „kierunek ten, uważany w swych zasadach, jest nie tylko względnie czyli w porównaniu do innych dzisiejszych filozofij najlepszym, ale też bezwzględnie prawdziwym.”

Doszedłszy autor w ten sposób w drodze historyczno-krytycznej, na jakim mianowicie kierunku filozofia rzetelna wesprzeć się winna, przystępuje w rozdziałach XIII i XIV do głównego zadania swego, to jest do określenia tych ram, które powinny złożyć treść filozofii rzetelnej. Z dwu dróg, jakimi możemy dociekać istoty rzeczy *analitycznej*

i *syntetycznej*, autor obiera tę ostatnią, a to z tej zasady że „wychodząc ze stanowiska *a posteriori* (t. j. samego doświadczenia), nie mamy żadnej ręką, że umiejętności któremi się faktycznie ludzkość zajmuje (a które w tym razie musielibyśmy uważać za całość źródła), ogarniają istotnie wszystko.” Za przedmiot więc całkowitej filozofii oznacza *ogół* a mianowicie *był*, i uważa iż ten był wypada uważać pod trojakim względem, jako był w *sobie*, jako był w *wiedzy* i jako był w *woli*; pierwsze zaś z tych badań daje nam *metafizykę*, drugie *logikę*, trzecie *etykę*: trzy te działy kładzie więc autor za kolejne części swej filozofii. Co do *logiki* (o części tej mówi najprzód), nie należą do nauki, według autora akty rozumu: pojęcia, sądy, rozumowania, bo to są przedmioty psychologii, „logika zaś studyuje aktów tych przedmiotowość.” Ponieważ zaś przedmiotem rozumu jest wszystko, wypada więc że przedmówka logiki jest *wszechbył*, nie jakim jest w sobie ale jak się odnosi do rozumu, i w rozumie się iść. Człowiek z daru natury posiada logikę naturalną. „Nieznając jeszcze prawideł logiki, z przyrodzenia logicznie myśli, tak samo jak nieznając prawideł równowagi z przyrodzenia prosto chodzi.” Ztąd jednak nie wynika by logika umiejętna nie potrzebną była. „Prawda że człowiek i bez świadomości prawideł syllogizmu snuje w rozumowaniu syllogizmy prawidłowe, złe w zagadnieniach zawilszych; w wycieczkach rozumu dalszych, często nie odróżni on paralogizmu od syllogizmu.” Zadaniem logiki jest: dochodzić praw poznawania wszelkiej prawdy. W badaniach prawdy zastanawiać nas muszą treść i forma, logika więc rozpaść się musi na logikę materialną czyli *krytykę* mogącą się zwać i filozofią *fundamentalną* oraz *dyalektykę*. Punkt wyjścia filozofii rzetelnej musi łączyć fakt empiryczny Kartezjusza *myślę więc jestem*, idealny Fichtego (A. A.), oraz ten pewnik że prawdą jest oczywistość. Pierwszy z tych warunków osadza podmiot wiedzy, drugi jej przedmiot, trzeci stanowi łącznicę. „Na tym trójnogu stoi filozofia.” Ale, zapytuje autor, jakże stoi sam ten trójnog? Zkąd upewniamy się o tych trzech pewnikach?” i odpowiada iż: jedynym możliwym wyjściem jest okazać, że te trzy pewniki są przedmiotem intuicji umysłowej. Następnie krytyka ma się zająć sposobami dochodzenia prawdy i oznaczyć kryterium prawdy. Tém kryterium według autora jest *oczywistość* (*clarté* Kartezjusza?). Co do logiki dyalektycznej autor objaśnia, iż ta główną jest w filozofii, od niej wszystko zależy. „Gdyby Hegel, mówi, był lepszym dyalektykiem, nie mielibyśmy Hegla.”

Metafizyka nie jesto według autora, *philosophia prima* Arystotelesa, ale jest umiejętnością ogólną o bycie samym w sobie i możnaby nawet ją nazwać filozofią *przedmiotową*, *realną* (261). Bada ona również materią jak ducha, również stworzenie jak Stwórcę, „pola umiejętności przedmiotowych: fizyki, chemii, fizjologii, nie są odrębne od pola metafizyki. Metafizyka jest podstawą i uwieńczeniem wszelkich umiejętności przedmiotowych” (262). Dzieli się ona na *ogólną* t. j. mającą za przedmiot pewną ogólną spólność wszystkich rzeczy i odpowiada wtedy filozofii pierwszej Arystotelesa czyli według filozofii nowej *on-*

tologii i szczególnej, mającą za przedmiot osobne studjum najwyższych rodzajów bytu, a mianowicie Boga i Jego ogólnych utworów Ducha i Materji. Podziałkami tej Metafizyki są: *Teodycea*, *Pneumatologia*, *Kosmogonia*. Z uwag o tych oddziałach przytoczymy tu następane: „Teodycea, z której filozofowie transcendentalni zrobili tak nieprzystępne zbiorowisko mglistych i powikłanych pojęć, jest w istocie pod względem metody i pewności najwięcej zbliżoną do umiejętności *matematycznych*” (270). Dotykając przedmiotu pneumatologii wyraża między innymi autor, iż za *duch* uważane być muszą nietylko istoty *myślące*, ale też wszystkie wyższe od materji, „jakiemi są niezawodnie tak zwane *dusze zwierzęce*, a nawet, według mniemania animistów, pierwiastki życia w roślinach.” O psychologii mówi: „Pod wpływem materializmu i pozytywizmu spadła ona z jasnych wyżyn filozofji w jakieś pokątne *czysto-empiryczne* badania, zamieniła się w gałąź medycyny.” Dodaje jednak także: „Psychologia musi wychodzić z doświadczenia, trzeba wykazać, że dusza jest rzeczowo różną od ciała, substancją niematerjalną, posiadającą życie jakby w sobie.” Kosmogonia (Filozofia Natury) musi objąć liczne oddziały nauk przyrodniczych, ale zwrócić nadto należy uwagę na naukę łączącą te działy, na świat jako świat.”

Etyka. Człowiek jak ma w sobie *naturalne* prawa loiczne, tak i etyczne; wszakże jak dla badań wyższych potrzebna logika, tak dla prawodawstwa etyka, „zwłaszcza gdy formy konstytucyjne powołują dziś wszystkich do wyrzekania o tém.” Niema ona wychodzić ani ze stanowiska *à priori* ani *à posteriori*, ale pośrednio. Dzielić się winna na ogólną i specjalną. „Uczynki są dobre, gdy prowadzą do celu, w którym jest istotna przyrodzona szczęśliwość człowieka” (280).

Po wyliczeniu w rozdziale XIV głównych metod, używanych w filozofji, jako to *dialogowej*, *wykładowej* i *dyalektycznej* i oświadczeniu się za „*wykładową* z przymieszką dyalektycznej,” w rozdziale XV i ostatnim mówi autor *O stosunku filozofji do wiary*. Wiara tém się różni od filozofji (uważa), iż gdy twierdzenia dane uznajemy w filozofji za prawdę z powodów *wewnętrznych*, t. j. wywodów rozumowych, w wierze z powodów *zewewnętrznych*, t. j. wiarogodności świadków. Wiara jest źródłem poznań i w naukach przyrodniczych, np. w fizyce, kiedy przestajemy na wierze w doświadczenia obce. W każdej nauce na uznanie jej prawd wpływają nietylko dowody, ale i *powaga*, t. j. wiara w powagę. Autor nie jest za uznawaniem bezwarunkowem powagi, za poleganiem na słowie mistrza. „Takie uznawanie powagi jest szkodliwem dla filozofji, albowiem hamuje postęp.” Powaga ludzka niema mieć głosu stanowczego dla filozofji, a tylko głós doradczy. W końcu zaś objaśniając ostatecznie swe stanowisko dodaje: „Taki jest stosunek filozofji do wiary w powagę *ludzką*, lecz całkiem inaczej rzecz się ma względem wiary w powagę *Boską*, ta stanowczo i ostatecznie kwestye rozstrzyga. Zastanawia się jeszcze autor jak była i jest uważaną ta kwestya stosunku wiary do rozumu w samem Chrześcijaństwie i rzecz tę kończy uwagą następującą: „Spór o tém zagadnieniu toczy się śród

Chrześcijaństwa od tak dawna, jak dawno istnieje Chrystyanizm. Jak za dni naszych Lammenais wszelką prawdę wyprowadzał z objawienia, rozum zaś osobisty potępiał, Strauss zaś ze wszelkiego objawienia, jako niedorzeczności, szydził, a Pius IX rozstrzygał, że wiara i filozofia są w zgodzie, a prawda prawdzie się nie sprzeciwia; tak już w II wieku Kościoła, z jednej strony Tertulian, w imieniu wiary, wyklinał filozofią, z drugiej Celsusz, Porfiryusz, Krescencyusz wiarę chrześcian mienili wiarą idiotów, a z trzeciej Justyn, Klemens Aleksandryjski i Orygenes nauczali, że wiara i filozofia to dwie strony tego samego słowa.”

W takich ramach i głównych wnioskach rozwinięty jest traktat ks. Maryana Morawskiego. Jestto wykład w stosunku do skromnego napisu, obszernie wypracowany i roztoczony. W pracy autora, stosunkowie mówiąc, widać należne przygotowanie i różnostronne czytanie. Wykład jest wszędzie logiczny, poważny, jasny, styl prawie ozdobny, od czasu do czasu i myśl więcej uderzająca. Treść książki ma też z wielu względów i cechy postępowe. Wychodząc autor w swych celach, poglądach, rozbiorze, ze świeżo wyrażonego orzeczenia na Soborze Watykańskim, iż „ktoby mówił, że poznanie Boga nie może być osiągnięciem samym rozumem prostym z widoku rzeczy stworzonych, niech będzie wyklętym”¹⁾, nie tylko nie nastaje na rozum i inne ziemskie pierwiastki, ale wychodzi wszędzie ze szczególnego szacunku tak dla rozumu, jak dla wszystkiego co jest, tak dla materji, jak i wszelkich nauk, uznaje istnienie postępu, a za cel jego dążenie do jedności oznacza. W metodzie swój nie jest, jak to widzieliśmy, ani jednostronnym mistykiem, ani témwięcej wyłącznym empirykiem, lecz oba te stanowiska łączy. Filozofia autora jestto, rzecz można, szkoła idealno-realna dzisiejszej filozofii niemieckiej, tylko, że uznając za obowiązek łączyć zarazem i wyznawanie prawd chrześciańskich,—nie Krystyana Krauzego i jego wyznawców, ale głównych doktorów katolickich z wieku scholastyki za mistrzów swych bierze.

Uważana, jako podarunek dla chrześcian, książka ks. Morawskiego, jest więc przybytkiem pożądanym i pożytecznym; uwagi w niej wyrażone o fałszywości stanowisk niemieckiego transcendentalizmu i różnych odnóg dzisiejszego materyalizmu, mają liczne swe strony słuszne i podać mogą pole do dalszych uwag. Czy jednak książka ta może się uważać za przybytek tegoż znaczenia, zarówno i na skalę szerszą? czy może w czém wpłynąć na zmianę przekonań tak materyalistów, jak też (jeżeli jeszcze gdzie istną) transcendentalistów? czy mimo jasno określone cele, mieści jakie pierwiastki, któreby mogły wpłynąć na pojednanie różnych dróg filozofii? Na to wszystko, co do nas, nie mogliśmy odpowiedzieć twierdząco.

¹⁾ Si quis dixerit Deum unum et verum, Creatorem et Dominum nostrum, per ea quo facta sunt, naturali rationis lumine, certo cognosci non posse, anathema sit. *Sess. III, Cap. II, 1.*

W rozdziale I, jakto widzieliśmy, autor wyraźnie oznaczył, iż przez filozofią rozumie „całość wszystkiego, co może być przedmiotem myśli ludzkiej” (18); tym razem już sam napis ostatniego rozdziału: *O stosunku filozofii do wiary* (religii) objaśnia, iż te dwie tak wielkie krainy wiedzy: filozofii i religii za zupełną oddzielność uważa i że przeto, rzecz można, cały przedmiot téj ostatniej oddziela od filozofii rzetelnej. Za ostateczne kryterium prawdy jest tu oznaczona powaga Boska, słowo Boże; kryterium to jest istotnie stanowcze i rozstrzygające dla chrześcian, lecz czyliż będzie takim dla wszystkich? Czytelnik materialista i niejeden racjonalista wszakże, dopiero zapytuje, czyliż jest Bóg? a wyznawcy islamu, talmudu i t. p. przyjmą zasadę, lecz każdy, jako na słowo Boże, na inną księgę wskaże. Oznaczone przez autora w wykładzie kryterium prawdy, oczywistość, nie znajduje tu więc wcale zastosowania. Czy jednak to założenie z góry autora, że religia i filozofia są to dwa działy niepojednane, jest słuszném? Czy zbliżenie pojednanie tych działów i zamienienia ich w treść jednej filozofii nie jest możliwe? Czy owszem nie jestto właśnie obowiązkiem filozofii rzetelnej, téj zwłaszcza, która z zasady swojej jest katolicką (i której hasłem przeto być winny: uniwersalność, miłość), pojednanie to mieć głównie na względzie? Co do nas, sądzimy, że tak jest, sądzimy owszem, że w gruncie tegoż przekonania był i sam autor, wzmiankuje bowiem pokilkakroć, że celem filozofii powinna być jedność („zadaniem filozofii jest: sprowadzić wszystko do jedności” 23). Lecz między tym celem w zasadzie a celem w wykonaniu, w książce jego zaszła wielka różnica i na tę różność chcemy tu właśnie głównie zwrócić uwagę.

Autor, jak to widzieliśmy, wykład ram swego systematu poprzedził ocenieniem, czyli krytyką transcendentalizmu i pozytywizmu, a w ocenieniu tém miał właśnie głównie na względzie stosunek tych szkół do religii („Nie będziemy, mówić we wstępie, bezwarunkowo zaprzeczać i zbijać jak tylko to, co się sprzeciwia prawdzie katolickiej” 16). Otóż z tego właśnie stanowiska wychodząc, jakże mamy oceniać jego rozbiór? a najprzód, jakże mamy spoglądać sami na transcendentalizm?

Twórcą, tak nazwanego transcendentalizmu był, przypomnijmy, przy końcu wieku zeszłego, Kant. Filozof ten, któremu z jednej strony konkluzye społecznego mu materializmu, a z drugiej przekonania własne o bytności Boga i nieśmiertelności duszy ludzkiej, spać nie dawały; przekonania te we wszystkich swych rozumowaniach, traktatach, wyraźnie objawił i do tychże ogólną myśl ludzką, przez podniesienie jéj najprzód na czysto racjonalném polu, od empiryi do transcendencji, podnieść się starał. Następcy i naśladowcy główni tego kierunku Kanta: Fichte, Schelling i Hegel byli to nietylko pisarze chrześcianie, ale gorliwi chrześcianie, którzy całe swe życie, całe wyteżenie swéj myśli, wszystkie swe prace poświęcali na racjonalne sprawdzenie i rozwijanie głównych twierdzeń swego wyznania. Wprawdzie Chrystyanizm naówczas tak był jawnie i uniwersalnie pobity, tak wyszydzony, iż hasła swe

podnosili oni niejasno, w teoryach swych wyrażali się tylko przez omówienia; wszakże istotne ich stanowisko przebijało się w ubocznych ich pismach i w dalszém prac rozwinięciu, ztąd téż ich własni uczniowie (filozofowie naśladowcy a drugorzędni) obwiniali swych mistrzów o te zboczenia, a w zdaniach o nich „Fichte drugiego okresu” i „Szelling drugiego okresu” od Fichtego i Szellinga „pierwszego okresu” byli różniani. Dla krótkiego a praktycznego dowodu tego co twierdzimy, wskażemy tu np. co do Fichtego na jego pismo *Anweisung zu einem seligen Leben oder Religionstehre* 1806 r., w którém za jedyną drogę do życia błogosławionego wskazywał na zgodność życia z poradami i przepisami Ewangelii; tenże cel miały wyraźnie rozumowania i nauczania jego i we wszystkich innych traktatach jak o prawie natury, prawie społeczném, świecie moralnym, a ideałem, na który wskazywał i do którego kierował był, to wiek przyszty ziemi, królestwo (wyłącznie) Boże, wyrazem którego, jak uczył, będzie jedno powszechne państwo, królem którego będzie Chrystus, t. j. prawo Chrystusowe, a spółrządcami jego przez tysiąc lat święci, t. j. regnanci-mędrcy. Natura pokonana, dodawał, zmieni oblicze, a zapanuje powszechnie życie wyższe i nowe. Było to, jak widzimy, wychodzenie nietylko z nauk ewangelicznych, ale z ogólnych prorocत्व chrześcijańskich. Wyznawcą głównych teorii filozoficznych Fichtego (*Wissenschaftslehre*), był między innymi i jawny katolicki filozof Baader. O Schellingu dosyć jest rzec, iż jest podanie, że przyjął przed śmiercią katolicyzm i ograniczmy się tu na przytoczeniu jego następnych słów własnych o kościele rzymskim z ostatniego jego traktatu *Filozofia Pozytywna czyli Objawienia: Ist die Römische Kirche für alle Zeiten Grund und realer Halt; ohne ihr, wäre unter den politischen Widersprüchen und den Widersprüchen des Denkens die Kirche verloren gegangen. Phil. der Offenb.* 1843, str. 720. Hegel wreszcie, który we wstępie do swój *Historji Filozofji*, ośmielił się nawet wyrazić, iż Chrystyanizm uważa za prawdę (*Der Inhalt des Christenthums... der die Wahrheit ist, Gesch. d. Philos.* 1833, t. I, str. 21) stał się twórcą ze szczególnym wysiłkiem myśli zbudowanego systematu, którego główne wnioski przełożone na język religijny brzmią: iż Bóg jest Duchem. iż jest Jeden we trzech Osobach (Duch Podmiotowy, Przedmiotowy, Bezwzględny=Absolut), iż człowiek został stworzony na obraz i podobieństwo Boże (t. j. iż we wszystkich jego utworach, gałęziach rozwoju, odbija się taż trójstwo, jaka jest w Duchu-Pierwiastku. *Encyklopedya Hegla*)¹⁾ i t. p.

Takim był właściwie w odniesieniu do religii chrześcijańskiej transcendentalizm, a w każdym razie zwrot ten (co już jest faktem powszechnie znanym) miał tę siłę i to następstwo, iż nietylko myśl w Niemczech, ale ogólną myśl ludzką na całe pół wieku od sfer materialnych,

¹⁾ Poznając niegdyś systemata filozofii niemieckiej nie z podręczników, ale z własnych pism twórców systematów, musieliśmy ich z gruntu odróżnić w ocenianiu ich pomysłów, od zwykłego ich oceniania szkolnego.

sceptycznych do duchowych i religijnych był podniósł. Autor jednak filozofii i jój zadania nietylko zwrotowi temu nie udzielił dobrego słowa, ale owszem głównie go ściga, uważa go za zgubniejszy niż sam materializm, a głównych reprezentantów jego, tych właśnie, o których dopiero rzekliśmy, ma nietylko za ateistów, lecz gorzej niż ateistów. Dowody na to autor stawia w części teoretyczne, w części praktyczne. Wspomnijmy tu tak o pierwszych jak i o drugich. „Wszyscy ci filozofowie transcendentalni (mówi autor, dotykając teorii ich), chociaż na pozór walczyli z Kantem, właściwie wychodzili z jego systemu; system Kanta zawartym był głównie w jego traktacie *Krytyki czystego rozumu*, zasady tego traktatu były więc zasadami głównymi i całej szkoły. Według tego traktatu rozum nasz niema innych niemylnych poznań tylko te, które ma *à priori* (t. j. nie ze świadectwa naszych ułudnych zmysłów idące), że zaś ten *aprioryzm* nie mówi nic rozumowi o Bogu, nieśmiertelności duszy, więc prawd tych nie może uważać za prawdy transcendentalizm. Ocenienie tych zasad transcendentalizmu i jego następstw, jestto najobszerniejsza część książki autora i najwięcej opracowana (od str. 70—120); z uwag dotyczących krytyki czystego rozumu, przytoczymy tu następne, jako główniejsze: „Kant zaczyna od założenia, że nasze sądy są syntetyczne *à priori*, t. j. niemające powodu ani w doświadczeniu, ani w analizie; sądzimy nie z powodu, że się rzecz tak nieinaczej ma w sobie, ale że tak sądzić musimy z powodu ślepego prawa naszego rozumu, że zatem i wszystkie nauki ścisłe i przyrodnicze, które z takowych sądów się składają, nie pochodzą z poznania przedmiotów, ale snują się tylko z podmiotu naszego myślenia. Jeżeli Kant nie ufa od razu swym władzom poznawczym, jakąż wartość przypisywać może swój krytyce i swoim wywodom przez te same władze poznawcze wykonywanym? Jeśli sądy są *à priori*, tedy idące z nich orzeczenia muszą być takież, t. j. bez przedmiotowości. Cała baśń o owych sądach syntetycznych *à priori*, ów fundament krytyki Kantowskiej, stoi tylko na fałszywych pojęciach i niedostatkach logiki, a jaka moc w podwalinach, taka i w całej budowie” str. 71—73. Zdania te powtórzyliśmy tu dla okazania stanowiska autora, co do nas jednak nie wyrażamy się o ich wadze, ani twierdząco, ani przecząco, wszelkie bowiem filozoficzne *teoretyczne* sprzeczki mamy przeważnie za próżne. Wyprowadzenie z oderwanych zdań i wyrażeń dowolnych wniosków, chwywanie za sprzeczność w słowach i sądach są nader łatwe, łatwa także następnie odpowiedź na nie i polemiki teoretyczne zwykle są nieskończone; zarzuty powyższe systematów Kanta były czynione nieraz, czynione oddawna i jeszcze za życia Kanta wywoływały one odpowiedź nawet i jego własną (np. w drugim wydaniu *Krytyki czystego rozumu* co do uważania mianowicie przezeń *Ding an sich*); rozwoju transcendentalizmu jednak nie powstrzymały. Jak właściwie teoretyczne zasady Kanta były niejasne, dosyć jest wspomnieć, iż np. spór o to, czyli według tego filozofa czas i przestrzeń były to tylko *pojęcia*, czy też *przedmioty* (*Anschauungen*), co rozumiał przez swe sądy syntetyczne

i sądy analityczne? (t. j. gdzie im naznaczał granice) przeciąga się dotąd. Dodajmy nadto, że dziś (za danem mianowicie hasłem przez odczyty Kuno Fischera w Jenie), nawet ogólny pogląd na zasady Kanta z gruntu się zmienia. Niektórzy dziś np. z jego sędziów twierdzą, że jego krytyka rozumu była to właściwie nie filozofia twierdząca, ale tylko *Reflexionsphilosophie* i mówiła nie o twierdzeniach bezpośrednich, a tylko pośrednich, że wystąpienie Kanta nie było, jak to sądzono dotąd, przeciw dogmatyzmowi Leibniza, a tylko przeciw dogmatyzmowi Wolfa (który systematyzował Leibniza), że owszem Krytyka Kanta była to w gruncie metafizyka Leibniza i t. p. O tych zarzutach teoretycznych autora książki, nic nadto nie powiemy tu i dlatego, że zdają się one nie szczerze, z chwilowego uprzedzenia tylko płynące; autor np. w krytyce Kanta powstaje na apryoryzm, a dalej w krytyce Szellinga na *intuicyę* i zowie ją mrzonką („wszyscy się śmieją z intuicyi, bo ta jest czczą mrzonką” str. 78), a jednak następnie, jakto widzieliśmy, cały swój system oparł także na apryoryzmie (Byt w sobie) a za podstawę pewników swego systemu uznał konieczność intuicyi („jedynem możliwem wyjściem, jest okazać, że owe pewniki są przedmiotem intuicyi umysłowej” str. 257). Zwróćmy się tu więc raczej wprost do przedmiotu, t. j. do tych dowodów, którymi autor praktycznie zarzuty swe sprawdzał. Autor twierdzi, iż wszyscy główni transcendentaliści byli to ateści i po kolei to objaśnia. „Kant, mówi najprzód autor, w *Krytyce czystego rozumu*, twierdzi wyraźnie, że rozum ten nie jest zdolny uznać bytności Boga i sadzi się na wszelkie możliwe argumenta przeciwko rzeczywistości Boga, duszy i świata.” W pismach Kanta nietylko nie spotkaliśmy nigdzie, iżby gdzie sadził się na argumenta przeciw bytności Boga, ale owszem nieraz przytacza to z żalem, iż dotychczasowe dowody były niedostateczne i wraca zawsze do własnych. Jest nawet oddzielne pismo Kanta, mające napis: *Dowód bytności Boga*. W dziełku tém przytoczywszy autor różne rodzaje dowodów tej bytności i wskazując na ich niedostateczność, kończy traktat w duchu swojego systematu uważając, iż ponieważ poznanie istoty rzeczy przechodzi skalę naszego pojęcia, tedy témwięcej poznanie Istoty, która jest nad wszelkie istoty i że przeto jeżeli nie jest koniecznem o bytności Istoty tej rezonować, *konieczna jednak jest o bytności tej być przekonany*” (*Es ist durchaus nöthig, dass man sich vom Dasein Gottes überzeuge, es ist aber nicht eben so nöthig dass man es demonstrieren*; por. *Das einzige mögliche Beweis vom Dasein Gottes vom Immanuel Kant 1770, Königsberg*). Co do traktatu *Krytyki czystego rozumu* Kant tu twierdzi istotnie, iż o bytności Boga nie może nam rzec rozum *czysty* (t. j. z uznań *à priori* złożony), wszakże jakby nie wytrzymując tego, co miał dopiero rzec w swych pismach dalszych a mianowicie w *Krytyce praktycznego rozumu*, powtarza nieraz i tu, iż o bytności tej przekonywa się dopiero rozum z innego szeregu uznań, a w oddziale tego traktatu mającym napis *Kanon czystego rozumu* wyraźnie mówi: „Względ na porządek obyczajowy w świecie prowadzi wprost do uznania pierwszej Istoty, najwyższej, doskonałej, rozumnej.” Przypomnijmy tu także, że tenże

Kant w dziele: *Die Religion innerhalb der Gränzen der reinen Vernunft* wyraził nawet owo sławne, a tak obfite w następstwa śród szkoły swój zdanie, że zamienianie wiary kościelnej w wiarę czystorozumową (t. j. wykładaną nie tylko przez Kościół, ale i przez sam czysty rozum) jest stopniowem zbliżaniem się Królestwa Bożego."

W dowód ateizmu Fichtego autor przytacza następane jego słowa, wyjęte z artykułu, za który autor ten w Berlinie o ateizm był oskarżony: „Bóg nie jest ani *osobnym*, ani *świadomym siebie*, bo témsamém byłby ograniczonym, skończonym.” Nie wiemy naturalnie, jak teologowie berlińscy pojmowali te wyrażenia, co do nas jednak gdy z jednej strony wiemy, iż według teologii katolicko-chrześcijańskiej Bóg jest *duchem najczystszym* i témsamém nie może mieć żadnej materialnej postaci, a z drugiej, iż według téjże nauki jest Istotą tak dalece od ludzi wyższą i różną, iż jak cech ludzkich fizycznych tak i umysłowych przypisywać Mu nie możemy, iż może mieć np. jakąś niemogącą się przez nas wyobrazić wszechwiedzę, aniżeli jakąś wiedzę na skalę ludzką i kiedy nadto trudno jest twierdzić o kimś, iż nie uznaje Boga, kiedy ten właśnie chce Istotę Jego określić, nie uczynilibyśmy nigdy z przytoczonego wyrażenia wniosku o ateizmie. Fichte w wykładzie swoim *Prawa natury* wyraził między innemi następane zdanie: „winienes wolność swoją ograniczać tak, abyś ty z innymi a inni z tobą mogli utworzyć spólną wspomagającą się wzajem społeczność;” reguła ta wychodząca z uznania i swobody woli i wzajemnych obowiązków w jednostkach, czémże jest inném w swój treści jak parafrazy nauk ewangelicznych? Autor jednak i w tém wyrażeniu chce widzieć Chrześcijaństwo i anty-chrześcijaństwo i przytoczywszy je mówi: „jak zasada Chrystusowa była zasadą zjednoczenia, tak ta Fichtowska zasadą *odgraniczania się* (?) 95.

W dowód ateizmu Schellinga i Hegla autor wskazuje, iż oznaczony przez nich jako bóstwo *Absolut* jestto Istność, która się składa zrazem i z materyi i ducha, która jest wszechświatem i wyznawanie której przeto jest *Panteizmem*; zaznacza przytém, iż jestto bluźnierstwem Hegla, gdy twierdzi, iż Bóg do uznania się w sobie dochodzi dopiero w człowieku i utrzymuje w ten sposób, iż bogami są ludzie. W dowód bluźnierstwa przytacza téż między innemi określenie Trójcy przez Schellinga i nazwanie przez Hegla państwa „Bogiem istotnym.” Iż tak Hegel jak Schelling w literalném swém określaniu *Absolutu* stawali się winnymi panteizmu, jestto rzecz pewna, było to rzeczywistą wadą ich systematów i stało się téż następnie jedną z głównych przyczyn upadku ich. Inna jest jednak obwiniać system danego autora a inna samego autora. Możemyż obwiniać Hegla, że był panteistą, kiedy niejednokrotnie oświadczał sam, że nim nie był i kiedy nadto dodawał, że nikt go nie zrozumiał należycie. Wiemy przytém, jaką ograniczonością jest litera i jak z literalnego brzmienia danego zdania nie zawsze jest łatwo sądzić o duchu zdania. Kiedy np. teologia katolicka uczy, iż „Bóg jest wszędzie substancją swoją,” kiedy Pismo Ś. wyraża,

iż „w Nim żyjemy, w Nim oddychamy,” albo iż „Bóg w nas mieszka, a my w Nim,” kiedy *Stary Testament* pisak: „*Bogowie jesteście* i synowie Najwyższego wszyscy,” a sam Chrystus zwrócił uwagę uczniów na te słowa i dodał: „A nie może być Pismo skażone” (*Jan X, 35*), czyliż należy ztąd wniesć, że i natura chrześcijańska jest panteizmem? Określenie Schellinga Trójcy jest nam dowodem, że Schelling wyznawał Tróję, nie rozumiemy wprawdzie jego określenia, ale wyobrażenie materialne Trójcy, które kościół katolicki toleruje jako parabolę, a przeciw któremu protestują nauczyciele chrześcijańscy, od Ś. Tomasza z Akwinu do współczesnych nam katechizmów podręcznych, jestże podobniejszym do określonej teologicznie Trójcy? a jednak twórcy tego wizerunku nie uważają się za ateistów. Zarzut czyniony Heglowi, iż w swój *Filozofii prawa* nazwał państwo *Wirkliche Gott* nie jest ścisłym; w miejscu bowiem przez autora wskazanem wyrażenie to *Wirkliche Gott* odnosi się właściwie nie do państwa, lecz do *Idei* (twórczej), która jest źródłem państwa ¹⁾. Zakochanie się w słowach Pisma, przyjmowanie się wszystkimi częściami jego nauki, było według nas jak podstawą systematu Hegla tak i nauk całej szkoły transcendentálnej. Ewangelia mówiła np.: „jest światłość, która oświeca każdego przychodzącego na świat,” iż należy zważać na „znaki czasów,” iż „Królestwo” rozwijać się ma na ziemi jako krzew z ziarna, iż zbawienie otrzymają ci tylko, którym to „zgotowano” i t. p.; ztąd też stałe nauki w szkole o ideach wrodzonych, o postępie, o duchu czasów, o konieczności i t. p. Wszystkie te jednak wyobrażenia, jakkolwiek idące z Pisma, ponieważ postrzeżone były pod piórem „panteistów i ateistów” obwoływane były zrazu za panteizm, a w części jak widzimy, trwa to i dotąd.

Pamiętamy jak nader jeszcze niedawno użycie wyrazu *postęp* poczytywanem było za panteizm, wyraz ten jednak następnie tak się okazał chrześcijańskim, że spotkaliśmy niedawno uwagę w którymś piśmie katolickim (i jestto właśnie spostrzeżeniem trafnem), że nauka wyobrażenie postępu winna Chrześcijaństwu. Z zadziwieniem widzimy wprawdzie że autor obecnej książki zaprzecza ideom wrodzonym, w tém bowiem staje raczej po stronie materialistów a nie większości katolickiej, lecz mniej dziwimy się, bo już w tém jest z większością katolicką, gdy niedowierza także apyryoryzmowi śród dziejów, ma za ideę zgnubną *konieczność* i t. p. Sądźmy wszakże że i te zarzuty większości równie nie słuszne są. Autor mówi: „Hegel et consortes in swych filozofiach historii naginają fakta jak mogą (by zastosować je do swych ram z góry

¹⁾ Autor oznaczył stronicę, na której ma się znajdować owo wyrażenie w wydaniu *Filozofii Prawa* Hegla z r. 1840; nie mamy pod ręką tego wydania, a tylko z r. 1833, ze względu jednak na oznaczenie zarazem paragrafów wniesć można, że jestto mowa o następnych słowach traktatu: *Bei der Idee des Staats muss man nicht besondere Staaten vor Augen haben, nicht besondere Institutionen, man muss vielmehr die Idee, diesen wirklichen Gott für sich betrachten. Philos. d. Rechts § 258.*

pomyślanych), ale historia protestuje i śmieje się z pretensyi Hegla wy- prowadzania jęj z *a priori*.¹⁾ Nie twierdzimy bynajmniej, aby Hegel albo ktobądź z jego następców zdołał już dostrzedz i oznaczyć należycie prawa dziejowe, wszakże zdaniem naszym daleko więcej chrześcijańskim było stanowisko Hegla, skoro uznał iż bieg dziejów jest następstwem mądrości i *wprzódwiedzenia* Bożego niż owo materyalistów, iż ten bieg jestto tylko „przypadkowość przypadkowości.” Protestuje téż autor mocno przeciw wyrazowi *konieczność* i twierdzi iż dopuściwszy konieczność „zaprzeczyć wypada wolnej woli w Bogu i ludziach, sprawiedliwości nagród i kar i t. p. Lecz czyliż konieczność nie istnieje? Sam autor czyż nie wyraził np. w obecnej książce. „Ztąd wyprowadza się z metafizyczną *koniecznością* istnienie istoty bezwzględnej i *koniecznej*” 269. „Świat, mówi autor, wypłynął nie z konieczności lecz był stworzony wolną wolą Bożą.” Jeśli tak jest, czyliż więc nie była właśnie koniecznością ta wolna wola? lub jaśniej czyliż nie było koniecznym, iżby ten świat był stworzonym, i stał się nie innym a tylko takim jakim go Bóg mieć żądał? Możeż równie konieczność zaprzeczać (jak to twierdzi autor) istnieniu wolnej woli w człowieku, jeżeli właśnie było to koniecznością, iżby ten przymiot istniał w jednostce ludzkiej? „To co nazywamy wolnością woli (przytacza to ze zgorzeniem autor), jestto według Spinozy *złudzenie* wynikające ztąd, iż jesteśmy świadomymi swego czynu a nieświadomymi *wpływów*, które ten czyn wywołują” 157. Lecz zdaniem naszym zdanie to Spinozy jest właśnie jednobrzmiącym z tém znanym zdaniem chrześcijańskim, iż „człowiek nie czyni niczego bez woli Bożej.” Wolna wola, przepisy, nagrody i kary właśnie dla tego istną, że wstawianiu się szczegółów bytu pewien Szyk Harmonijny czyli *sprawiedliwość* Boża, są koniecznością. Pewna konieczność istnieje, i wolna wola istnieje: są to fakta. Wypada tylko uznać, iż nasze pojęcie ludzkie nie jest zdolnym objąć takiego kontrastu, wypada ztąd dalej uznać iż istnieją właśnie śród świata i pojęcie i rozum wyższe niż ludzkie. Transcendentalizm niemiecki lubo sam zniknął, zostawił w dziejach myśli ludzkości ślady dodatnie niestarte, które i przyczyniły się były i nadal przyczyniać będą do głębszego wnikania w istotę rzeczy, do szerszych na byt poglądów.

Jako na ostateczny dowód zgubności transcendentalizmu, wskazuje jeszcze autor na jego skutki, to jest na zamienienie się tego systemu w rozwiciu swoim częścią w materyalizm, częścią w nihilizm. Że ten system nie był bez ujemności i te ujemności nie mogły pozostać bez odpowiednich skutków, to naturalne, ale i to jest pewne, że pojmowanie systemu tak lub inaczej jest winą niejednokrotnie nie systemu lecz pojmujących; można np. obwinać Chrześcijaństwo o zbrodnie wieków średnich? lub odrzucać Ewangelią dla tego, że była np. źródłem sekty biczowników, stosu Serwetów, nadużyć inkwizycyi hiszpańskiej? i t. p. Zamienienie się transcendentalistów w materyalistów należało téż do wielkich wyjątków, zamienili się oni najwięcej w idealno-realnych¹⁾. Autor

¹⁾ Sam autor w dziele swém mówi, „Ś. Tomasz nauczał iż lubo *faktycznie* świat nasz został stworzony i miał początek, jednak bezwzględnie mo-

filozofi i jęj zadania występując więc przeciw transcendentalizmowi wyłączenie przecząco i wrogo, nie ocenił go należycie.

Przystępując z kolei do ocenięcia materializmu oraz pozytywizmu (ten ostatni skreślony tu według Littre'go) autor mało dotyka treści, lecz dla okazania fałszu tych systemów przytacza ich główne wnioski i wykazuje iż te jak są z jednéj strony przeciwne rzetelnej naukowości tak zarazem i nauce chrześcijańskiej. Wnioski zaś te, jak to widzieliśmy wyżej, są mianowicie następane: iż materya jest odwieczną i że te rzeczy świata, jakie istną od słońc do pokładów ziemi, a od pokładów ziemi do ludzi i ich dzieł, są następstwem postępowego rozwoju się przyrodniczych.

Autor te wszystkie wnioski poczytuje za wprost przeciwne nauce chrześcijańskiej, za takie je właśnie mają i sami ich twórcy, a że o prawdzie swych wniosków są przekonani, wnoszą więc że nie jest prawdą nauka chrześcijańska. Autor z większością naszych pisarzy katolickich potakując z téj strony materialistom, zamiast ich nawracania, wzmacnia ich opozycyą; lecz według nas całą przyczyną téj kłótni jest niejasne pojmowanie prawd wzajem wyznawanych. Dostć więc jest sprostować to pojmowanie, a walki znikną.

Istotnie, jeżeli odłożymy na bok pierwsze z powyższych twierdzeń to jest o odwieczności materyi (twierdzenie które zkażąd nie jest związane z istotą następnych i którego możliwość dopuszczoną nawet była przez najpierwszych doktorów chrześcijańskich) ¹⁾, wszystkie inne nie rozumiemy zupełnie dla czegoby się miały sprzeciwiać chrześcijańskim prawdom? Być może, iż sprzeciwiają się one powierzchownym i popularnym pojęciom znacznej ilości chrześcijan, lecz nie pojęciom chrześcijańskim rzetelnym, teologicznym. Jakoż sądzimy że i sam autor nie zaprzeczy nam, że całe nieporozumienie dwu nauk zniknie, jeżeli przypomnimy jakie jest rzetelne i czyste pojęcie chrześcijańskie Istoty Boga, Jego czynności i stosunku nas ludzi do téj czynności.

Bóg według nauki chrześcijańskiej jest Duchem najczystszym. „W jakim więc sposób pojmować tylko powinniśmy Jego działalność,” a przedewszystkiem Jego akt stworzenia? Autor mówi, „wyobrazić sobie aktu stworzenia nie możemy, ale zrozumieć co znaczy *tworzyć*, wszyscy możemy” 136. Otóż może mylimy się, ale zdaje się nam, że nawet sam autor pisząc te słowa nie zdawał sobie jasno sprawy z wyrazu *tworzyć*. Dodaje bowiem: „jeżeli usuniemy akcyą stworzenia, tedy należy

żebném było, aby odwiecznie byt od Boga otrzymywał” 273; to jest iż odwieczność materyi nie usuwałaby odwiecznego bytu jęj *praw*, a zatem i górującego nad nią i kierującego nią pierwiastku czyli Boga. Podobne zdanie wyraził i Ś. Augustyn.

¹⁾ Nasi wszyscy najznakomitsi uczniowie i wielbiciele transcendentalizmu jak Szaniawski, Gołuchowski, Kremer, Libelt, i i. byli wszyscy zarazem i gorliwymi katolikami chrześcijanami. Cousin który przeszczepił transcendentalizm do Francyi, umarł katolikiem.

uznać, iż istoty powstały przez *samorodztwo*." Ktoby pojmował należnie to jest po chrześcijańsku ten wyraz tworzyć, ten według nas, nie mógłby nawet mówić o samorodztwie. Bóg jest *Duchem*, czynność Jego przeto jest niewidzialna, w jakimbykolwiek więc czasie i w jakibymkolwiek sposób ukazał się byt jakiejś istoty, czyliż możemy twierdzić, iż ukazanie się to nastąpiło bez Jego skrytej sprawy, bez Jego woli? „Aktu stworzenia nie możemy sobie wyobrazić” mówi autor, jest to pewna. Każdy wprawdzie z nas chrześcian, kiedy w pierwszych latach swoich dziecinnych dowiaduje się z ust rodziców, iż jest Bóg i że ten Bóg świat stworzył a z kolei i ludzi, w wyobrażeniu swoim dziecinnym i materialnym ukształca sobie natychmiast jakieś, takie nie inne pojęcie i tego Stwórcy i tych Jego czynności, lecz te wyobrażenia dziecinne czyliż są zawsze zgodne z prawdą rzetelną? I owszem mając wzgląd na tę wielką różność, jaka być musi Najwyższej Istoty od nas Jój treści i Jój przymiotów, wnieść tylko z koniecznością musimy, iż jak sama ta Istota tak i Jój akcye, przekraczać muszą wszelkie objęcie ludzkie, iż w akcyach tych, nasze np. wieki muszą oznaczać chwile a chwile wieki, że przeto ów akt stworzenia, kreacya np. ziemi, istot na niój roślinnych, zwierzęcych i t. p., nie były to jakieś sprawy nagłe, nie była to żadna czynność jakby naszych sztukarzy ziemskich, którzy ukazują nam marynetki, lecz przeciwnie musiało to być jakieś majestatyczne a harmonijne objawianie się faktów, przekraczające wszelkie wyobrażenia nasze o czasach i środkach ¹⁾.

1) Stronnicy czystego racjonalizmu rzec mogą, że powyższe i zaraz idące twierdzenia są skutkiem raczej naszego ugodliwego w obec nauki XIX wieku optymizmu, a nie rzetelnie chrześcijańskie. Odwołamy się tu więc znowu (jak to już raz w tém piśmie czyniliśmy w podobnej okoliczności) do powagi właściwej. Doktor z wieku IV (więc nie mogący wiedzieć o badaniach i dociekaniach naszego) Ś. Augustyn, czyniąc wykład księgi Genesis (mianowicie w swych *Confessiones*) po zwróceniu tu uwagi, iż Mojżesz chciał w niój głównie przypomnieć tylko ludziom, iż te rzeczy na które patrzą miały początek, o samym akcie stworzenia tak mówi między innymi: „Niektórzy czytając te słowa „Bóg stworzył” wyobrażają sobie przez Boga wielkiego człowieka lub inną jaką istotność materialną i że kiedy Pismo mówi iż Bóg rzekł: *stań się i stało się*, tedy były to jakieś słowa zaczęte i skończone, śród czasów brzmiące i przechodzące, po przejściu których ukazywało się *nagle* to czemu rozkazaniem było ukazać się (post quorum transitum *statim* existeret, quod jussum est ut existeret), ale wyobrażenia takie są to wyobrażenia dziecinne.” Mówiąc o *dniach* stworzenia zwraca uwagę (którą obszerniej jeszcze rozwijał w dziele *O mieście Bożem*, mówiąc o *dniu* ostatecznym), iż dosyć jest być lekko nawet obeznanym z duchem Biblii, aby wiedzieć, iż Pismo to przez wyraz *dzień* wyraża najczęściej *okres nieoznaczony* a nie nasz dzień astronomiczny. I wreszcie dotykając domysłu o sposobie ukazania się czyli stworzeniu różnych istot, wyraża zdanie, które stronnicy Darwina szydzący z Biblii i jój katolickich wykładów, z zastanowieniem winniby przeczytać. „Nie kształt pierwotny był *zarodem* tych wszyst-

A te i tym podobne uwagi stosowane do pierwotnych utworów, odnosić się też muszą i do wszelkich dalszych formacji do dni naszych. Dlaczegoż więc te wszystkie domysły i docieczenia naturalistów o których wspomnieliśmy i o których w ocenieniu materyalizmu mówi autor, miałyby się sprzeciwiać nauce chrześcijańskiej? dlaczego formacja ziemi nie mogła mieć miejsca przez miliardy lat? dlaczego w taki lub inny sposób nie mogłyby na niej powstawać i stopniowie rozwijać się coraz wyższe utwory? dlaczego w tych utworach np. w ludziach, ich umysłowe objawy, a nawet duchowe jako *myśl*, *duśza*, nie mogłyby być związane z treścią materii, być jej wypływem? jeżeliby ta kolój, ten związek, ten słowem sposób tworzenia się ich, były upatrzone i obrane przez Boga dla Jego dzieł? RĘKĄ BOŻĄ SĄ PRAWA NATURY, równie prawa fizyczne jak prawa moralne. Niechby tylko ta prosta a naturalna prawda była w pamięci wszystkich, a zginąłby z ust materyalistów pośmiejch z wierzenia w Boga, a z ust wyznawców religii zarzut ateizmu naturalistom.

A jeżeli śród tych i tym podobnych wniosków, uznań i twierdzeń materyalistów i racjonalistów, dosyć jest tylko ocenić je jasno, iżby w nich nieogłądać nieprzepartych zawad do skierowania się ku drodze

kich dziwów o których w dniach następnych, ponieważ wszystkie te rzeczy z natury swojej ulegają *odmianom czasów w skutek urządzonej odmiany ich ruchów i postaci*⁷⁾ (w przekładzie polskim *Wyznań* przez ks. Pękalskiego, str. 366 i 372). Że zaś potrażliśmy tu o Darwina, na którego teorią pochodzenia autor filozofii głównie nastaje i za bluźnierczą ją uważa, wspomnijmy tu na oryginalne w tej rzeczy zdanie profesora katolickiego uniwersytetu w Londynie d-ra Mivart. Naturalista ten (nagrodzony stopniem d-ra przez Piusa IX) w dziele swém *O początku gatunków* („On the genesis of species”) zbija wprawdzie wywody Darwina o *powodach* pierwotnej transformacji, dodaje jednak, że zdaniem jego, według słów Biblii, stworzenie ciała człowieka istotnie nastąpiło przez transformacją. Mówi bowiem Biblia, iż Bóg pierwszego człowieka uczynił z mułu a zatem „metaforycznie, z materii już istniejącej” i w to ciało dopięro „tchnął ducha” na obraz i podobieństwo swoje. Przytoczymy tu jeszcze umiarkowane i trafne zdanie w tej rzeczy naszego *Przeglądu katolickiego* wyrażone w artykule p. n.: *Dawid Strauss*. Wspomniawszy ten artykuł o ostatniem dziele tego doktora pod napisem: *Dawna i nowa wiara*, którego celem było dowieść, iż dawną naszą wiarę chrześcijańską powinna dziś zastąpić nowa wiara w Darwina, dodaje: „Strauss i wszyscy inni czciciele Darwina przeliczyli się w swoich rachubach. Hypotezy Darwina nie zmniejszyły, ale powiększyły zakres cudu i *głoby nawet z czasem zostały badaniami stwierdzone*, przeniosłyby tylko cud ze środka rozwoju świata w jego początek. Hypoteza Darwina w niczém nie zmieniała dogmatyki i egzegetyki katolickiej o stworzeniu świata.” (*Przegląd katolicki* z r. 1876, Nr. 10). Przypomina to słowa kardynała Bellarmini zwrócone niegdyś do Galilousza (który miał sztydzić z tekstu Jozuego): „Pismo Święte naucza jak się idzie do nieba, a nie jak idzie niebo.”⁸⁾

jedności; ileż równie potrzebne są sprostowania ze strony tychże racyonalistów dla ocenienia istoty katolicyzmu. Zdaniem ich, dosyć jest dojrzyć z jednego słowa danego pisma, iż ma ono grunt katolicki, iżby je bez czytania odrzucić, jako wyraz przesądu i ciasnych pojęć. Lecz oto jak o filozoficznych teoriach danych autorów nie możemy należnie sądzić z ich skrótów i podręczników, ale tylko z własnych ich pism, podobnie i katolicyzm nie ma być sądzony i ocenianym z popularnych mniemań i twierdzeń, lecz z pism doktorów tego kierunku i teologii. „Wam jest dane, mówił Chrystus do uczniów, znać tajemnice Królestwa, a innym przez podobieństwa” (t. j. ludowi przez *parabole*). Nauka przez podobieństwa, przez alegorye, tolerowaną więc była zawsze w Kościele katolickim w samym nawet wykładzie dogmatów, przedmiotów wiary, w szczegółach obrzędów i t. p. a szczegóły te brane nieraz bywają za ścisłą dogmatykę. Niegdyś lud rzymski i grecki który wyznawał Olimp *materyalny*, *takież* Pola Elizejskie i Tartar, mógł zapewne i musiał przyjmując wiarę chrześcijańską, łączyć jej nauki i prawdy z tłem dawnym; a następnie sztuka chrześcijańska stając się także naśladowniczką dawniej (Michał Anioł, Dante i t. p.) kierunek ten mogła tęp wiecej swemi utworami utwierdzać i szerzyć. Lecz oto mimo to wszystko, pomimo cały materyalizm i wierzących i dawnych wieków, dogmatyczna nauka chrześcijańska (w czem można nawet zauważyć odbicie nieomyślności w jej kierunku), nie wyraziła nigdy nauki innój, jak tylko że Bóg jest *duchem*; że dobre i złe duchy to *duchy*; że tylko *duśza* ludzka jest nieśmiertelną i t. p. Owe liczne obrzędy, modły w katolicyzmie, brane także w rachunek pojęciem wyznawców, uważać trzeba, iż są to po największej części obchody pamiątek historycznych, a w części kształcenia mistyki (która jest także jednym z rzeczywistych pierwiastków natury ludzkiej) i że przeto po największej części nie należą do szczegółów wiary, do obowiązków, a przyjmowanie udziału w nich bywa tylko skutkiem zachęty, porad, a nieraz i *tolerancyi* ¹⁾.

Owóż znoszenie uprzedzeń i rozjaśnianie drogi, skuteczniejszém, zdaniem naszym, być musi środkiem wzajemnego zbliżenia i wydania

¹⁾ Wskażemy na świadectwa właściwe. Wychodzący w Warszawie przed kilkunastu laty *Pamiętnik religijny* zamieścił był wiadomość, iż biskupi niemieccy mimo ponawiane przedstawienia, nie mogli otrzymać z Rzymu zatwierdzenia upowszechnionej w Niemczech *Litanii o Imieniu Jezus* i innych do różnych świętych i na różne uroczystości; a na zapytanie czytelników dlaczego jednak te litanie są używane? odpowiedział: iż Kościół w tój rzeczy postępuje jak w wielu innych t. j. „toleruje zwyczaj.” W wychodzącej obecnie *Encyklopedyi kościelnej* pod artykułem *Godzinki*, znajdujemy, iż śpiewanie *Godzinek* o Niepokalanem Poczęciu N. P. M. w językach ludowych, przez papieża Piusa V zostało wzbronioném; co więc oczywiście także toleruje się tylko. Wiele zapewne obrzędów i modłów kościelnych jest nietylko tolerowanych, lecz i polecanych, wszakże w teologiach katolickich spotyka się i to zdanie, iż „można przez życie nie zmówić i jednego *Ave* i być zbawionym.”

filozofii *rzetelnej*, niż powtarzanie wzajemnych zaprzeczeń i tych wywodów, o których już tylekroć słyszały strony przeciwne, a które chociażby i zwiększone były o jakie kwieciste słowo lub wyraz nowej ironii, mogą raczej powiększyć rozbrat niż pojednanie. Na str. 310 autor filozofii powiada: „Ten u nas w filozofii jest Heglistą, a dzieci do spowiedzi posyła, ów na katedrze Darwinistą a po pacierzu powtarza Wierzę w Boga, Stworzyciela nieba i ziemi.” Jeśliż tak jest, czyliż nie właściwszémby było wejrzeć raczej bliżej w przyczynę tych faktów i zbliżeniem tém pokierować, niżeli łączących się nawet odtrącać, wyszydzać i zrażać?

Zajęliśmy się tu wyłącznie kwestyą zgody, a więc stroną krytyczną pisma, a zaledwo nie zapomnieliśmy o jego części głównej twierdzącej, to jest o rozdziałach XIII i XIV, które objaśniają podziały i ramy własnego systematu autora i tém samym są rozjaśnieniem napisu dzieła, t. j. są odpowiedzią na zapytanie, jak autor pojmuje filozofią i jój zadanie. Lecz oto jest to część, o której nateraz najmniej powiedzieć się może. Tych coraz odmiennych podziałów i różnych odcieni w podziałach mamy tyle w wykładach filozofii, ile jój było systematów w różnych krajach i wiekach. Znaczenie i wartość obecnych wykazałoby tylko mogło ich wykonanie, lecz dotąd mamy tylko ramy i zapowiedzi. Wprawdzie rozkład i wywód treści wyrażone w tych ramach, wydają się nam niejasne i zagmatwane; nie rozumiemy np., jaka to będzie w wykładzie systemu *logika*, która nie będzie mówić o sądach i argumentach, a ma być *krytyką* i zarazem *filozofią fundamentalną*, a tém więcej jaką będzie ta *metafizyka*, której przedmiotem mają być wszystkie nauki przyrodnicze i która zarazem będzie filozofią pierwszą, a więc także filozofią fundamentalną; nie wiemy czyli i jak sprawdzi filozofia autora te liczne założenia, których w programacie sprawdzenie zastrzegł, jako np. o intuicyi, o duszy; co rozumieć będzie przez „szczęśliwość przyrodzoną” jego etyka? i t. p. Czyniąc wnioski ze skreślonego rozkładu, zauważyć też można, iż oznaczone tu ramy nie odpowiadają temu pojęciu filozofii, jakie autor zgóry był wyraził gdy mówił, że zadaniem téj umiejętności ma być to wszystko, co może być przedmiotem myśli ludzkiej; jakoż oprócz religii, o czém właśnie mówiliśmy, nieznajdujemy też w oznaczonych ramach całej sfery sztuk pięknych, dziejów społecznych, dziejów różnych wyznań i t. p. Być może iż te wszystkie gałęzie i szczegóły znajdują się w wykonaniu, i wykonania tego, dodajmy, piórem autora, to jest piórem tak pełném z tytułu względów zalet, życzylibyśmy co do nas jak najrychlejš; lecz dopóki to nie nastąpi, nie możemy już dzisiaj systematowi jego przyznać téj uniwersalności i téj jedności, które tak pożądane są w filozofii, do których teoretycznie sam skłaniał.

Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału historyczno-filozoficznego Akademii Umiejętności w Krakowie. (Tom IV — VII), 1875 — 1878 r.

Z czterech tomów rzeczonój publikacji, tomy V, VI i VII przedstawiają nowość w sposobie układu treści już raz spostrzeżoną w III-im tomie. Mianowicie osnowa każdego tomu tego dzieli się na rozprawy, sprawozdania i dodatek. Jakie okoliczności wywołały tę inowację nie jest mi wiadomém. Wszakże materyały pomieszczone w dodatkach takiej są natury, że bardzo dobrze mogłyby wejść w skład części zatytułowanej: rozprawy.

Tak np. w V tomie w *dodatku* jest rzecz o archiwum w Mitawie Kanteckiego, która mogłaby tak pójść do rozpraw, jak Smolki archiwa w Wielkiem księstwie Poznańskiem i Prusiech właściwych (w tomie IV pomieszczone). Sprawozdanie komitetu do ułożenia planu do *Encyklopedyi Prawniczej* (t. V), sprawozdanie Sadowskiego z VIII kongresu pieszteńskiego 1876 r. w rzeczach antropologii i archeologii odbytego (t. II), oraz projekt, w jaki sposób należałoby wydawać zbiory listów i aktów historycznych z wieku XVI i następnych Zakrzewskiego (t. VII), mogłyby figurować w sprawozdaniach, ile że i druk programu Kraszewskiego w tomie III oraz przykład tomu IV, w którym sprawozdania pomieściły projekt rejestrowania *silva rerum* podany przez F. Kluczyckiego, wskazywały właściwą drogę uniknienia tak zwanych dodatków.

Słowem, niewidzimy racyi podziału w samej treści, a ztąd i sam podział uważamy za mniej użyteczny. Obok tój właściwości spostrzegamy w tomie VII rzecz nową, niezmiernie a pożądaną, t. j. w sprawozdaniach z sesyi wydziału, objęty czas od początku do połowy 1877 r., tak że zaległości są stosunkowo niewielkie. Mamy tym sposobem przynajmniej niezbyt przedawnione wyobrażenie o ruchu naukowym akademii. Zato nie został spełniony dezyderat sprawozdawcy *Przeglądu krytycznego krakowskiego* (nr. 12 z 1875 r., nr. 2 z 1877 r.), aby, z powodu małej różnicy między treścią *Pamiętników* i *Rozpraw* , a zato wielkich gniewów autorów, których prace w *Rozprawach* nie w *Pamiętniku* drukowano, ta różnica w publikacjach została usunięta, ile że daje powód do jakichciś *subtilités d'amour propre* . O ile z tak daleka sądzić można, to ze względu na użyteczność, podobne dzielenie publikacji na liczne cząstki może jest uciążliwe i technie zbyt dużą formalistyką. Dodajmy, że jój też piętno noszą sprawozdania, zbyt mało treści z dyskusyi toczonych, oraz argumentów w nich użytych podające i jak wspomniano dość opóźnione. Może więc referent *Przeglądu* dobrze proponował, by sprawozdania objęły wskazówki co do znaczenia naukowego treści rozpraw tak czytanych przez akademików, jak

i nadsyłanych zpoza obrębu akademii. Tém śmielej cytujemy te rady *Przeglądu*, że w rzeczy ogłaszania buletynów w językach zachodnich o ruchu akademickim, akademia poszła za wskazówkami tego pisma (por. 1875 nr. 8, 13 r. 1876, nr. 1 i 12). Śnac są one życziwe i dobre.

Tak omówiwszy stronę zewnętrzną, aczkolwiek z pominięciem typograficznój, na którą *Przegląd* skarżył się (nr. 1 r. 1876) i bardzo pono słusznie, jak widzimy i z obecnych tomów, niewolnych od zaniedbanój nieco korekty; przechodzimy do rozejrzenia się w treści czterech tomów rozpraw. Zwłoka w tém naszym sprawozdaniu wynikła z oczekiwania nadaremnie na dalszy ciąg rozprawy Michała Bobrzyńskiego *O założeniu wyższego i najwyższego sądu prawa niemieckiego na zamku krakowskim*, którój część pierwszą podał tom IV. Ponieważ wyszła w osobnej odbitce, choć niedokończona, że zasługuje na obszerniejszy rozbiór, będziemy o niój mówili osobno. Podobnież osobno powiemy o rozprawie Lewickiego *Mieszko* t. II (t. V). Co do pracy hrabi Stadnickiego *O Koryacie i Koryatowiczach* (t. VII) powiemy krótko że jest *przedrukiem* mało co zmienionym rzeczy znanych.

Już cytowane sprawozdanie z poszukiwań Smolki po archiwach kordonu pruskiego, w r. 1874 dokonanych z polecenia komisji historycznej w interesie tomu III *Monumentów Polskich* oraz poznania materiałów do dziejów polskich po r. 1572, jest niezmiernie ważne i ciekawe, mimo suchój swój formy. Przynosi bowiem wiele nieznanych wiadomości dziejowych, oraz daje często smutny wielce stanu zażytków historyograficznych naszej przeszłości. Ogólnie mówiąc, najlepiej koło ich zachowania chodzą Prusacy. Pomieszczona w tomie V tój samój natury rzecz o archiwum mitawskiem Kanteckiego, mniej jest poczytną nawet dla specjalisty, ile że ma formę więcj rejestrową.

Rozprawa dr. Sokołowskiego w tymże tomie V pomieszczona pod tytułem: *Elekcyja czeska po śmierci Zygmunta Luksemburczyka* znajduje odpowiednik w pracy dr. Prohaski w tomie VII drukowanój p. t.: *Polska a Czechy w czasach husyckich, aż do odwołania Korybuta z Czech* i nastęrcza uwagę, że obecni uczeni galicyjscy dość pilnie zajmują się wyjaśnieniem stosunków dawniej zachodzących między dwoma głównymi narodami Lechów, t. j. Słowian zachodnich. Pierwsza opowiada dzieje obioru Kazimierza Jagiellończyka na tron czeski, po śmierci Zygmunta Luksemburczyka (1437 r.). W wykładzie swym rzeczy opiera się na wielu nieznanych (teraz w t. II *M. Med. Aevi* ogłoszonych) dokumentach. W naszej literaturze po pracy Gołębiowskiego, Malinowskiego (niedrukowanój) o Jagiellończykach pierwszych i nowszój Foerstera (już nie mówiąc o Carze), pierwsza to praca z nowego wątku o tych czasach wysnuta. Praca Prohaski ma tę jeszcze specjalną zaletę, że zajmuje się tą samą kwestyą, co niegdy hr. Kazimierz Stadnicki w *Synach Gedymina* i przynosi do jój rozświetlenia nowe uwagi. Traktuje zaś o roli Zygmunta Korybutowicza, synowca rodzzonego Jagiełły, w sprawach czeskich.

Praca dr. Sokołowskiego niezmiernie ponętny dla naszych uczu przedmiot obejmuje. Jestto bowiem chwila, gdy ród Jagiełków zasiadłszy na tronie krakowsko-wileńskim, był na drodze do zajęcia przeważnego stanowiska w środkowej Europie. Po Wilhelmie, synu Leopolda III, któremu wreszcie udało się poślubić Jadwigę, między 15—23 sier. 1385 ¹⁾, brat jego Ernest pojął za żonę 1411 r. córkę niedoszłego jej męża i elektana tron polski (Cymbarkę v. Cecylią, córkę Ziemowita IV). Tym sposobem związku rozerwane, znów się skojarzyły między Rakuszanami a Polską. Gdy wybuchł rozdział u Czechów między Albrechtem V, mężem jedynaczki Zygmuntovej, a częścią narodu, poparty przez Barbarę cesarzową wdowę, został Jagiellończyk wybrańcem pobratymczego nam narodu. Wprawdzie nie utrzymał się, jak nie utrzymał się Zygmunt syn starszego brata Jagiełły Korybuta Dymitra. Nie nadługo też Czechy i Węgry prawem elekcyi przeszły w ręce Władysława *bene* i Ludwika II ofiary zpod Mochacza. Bez korzyści też dla idei konfederacyi śródeuropejskiej, Zygmunt I i Jan III patrzeli na zapasy Węgrów z Rakuszanami. Była to jednak w dziejach sposobność wspaśniała do zajęcia stanowiska wielce decydującego w sprawach Europy od XV do XVII wieku. Te i wiele innych wypadków dowodzą, że był prąd naturalny w dziejach potem. Inaczej jednak poszły koleje polityki narodowej.

Do tój ogólnej uwagi o znaczeniu i wartości cennej pracy dra Sokołowskiego, pozwolimy sobie dorzucić kilka podrzędnych uwag. Najprzód zastanawia skromna jeszcze, ale łatwo w zupełnie dokładną i specjalną zdolną przejść rehabilitacją obrona etycznych przymiotów osławionej Barbary cylejskiej, żony Zygmunta Luksemburczyka ²⁾. Powody jej przychylenia się do elekcyi Albrechta (str. 45—46) i ucieczki oraz niechęci późniejszej do niego (str. 51—52) nie są (zdaje nam się) na wspólny grunt sprowadzone, t. j. może nie spostrzeżono, że zapewne Barbara *tylko* by się dobyć z więzienia Albrechtowego (o ile domyślać się godzi) niby go popierała, zawsze jednak mu niechętną była. W odnośnych ustępach autora nie znajdujemy tój maluczkiej, podrzędnej, ale może dla jasności roli Barbary potrzebnej hipotezy. Dalej obrona stałości politycznej jednego z panów czeskich Aleza Holického ze Sternberga ³⁾ niezbyt pomyslna, gdy sam autor przyznaje np., że jego klient „zmienił znowu barwę polityczną.”

Znajdujemy też pewne zlągodzenia w szczegółach o układach Władysława III (późniejszego Warneńczyka) z Fryderykiem Miśniskim, które autor pono (str. 48) za Carem (t. IV, str. 179—180) opowiada ⁴⁾. Pominięto mianowicie, że Władysław III d. 14 czerwca przy-

¹⁾ Szczegół to nowy z *Mon. Med. Aevi* 1878 r. t. IV, str. XL i tekst część 2 str. 63.

²⁾ Tom V, str. 27, nr. 2, str. 29 nr. 2.

³⁾ Tom V, str. 28, 33 nr. 2, str. 39, 58 nr. 1.

⁴⁾ Omyłką pewno druku 18 maja stoi za 19.

jął konferencją na 8 września w Poznaniu, lecz że tą daleką datą niezadowolony Fryderyk, jeszcze stał posły do Krakowa i odebrał list 5 sierpnia, w którym mu Polska swą niechęć za jego neutralność w sprawie Kazimierza wyraża. W przedstawieniu Sokołowskiego znika podobno istotnie dwuznaczna rola Polski, która w umowie z Czechami przyrzekała obedrzeć Fryderyka z jego posiadłości, a teraz żądała jego pomocy. Znika też i wyraźna w tych poselstwach Fryderyka jego trwoga. Skromnie też autor traktuje dalsze jego zabiegi dyplomatyczne charakteru pośredniczącego pod samym Taborem¹⁾. Takiegoż jakby złagodzenia doznał pono u autora²⁾ opis niechęci Wrocławian do Polaków.

W ogóle autor zdaje się starać podnieść ilość przychylnych Kazimierzowi Jagiellończykowi Czechów (str. 39 „wcale poważną liczbę znakomitych zwolenników Jagiellończyka”). Nie mógł jednak nawet Władysław III, nic prócz dyalektyki przeciwstawić twierdzeniu nieprzyjaciół, że tylko *czterech baronów i nieco szlachty* obrało brata królem³⁾. I owszem, okazuje się, że niewielu było stronników, skoro w Wrocławiu przedłożył Albrechtowi, aby obaj z Kazimierzem złożyli swe elekcyjne godności i tym sposobem pozwolili spokojnie obrać sobie Czechom jednego pana. Zapytuje się Władysław, czemu choć tylu było za Albrechtem, a $\frac{1}{100}$ za Kazimierzem: została ta polska propozycja odrzuconą.

Zdaje się nam, że podobna propozycja chyba nie dowodzi zaufania (mimo wszech pozorów) w swe siły, lecz owszem ukrywa próbę wywikłania się ze sprawy pod maską miłości pokoju.

Walka pod Taborem, toczona w oszańcowanych obozach, niechlubna też zgola dla pretendenta, choć przez Władysława ozdobiona uwagą, że przecie dwu wojewodów (*dumtaxat duos regni nostri palatinos*) postać, świadczyć się zdaje także o małym odzwie w obu krajach dla pretensyi Kazimierza polskiego. Że tak być mogło, jak przypuszczamy, dowodzić się zdaje propozycja panów polskich, uczyniona w chwili wyprawy do Czech węgierskim, że im chcą przyjść w pomoc przeciw Turkom (*M. M. Aevi* t. II, str. 89—90). Szanowny autor zręcznie, ale może niestety omija jedyny ztąd wniosek (na niekorzyść oczywiście kandydatury polskiej) wypadający, twierdząc, że wszystko jedno było Władysławowi, walczyć w Węgrzech czy Czechach, bo zawsze był to bój z Habsburgami, oraz wnioskuje, że przyszłemu Warneńczykowi więcj jeszcze uśmiechała się walka z nieprzyjacielem krzyża (str. 67—68). By rzecz właściwie odmalować, może należało (jeżeli się nie mylimy) zgodnie z powyższym wyznać, że Kazimierza wyprawa sympaty tu i tam dostatecznej nie znalazła. Na dobitkę nawet autor sam przyznaje (str. 73), że znaczenie traktatów Polski z książętami szląc-

1) Caro str. 184, Sokołow. str. 57.

2) Str. 80, Caro str. 191.

3) *M. M. Aevi* t. II, str. 108—109.

kimi 1438 r., jako „prawdziwy owoc” wyprawy na Szlązk zawierają nie uznanie elekta polskiego w Czechach lecz powściągnięcie rozbojów pogranicznych, oraz zapobieżenie bicia fałszywej na Szlązku monety i sprowadzania jej do Polski ¹⁾).

Władysław też dalej jak na Szlązk nie poszedł, bo kampania pod Taborem skończyła się odwrotem Polaków, „a wyprawa króla i brata jego na Szlązk odniosła pożądany skutek” (str. 77), choć drugi punkt wszystkich umów, t. j. uznanie Kazimierza przez Czechów został nie spełniony.

Prócz tych teoretycznych niejako uwag co do znaczenia istotnego elekty Kazimierza Jagiellończyka w Czechach, dodamy słówko o podjętych szczegółach.

Najprzód uwaga autora (str. 69 nr. 2) by Szafraniec Piotr młodszy z Pieskowej Skały, podkomorzy krakowski nie był wspomniany 1437 i 1438 r. w pomnikach Helcla, jest mylną ²⁾, zaczen i wnioszek „prawdopodobnie był wtedy na Śpiżu” jest bez podstawy z tej strony.

W wiadomości o Dersławie z Rytwian, który miał występować w obronie Barbary cylejskiej (str. 51) pominięto jeszcze pewniejszy dowód jego sprzyjania husytom, t. j. mianowicie udział w wyprawie pod Taborem, kiedy był poznał Ulryka hr. Cylego w wojsku przeciwnym (*M. M. Aevi*, t. II, str. 128). Z zapiski, cytowanej przez autora z Helcla (nr. 2768) widać, że 13 stycznia 1439 roku Dersław z bratem starszym „był” *nieobecny* w Polsce.

Rzecz ciekawa, czy wzmianka, znana z Helcla o Dersławie i jego braciach od 24 lutego 1437 r. i 28 marca 1438 r. (nr. 2700 i 2759) w jego obecności dokonana się?

Kilka tych jednak przelotnych uwag nie odejmują zgoła wartości pracy, która rzuca pożądane światło na ciekawy ten epizod stosunków czesko-polskich, nie dążą też bynajmniej do obniżenia ważności jej znaczenia, aczkolwiek nasuwają inny wykład niektórym szczegółowym faktom.

Praca Prohaski, jak powiedzieliśmy, odnawia zadanie, niegdyś przez obecnego członka akademii hr. Kazimierza Stadnickiego podjęta. I ona stoi na tém samém stanowisku ogólném co poprzednia, choć ze

¹⁾ W *M. M. Aevi* Carze Gołębiowskim Strzelcze, u autora (str. 72) Strzelno.

²⁾ Helcel w aktach 1437 zaznacza lukę (str. 437***), w której o Szafrancu być mogło. Nadto ten podkomorzy występuje w Krakowie 24 lutego 1437 r. (Helcel t. II, nr. 2700). Zapiska z 16 lipca 1437 r. wspomina go także, ale w akcie chyba dawniejszym (nr. 2713), 16 listopada 1437 r. funkcjonował pod Wieliczką (*AGZ.* t. V, str. 89), 28 maja 1438 r. był w Krakowie (Helcel nr. 2759); nie było go 16 grudnia 1438 r. w Piotrkowie (*AGZ.* t. V, str. 94). Maurycy Dzieduszycki w dziejach Śpiża (*Przewod. Nauk i Lit.* 1876, t. IV, str. 705) mieszać się zdaje dwu Szafranców. Por. Helcel t. II, nr. 2390, 2391 i 2396.

strony, która dziwnie nowoczesną barwę dwu tym rozprawom, zwłaszcza razem wziętym nadaje. Z powodu że praca jest nieskończona, wspominamy tu tylko o charakterze ogólnym kwestyi, jak go określa autor we wstępie do swój pracy ¹⁾.

Najprzód wspomniemy o stosunku, jaki wśród interwencyi Polski w zatargach Czechów z cesarzem Zygmuntem zawiązywała Brandeburgia z pierwszą przeciw cesarzowi. Wskazano mianowicie, jak Fryderyk brandeburski przez związek swego syna i imiennika z Jadwigą, córką Jagiełły i Anny Cylejskiej wszedł w ścisły związek z Polską i otrzymał dla syna ekspektatywę na koronę polską, w razie gdyby Jagiełło nie miał syna (1421 r.). Tym sposobem Polska, zamiast na Luksemburgach czesko-węgierskich oparła się na przyszłych Prusach, w daną chwilę. Nerozszerzając się dalej nad obecnym znaczeniem tej antytezy, przechodzimy do drugiej cechy studyum Prohaski.

Jest nią wykazanie blizkich związków Polski z Czechami za czasów husyckich. Autor w przeciwieństwie z Palackim, a zgodnie z Krummlem, historykiem czeskiej reformacji (1867 r.) wykazuje, że husytyzm nietylko jest reformą religijną, ale nadto polityczną, narodo-wo-czeską, anty-germańską. Był dwu tych prądów w powstaniu czeskiem tłómaczy, czemu Polska przez Czechy, to przyciąganą, to odpychaną się czuje. Ilekroć przeważała strona religijna nad Wełtawą, tylekroć cofano się nad Wisłą. Gdy tam zagrzmiała trąba wojny z Niemcem i tu zagrożeni od Krzyżaka wyciągali do Czech dłoń bratnią ku wspólnój obronie od najeźdźnika ²⁾.

Następnie autor kreśli dzieje tego związku politycznego. Najpierw zatrzymuje go waśń na uniwersytecie pragskim 1409 r., w skutek której nacya germańska ustąpiła z Pragi przewadze nacyi czeskiej „kierowanej przez Husa.” Polacy znaleźli się tu w liczbie ustępujących ³⁾. Jak widać jednak z spóczesnego rękopisu, byli to po większej części Miśniacy, Szlązacy, więc zniemczeli Słowianie a mało tylko „głuchych Polaków” (t. j. nieumiejących po niemiecku).

Dla oceny właściwej doniosłości, tej emigracyi Polaków z 1409 roku, przytacza autor dalej wprowadzenie na nowo na uniwersytecie Pragskim w czyn fundacyi z 1397 roku Jadwigi (*collegium Hierosolimitanum v. Lithuanicum*) pod nazwą *collegium Polonorum*, którego rektorem w r. 1411 został Jan Hus.

Rozwija się odtąd gorący związek między obu językami, a zwłaszcza wpływ czeskiego na literaturę i język polski. Już wskazał to Szaniecki 1814 r. w *Miscell. Crac...* Bielowski w *Bibliotece Ossolińskich* (t. IV), Małcecki we wstępie do *Biblii Zofii* 1871 r., Nehring w *Archiv. f. slavische Literatur*. Do dowodów tych, cytowanych z rozprawy dr. Prohaski dodać może wypadnie ciekawe oddawanie wyrazów *dos z cze-*

1) Tom VII, str. 197—198.

2) Tom VII, str. 148, 181, 193.

3) Str. 155.

ska przez „wiano” ¹⁾. Benedyktyni sprowadzeni przez Jadwigę, którzy na Kleparzu po słowiańsku odprawiali obrzędy, są pono także dowodem tych związków Polski XIV w. z Czechami. Liczni Polacy są magistrami uniwersytetu Pragskiego, jak Stanisław Ciołek, biskup poznański 1392 r., Stanisław syn Jana ze Skalbmierza, rektor pierwszy uniwersytetu Krakowskiego za Jagiełły, Paweł syn Włodzimierza, prawnik głósny i t. d. Stu ich znamy nazwiska i imiona.

Zjawiają się też podobno na zasadzie tych stosunków czesko-polskich XIV i XV wieku podania o wspólności herbów, o nadaniu ich z wiarą Polakom przez Czechów ²⁾. Polacy też przyjmują husytyzm, bardzo gorąco ³⁾, szerzy go Hieronim z Pragi na Litwie. Polacy wstawiają się w Konstancyi i należą do przyjaciół Husa. Autor nawet mniema, że posłowie Jagiełły w Konstancyi gardłujący za Husem „mogli łatwo działać w duchu instrukcyi” króla ⁴⁾. Cytuje jednak obok tego, jako rzecz „ciekawą,” że 1422 r. Marcin V papież pisze wyraźnie do Jagiełły, iż Husa potępili zgodnie z innymi posłami i biskupi z Polski przybyli.

Dodać można, że to husyckich czasów nabytek w terminologii wojennej „tabor” wchodzi w użycie w Polsce ⁵⁾.

Bądźcobądź jednak, lubo z listów uniwersytetu Krakowskiego do soboru wyczytuje autor skłonność samego duchowieństwa do reform religijnych ⁶⁾, przecie „czysto dogmatyczne kwestye, jakie podjęli husyci, były Polakom podówczas obce.” Z powodów zresztą politycznych (ile że w sporze z Krzyżakami Polska stała wbrew Rzymowi) unikano scysyi religijnych. „Że (też) Polska religijnęj strony husytyzmu nie rozumiała, dowodzą dziwne a oryginalne postacie Spytka z Melsztyna, Zbąskiego, Siestrzeńca i i., którzy li socyalną stronę husytyzmu w Polsce podnieśli i pod sztandarem tych idei walczyli ⁷⁾.”

¹⁾ Por. t. VI, str. 163. Dutkiewicz *Słowo o stosunkach majątkowych między małżonkami* (1877 r.), również powodu tej zmiany nie zauważył.

²⁾ Hoffman: *O Panstwowizmie zachodnim*, Szajnochy: *Szkice hist.*

³⁾ Str. 274 nr. 4, str. 185 nr. 1, str. 192 nr. 2.

⁴⁾ Tom VII, str. 177. Niesłusznie autor twierdzi, że nazwa Boruta (przyjaciela Husa) nie jest pospolitą podówczas w Polsce, choć może oznacza osobistość wcale nieznaną (str. 170 nr. 1). W r. 1422 znamy *nobilis Borutha de Modla* (*Kod. Maz.* str. 166), 1434 r. Borutha z Oleśna h. Lubicz (*Rzyszczew. C. P.* t. II, str. 860), *Janko dictus Borutha heres in Konin 1399* (*Ibid.* t. II, str. 353), *1433 Borutha magister coquinae reginalis* (*Helcel* t. II, nr. 2499).

⁵⁾ *Helcel* II. nr. 1999 r. 1424.

⁶⁾ Str. 103—194, por. pr. Małeckiego *Karta z dziejów un. krakowsk.* t. II, str. 75—76 nota.

⁷⁾ Tom VII, str. 193 nr. 4. Udział Żyżki (str. 197) w bitwie pod Grunwaldem został, jeśli się nie mylę, zaprzeczony dowodnie, nie pomnę przez kogo.

Na tym ustępie rozprawy Prohaski urywamy nasze sprawozdanie o niej; tu tylko nadmieniamy jeszcze, że przewodnie idee pracy Prohaski zdają się bardzo prawdziwe, a w każdym razie dla nas bardzo pożyteczne. Z jednej strony bowiem usuwają teorie odwiecznego obrzędu słowiańskiego w Polsce, wykazując, że ślady rzekome jego z IX i X w. datują z w. XIV i XV. Dalej instytucja szlacheckości wbrew Szajnosze okazuje się być niezależną w swęj genezie od Czechów; nareszcie zaznaczony został charakter polityczny nie religijny wszech reformacji u nas, co jest niemałej wagi w ocenie objawów naszej cywilizacji, ze stanowiska historyzoficznego.

Rozpatrywanie szczegółowsze różnic i podobieństw oraz uzupełnień i sprostowań, jakim uległa praca hr. Stadnickiego przez studyum nowego pracownika, zostawiamy na później do czasu wyjścia całej pracy Prohaski.

Z działu sprawozdań zaznaczamy ciekawy schemat podany przez Fr. Kluczyckiego (t. IV) do układania wykazów treści zawartęj w tak zwanych *silva rerum* (str. XII i XXXVIII). Autor projektu wyjaśnił go najlepiej ujmując w proponowany schemat treść jednego rękopisu biblioteki wilanowskiej, ułożonego z polecenia i wyboru pono biskupa krakowskiego Andrzeja Trzebickiego.

Są to listy z lat 1670 do 1673 w liczbie 151, z których do wojen kozacko-tureckich (1670—1673) jest 131, a Sobieskiego do biskupa w tęj liczbie 54. Dział drugi odnosi się w liczbie 16 dokumentów do stosunków z Moskwą, trzeci do spraw przygodnych: wszystkich nieznanych jest 135.

Rozprawa prof. Duchinińskiego, gościa, czytana dnia 3 i 10 grudnia 1874 roku na posiedzeniach akademii, nic nowego nie przyniosła. Powtarza rzeczy znane z lat 1857—64 a reasumujące się w teorii anty-tezy etnograficznęj państw niegdy z sobą sąsiadujących na północ-wschodzie Europy. Zaznaczamy czytanie jęj dla tego, że prelegent i (już nieżyjący) dr. Kremer odrzucali poddawanie historyzofii polityce a prof. Zoll i Szujski wykazywali że patryarchalny komunizm, łączność władzy świeckięj i duchownęj istniały i u plemienia aryjskiego, za cechę więc obcego niearyjskiego pierwiastku etnograficznego nie mogą być uważane. Ci sami oponenci wykazywali skrajność i apyryoryczność zdań prelegenta i w innych punktach tak dalece zachodzącą, że chcą tłómaczyć wszystko mocą teorii pochodzenia turańskiego i aryjskiego „namnoży się wyjątków i reguła utrzymać się nie da” (str. VIII).

Śmiemy dodać od siebie, że dzieje zwłaszcza od 1386, lubo spazczone w ciągu XVII wieku niefortunną polityką panujących, są w zgodzie ze skazówkami rzeźby ziemi, która wbrew poglądom prelegenta przez pojezierza czarnomorskie i bałtyckie, niby potężnemi ramionami przyciąga północy wschód Europy do jęj łona postępowego. Pożał się Boże, że nie wszyscy zrozumieli mowę gór, rzek i dolin, choć w nich, jak słusznie Humboldt, Ritter, Quinet, Pol i tylu innych widzieli palcem Bożym ryte losy narodów i ich przeznaczeń.

Rozprawa pr. Kirkora „Pokucie pod względem archeologicznym,” z roku 1874 (t. V, str. 209—315) obejmuje wyniki zwiedzenia dwudziestu czterech miejscowości w powiatach tłumackim, horodeńskim, sniatyńskim, kołomyjskim. Praca ta ma zwykle zalety i wady tego autora, który należąc do dawniej szkoły archeologów naszych, rad widzi w nazwach topograficznych... ślady pogaństwa. Dotknął zlekka tego zbroczenia T. Wojciechowski w swój *Chrobaeyi* (str. 178) wyśmiewając np. wywód przez Chodakowskiego robiony „Białogoszcza” pod Lwowem od Białego Gościa „jakiegoś boga” i dodając uwagę: „I więcej jeszcze możnaby naliczyć podobnych domysłów, które dzisiaj w obec postępów lingwistyki, świadczą wyłącznie o lekkomyślności i braku zasad w ułożeniu podstaw archeologii geograficznej.”

U pr. Kirkora znajdujemy takie etymologie charakterystyczne, jak nazwy krainy Pokucie od „bożka domowego Pokucia, którego stawiano w *kącie*” (str. 210—211). Tenże autor kilka kart (str. 248 nast.) poświęca wyjaśnieniu nazw topograficznych, które zdaniem jego nie tylko „człowiekowi obdarzonemu wybujałą wyobraźnią łatwo mogą zawrócić głowę, ale i z zimną krwią rzeczy biorącego nie mogą nie zwrócić uwagi” (231—2).

Tak z nazw skał igór *Diwka* i *Tryholowatka* układa małżeństwo mitologiczne Diwa, która (zdaniem jego), to samo znaczy, co matka ziemia, i Tryhtaw ojciec niebo (str. 250). Dalej, aczkolwiek wie, że lingwistyczne (*takie* dodajemy) wywody czasami za daleko zaprowadzić mogą (str. 251), przecie z nazwy osady „Żywiczewa,” przypomina sobie Żywę albo Siwę u Białorusinów Ciocie, i twierdzi że „przypomnienie że i w Żywiczewie *mógł* stać posąg Żiwy, nie będzie zbyt fantastycznym.” Z całej rozprawy, najwięcej wartości ma najprzód wiadomość o posągu, razem dwie postaci męską i żeńską przedstawiającym, ze szczególniej uwydatnionemi oznakami płci; znaleziono go w r. 1767 przy kopaniu rowów w Kamionkach Wielkich (pow. Kołomyjski) a 1830 zamierzono postawić w ogrodzie dziedzica na podstawie tak wysokiej by go było widać z Kołomyi. P. Kirkor polemizując przeciw zwolennikom teorii Lel-Polela, widzi w posągu tym... Dażboga i Ładę z tą samą słusnością jak tamci widzieli Lela Polela.

Dalej godzien uwagi ustęp zawierający szczegóły zkądinąd już znane i tu razem skupione o Rachmanach i Nawach (str. 256 nast.). Wywód jednak autora tych nazw od „obłaskawienia” boga śmierci ofiarą jaj nie zdaje się wystarczać. Dalej cenna jest pieśń z wzmianką o „Madeja łożu.”

Prócz opisu poszukiwań, mamy jeszcze wywód o teraźniejszych dupnych mogiłach (dupna dupla, dziupla) to jest wklęsłych mogiłach, których byt językowy i faktyczny zaznaczają akta pomorskie z XIII w. Z kolei następują obliczenia robione na szkieletach jeszcze w mogiłach leżących, które sam autor uważa za „niezawsze pewne, jako zależące od ułożenia szkieletu” (str. 273); dalej ciekawe szczegóły o drewnianém wnętrzu mogiły „królewskiej” koło Chocimierza (str. 281 nast.) polemika z dr. Kopernickim co do mniemanego wołoskiego pochodzenia

czaszek miejscowych. Kończy rozprawę para uwag godnych przeczytania o chwiejności dotychczasowych podziałów i wniosków antropologicznych, za których próbkę niech służy twierdzenie z wymiarów czaszki Kazimierza Wielkiego dobyte, że król ten nie był Słowianinem.

Do wiadomości sz. badacza o znalezieniu w Chocimskiej mogile szkieletu z otworem okrągłym na czole (str. 278) dopisujemy szczegół, że już nieraz podobne zjawisko dostrzeżono w wykopaliskach zachodnich francuzkich, ale „nigdy na czole.” Jeśli obserwacya Kirkora jest dokładną, rzecz byłaby niezmiernie ciekawa i ważna. Dr. Broca na kongresie peszteńskim roku 1876 pokazywał takie czaszki i jeśli trepanowane były za życia nieboszczyków, widział w tém dowód ówczesnej chirurgii operacyjnej, a jeżeli po śmierci, jak to stwierdzają znajdowane takie krążki kościane po grobach, za dowód zabobonu. Mianowicie te krążki z czaszek trupich być miały amuletami, zwłaszcza z czaszek osób cenionych (por. *Pamięt. Tow. Lek.* 1877, str. 485—6) ¹⁾.

Tom VI prócz jedynej rozprawy prof. Smolki: *Tradycya o Kazimierzu Mnichu* zawiera rozprawy prawne doktorów Zielonackiego, Heyzinana, Burzyńskiego (*O prawie bliższości w dawniej Polsce*), W. A. Maciejewskiego (o Helclu) i rzecz Bobrzyńskiego *O nieznanym układzie prawa polskiego przez Jana Sierakowskiego z 1554 r.* Tom VII prócz rozprawy Stadnickiego mieści rozprawę dr. Straszewskiego *O Millu i empirykach angielskich*, co wszystko zostawiamy do oceny właściwemu referentowi.

Wspomnimy jeszcze odrębnie (t. V) odezwę komisji prawniczej Akademii Umiejętności w Krakowie w *przedmiocie zebrania prawa zwyczajowego przysłów i wyrazów prawnych w Polsce* (L—LXIII). Propozycya ta pr. Kasznicy i Kasparka podjęta przez komisją i w czyn wprowadzona, ma jakby wzór w pracy Bogisicha, który z ust i obyczajów ludowych w Czarnogórze zebrał cały statut Słowiański południowy. Kwestyonaryusz zawiera 62 pytań. Rozesłano go po Galicyi, ale w tak ograniczonej liczbie, że już dały się słyszeć głosy, z żądaniem drugiej edycyi. Może byłoby rzeczą stosowną aby i każde z pism peryodycznych naszych w Królestwie, którym leży na sercu sprawa poznania wszechstronnego przeszłości, przyszło w pomoc komisji w jej zacnych staraniach, przedrukowawszy rzeczony kwestyonaryusz; wówczas nie jednemu mieszkańcowi wsi, mogłaby nastąpić sposobność bez trudu zadośćuczynienia celowi kwestyonaryusza.

29 sierpnia 1877 r.

J—d.

¹⁾ Podobne badania archeologiczne nad Rudawą i koło Krakowa opisał pp. Umiński, Sadowski, Strutyński i Kirkor (str. LXIV—LXXXVIII).